

De II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 137.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

SERYA V.

L u t y.

TOM I. — ZESZYT II.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główny, w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 28 stycznia 1875 r.

## T R E Ś Ć.

	stron.
I. LITERATURA. O poezji bułgarskiej. Przez S. D. . . . .	193
— Józef Korzeniowski. Przez A. Rzązewskiego. . . . .	233
II. NAUKI SPOŁECZNE. O prawach statystycznych. Przez Dra. Karola Strasburgera.. . . . .	253
III. GEOGRAFIA. Podróże i odkrycia geograficzne w roku 1872—1874 r. Przez A. Pawińskiego. . . . .	261
IV. HISTORIA. O książkach króla Zygmunta I-go. Przez K. Pułaskiego. . . . .	277
V. KRONIKA ZAGRANICZNA, naukowa, literacka i arty- styczna. . . . .	281
VI. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZA- GRANICZNEGO. O Towarzystwach zarobkowych i gospodarczych, według ustawy z dnia 9 kwietnia 1873 r., z uwzględnieniem ustaw w Niemczech obowiązujących: wykład systematyczny napisał D-r Leo- nard Piętaś profesor Uniwersytetu Lwowskiego. Lwów, 1874 rok, w 8-ce, stronnic 235. Przez F. Z. . . . .	301
La Poésie latine en Pologne par René Lavollée Docteur és lettres. Paris, 1873 r. str. 50. Przez X. . . . .	310
W. Wundt, Ueber die Aufgabe der Philosophie in der Gegen- wart. Leipzig, 1874 r., str. 21. Przez Henryka Struvego. . . . .	319
VII. WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE. . . . .	324
VIII. NEKROLOGIA. . . . .	336

De. I

NOWO ODKRYTE

POMNIKI POEZYZI BULGARSKIEJ.

PRZEZ

*Sewerynę z Żoch. Duchinińską.*

W upłynioném półroczu, korzystając z kursu w kollegium francuzkiem, szanownego profesora Chodźki, jak również z jego rad łaskawie nam udzielanych, przetłumaczyliśmy niektóre części poematów bulgarskich, nowo odkrytych przez Werkowicza w starój Tracyi macedońskiej. Odkrycia te, a zwłaszcza wnioski jakie z nich Werkowicz wyprowadzał, silnie oburzyły polityków niemieckich nowój szkoły. Gwałtowne ich protestacye zwróciły uwagę uczonych angielskich i francuzkich. *British Muzeum* i *Instytut francuzki* postanowiły wziąć tę rzecz pod rozwagę. Wezwany przez członków Instytutu, uczony Burnoul dyrektor szkoły francuzkiej w Atenach, zalecił im p. Dozona konsula francuzkiego w Janinie, który przebywając od lat trzydziestu między Bulgarami, wyuczył się ich mowy. Dozon drukował już w *Buletynie szkoły ateńskiej*, rozbiór poematu o Orfeuszu, i przekład innych pieśni, trudno też było znaleźć odpowiedniejszego sędziego w owęj sprawie.

Ministerstwo francuzkie oświecenia, ze swój strony wyznaczyło panu Dozonowi znaczną summę pieniężną, z poleceniem aby sprawdził na miejscu, o ile te pieśni żyją w tradycyi ludu bulgarskiego. Postanowiliśmy poprzedzić nasz przekład kilku uwagami tego lingwisty, rzucającemi światło na przedmiot.

W pierwszym raporcie datowanym z Janiny 4 września 1872 r., Dozon kreśli ogólną charakterystykę starożytnych pieśni bulgarskich. Jedne z nich tyczą się mytu Orfeusza, inne wymieniają Filipa i Aleksandra Wielkiego; inne nakoniec opiewają migracye nieznanego ludu, w epoce niewiadomój, dawniejszej może niżli najazdy barbarzyńców, którzy sprowadzili upadek państwa rzymskiego. W niektórych są wyraźne wzmianki o wynalazku pisma, o wprowadzeniu zboża i winnic. Wiele w nich cudowności, wiele szczytków dawnych tradycyj re-

ligijnych. To stanowi właśnie najwybitniejszą cechę tych wierszowanych legend.

Co do autentyczności pomników, Dozon nie wątpi o niéj. Otrzymawszy zlecenie ministryum, udał się natychmiast do Werkowicza, zamieszkałego w bliskości Saloniki w miasteczku Serres, gdzie trudni się handlem medalów i monet starożytnych. Werkowicz przyjął go najgościnniej, i zatrzymał w domu swoim przez sześć tygodni (od 25 maja do 6 lipca 1872 r.); towarzyszył mu w wycieczkach, dawał wszelkie żądane wyjaśnienia, ukazywał pieśni zebrane z ust ludu, dochodzące liczby 90,000 wierszy. Ogrom ten zdaje się zrazu bajecznym, nabiera jednak prawdopodobieństwa, gdy weźmiemy na uwagę powtarzania i nieskończone warianty na wzór starych rapsodów.

Główném zadaniem Werkowicza—mówi Dozon—jest dowieść najprzód: że starożytni Illyro-Traki byli Słowianami; powtóre, że plemię ich przechowało się czystém od czasów starożytnych, mimo zmiany nazwiska, a zatem że Orfeusz był Słowianinem, mówiąc po dzisiejszemu Bulgarem; po trzecie, że Słowiano-Bulgarzy sami, są twórcami cywilizacyi przyznawanéj mylnie Helenom.

Dozon odrzuca te przesadne—jak mówi paradoksa—składa je na karb plemiennej nienawiści Bośniaka Werkowicza ku Grekom. Przyznaje wszakże iż plemiona nigdy i nigdzie nie znikają do szczeru; można więc łatwo przypuścić, że w żyłach dzisiejszych mieszkańców Macedonii i Tracyi, pozostała dotąd krew tych pokoleń mażonanych, które zaludniały kraj trzy tysiące lat temu, „w takim stosunku, w jakim dzisiejszy Paryżanin pochodzi od Galla z Lutecyi.“

Idąc w ślad za opowieścią Werkowicza, Dozon wspomina niesłychane trudności, z jakimi zapalony zbieracz łamać się musiał w przeciągu lat piętnastu, nim zebrał materiały do tak zwanéj przez niego *Wedy słowiańskiej z półwyspu Bałkanu*, którą ogłasza teraz drukiem. Rozpoczął on poszukiwania swoje w roku 1855. Pewien, że pomiędzy Słowianami Rodopu znajdzie dowody na wyświehlenie starożytności ich plemienia, jał zbierać pieśni i powieści, i wpatrywać się głęboko w obyczaje tego ludu. Ilekroć spotkał śpiewaka lub śpiewaczkę, nie puszczał ich dopóki wszystkiego mu nie wyspiewali. Rozpisywał listy do przyjaciół z Saloniki, Meleniku i innych miast, błagając o współudział w wyszukiwaniu pieśni i podań. Niezważając na żarty i szyderstwa, szedł wytrwale obraną drogą, a lubo pierwsze plony nie odpowiadały oczekiwaniom, ufał jednakże w przyszłość. Jakoż po dziesięcioletnich trudach, błysło mu wreszcie słabe światółko; z ust pasterza ze wsi Koerczowo, postyszał piosnkę o Carze macedońskim Filipie. W tymże roku otrzymał fragment o przybyciu Słowian do Europy.

W owymto czasie, roku 1865, poznał Werkowicz dyrektora szkółki z Kruszewa, Yowana Gologanowa. Za jegoto pośrednictwem otrzymał najprzód ułamek pieśni o Orfeuszu, następnie cały utwór złożony z 853 wierszy. Yowon lubo nauczyciel szkolny, nie miał najmniejszego wykształcenia. Wszystko co umiał, winien był wiejskie-

mu popowj; nie znał ortografii: poezya była mu zupełnie obojętną. Niechętnie nawet zbierał pieśni, czynił to jedynie dla zarobku. Był to jednak człowiek zręczny, znał lud i wiedział jak z nim radzić. Tego to Yowona użył Werkowicz do swych celów. Skłonił go do porzucenia szkoły, przeznaczył mu 2,000 piastrow rocznie; założył mu szynk *bakkał*, jaki znajduje się zwykle w każdej wiosce tureckiej. Kru-szewo leży na gościńcu do Saloniki. Tu Yowan miał codzienną styczność z kiradzysami przewożącymi towary.

Trudności w zbieraniu pieśni były wielkie. W krajach bulgarskich nie ma prawie tych wędrownych rapsodystów, owych ślepych śpiewaków z professyi, jacy przechowali się dotąd między Serbami. Lud za to umie wiele pieśni na pamięć, powtarza je chętnie, lecz tylko między sobą. Obawa religijnego prześladowania zmusza go do tajemnicy. Od muzułmanów trudniej jeszcze wydobyć cokolwiek niżeli od chrześcian.

Politeizm głęboko się odbił w zwyczajach i praktykach religijnych Bułgarów. Przyjęli oni chrześcianizm w wieku IX; niektóre pokolenia zamieniły go na muzułmanizm po tureckim podboju. Bułgarzy mahometanie mieszkają głównie w okręgu Moglena, między rzekami Wardarem a Strymonem, pod cieniem gór Rodopu (dzisiejszy Despot). Zowią ich Pomakami; nie przyjęli oni tureckiego języka; islamizm ich bardzo powierzchowny, zdaje się że i chrześcianstwo nie wniknęło było do gruntu, w pojęcia ich religijne. Pogaństwo widoczne dotąd, w obyczajach i tradycjach tego ludu, a pieśni przebiegające z ust do ust, od pokolenia do pokolenia, tém silniej utrzymują odwieczne ich przesady.

Rząd turecki długo obojętny na to, od lat trzydziestu jednak zabrał się do wytępienia owych szczątków barbarzyństwa pomiędzy Pomakami. Imanowie pootwierali szkółki, zaczęli pilnie czuwać nad rozpowszechnieniem u ludu języka tureckiego, i nad wzmocnieniem islamizmu. Wówczasto poczęto ściagać poezyą ludową, pełną mytologicznych wspomnień. Zabroniono śpiewać publicznie. Ztąd agent Werkowicza, tysiące zrazu napotykał trudności, nim potrafił wydobyć pieśń jaką z ust podróżnych; w końcu zniewolił ich sobie wódką i pieniężnymi datkami. Pomaki śpiewali mu w tajemnicy. Jeden z nich nazwiskiem Hasar ze wsi Dryanowa, starzec sześćdziesięciopięcioletni, wyrecytował mu w dniu jednym 6311 wierszy. Był to syn zawołanego niegdyś śpiewaka. Bułgarzy nie śpiewają przy gęśli jak serbscy rapsodowie, ale powtarzają wiersze z pamięci dosyć prędko.

Mniejsze trudności znajdował Yowon ze strony chrześcian, lecz i tu napotykał opór; duchowieństwo bowiem greckie zakazuje ludowi starych pieśni, pod kłatwą kościelną. Lud zresztą tak bulgarski jak każdy inny, nie rad wykrywa przed obcymi zakłętę skarby ducha swego. Wiadomo ile mozołu użyli wszyscy zbieracze pieśni i podań ludowych: dość tu wspomnieć Zoryana Chodakowskiego, Lóarota, któremu

świat uczony zawdzięcza Kalewałę i Wuka Karadzicza, [który przez czterdzieści lat zbierał pieśni między Serbami.

Dozon odpięra stanowczo zarzut lingwistów niemieckich, aby ów ogromny zbiór pieśni mógł być podrobionym. Ktokolwiek poznał Werkowicza—mówi on—nie przypuści nigdy podobnego oszustwa. Człowiek to szczerzy, otwarty, pełen prostoty, a do tego jako Bośniak, nie umie władać dostatecznie bułgarskim językiem. Chęć zysku nie mogła nim powodować jak Maepheronem, gdyż od lat piętnastu, więcej wydał na zbiory niż mu te kiedykolwiek przynieść mogą. Gdyby zaś działał w celu politycznym, jak to Niemcy przypisują wynalazcom, a według nich twórcom Krółodworskiego rękopismu, byłby ukrywał rzecz w głębokiej tajemnicy. Yowon Gologanow nie mógł też w żaden sposób utworzyć tych pieśni. Zapłata jaką pobierał (2000 piastrow, 250 franków) nie była dlań dostateczną pognęą. Zresztą jakże twórczej potrzeba wyobraźni, aby w ciągu sześciu lat, od 1865 do 1871 roku stworzyć kilkadziesiąt tysięcy wierszy!

Dozon nie dopatrywał ani iskierki twórczego ducha w Yowonie, z którym przepędził całe dwa dni w Kozenicy. Człowiek to około trzydziestoletni, nieśmiały, słodki, sympatyczny, ale bez najmniejszego zapachu poetycznego. Ma żonę i dzieci czworo. Na żądanie Dozona przyprowadził mu chłopca ze wsi Czerewicze, który powtarzał pieśni o Orfenie z rozmaitemi wariantami, jak niemniej ułamek przypominający scenę czarownic z Mackbeta. Pieśń to obrzędowa. We wsi Korczowo pod Kruszewem, lud składa co rok świętemu Eliazowi (od 20 lipca do 1 sierpnia) ofiarę ze zwierząt: trzy lub cztery jałowice, prócz tego każdy ojciec rodziny zabija kozła. Krowy spożywają wszyscy razem. Mięso pokrajane na kęski warzy się w kotle; tymczasem stare kobiety tańczą wkoło ognia, śpiewając pieśń tradycyjną. Następnie grzebią głowy ofiar, kości zaś rozdzielają między siebie i chowają po domach. Te kości sprowadzają pomyślne zbiory. W Kruszewie podobny obrzęd odbywał się jeszcze przed dziesięcioma laty.

Werkowicz, jak słusznie uważa Dozon, w samą porę jął spisywać pieśni bułgarskie. Kiedy bowiem lud przychodzi do pewnego ukształcenia intelektualnego, poezya tradycyjna znika i wpada w zapomnienie. Mamy na dowód Greków, Serbów i Finlandczyków. Skandynawi byli w podobnym położeniu gdy spisywano Eddę. U Bułgarów poezya tradycyjna zaczęła się niemniej zacierać: Werkowicz ocalił ją od zraty. Pieśni Rodopu wzbogacą nie jednym szczegółem mało znaną mytologią słowiańską, a badacze mytologii porównawczych znajdą w nich bogate materyały.

---

Niech nas to nie dziwi, że tyle poważnych osób, tyle instytucyj naukowych zajęło się zbiorami Werkowicza. Jego Weda bułgarska, przedstawiająca miesznanę pojęć pogańskich z chrześcijańskimi, po-

dania o migracyach ludu, o pierwotnym stanie społeczeństwa, może dać pobudkę badaniom czysto naukowym, otwierając nowe drogi do poszukiwań porównawczych w mytologii. Lecz zbiór ten nierównie bogatsze wyda owoce, na polu zastosowań praktycznych. O ileż na przykład wpłynąć musi na sprostowanie pojęć o pierwotnym urządzeniu ludów słowiańskich, pod względem formy rządu i ogólnie ustroju ekonomiczno-społecznego. Poemata bułgarskie wykazują błąd tych, którzy opierając się na świadectwie jednego lub dwóch pisarzy greckich, położyli jako główną podstawę ładu społecznego u Słowian, rząd bez królów, bez feudalizmu. Takiemto—jak nas uczono—urządzeniem, miały się wyróżniać ludy słowiańskie od germańskich i romańskich, lubo i ojcom naszym nie zaprzeczano aryjskiego pochodzenia!

Otóż pieśni bułgarskie znają tylko rząd królewski oparty na silnym feudalizmie. Fakt ten nasuwa wiele wniosków całkiem sprzecznych z zasadą komunizmu, zasadą, którą upatrywano w pierwszym urządzeniu ludów słowiańskich. A przecież te pieśni i te klechdy bułgarskie w ścisłej są harmonii z tradycjami narodowymi Słowian, jakie przechowały się w klechdach i kronikach tych ludów. Bo i z kądże, pytamy powstałby naszym tak wielka moc tradycyj o Wandzie i Libu-szy, o Piaście i Żybedi kijowskiéj? gdyby idea królewskości tak była obcą ludom słowiańskim przed wprowadzeniem chrześcijaństwa?

Pieśni Bułgarów przeczą niemniej zasadzie, jakoby Słowianie różnili się od ludów germańskich i romańskich ideą komunizmu w zastosowaniu do pojęć o własności ziemskiej. Według zdania wielu uczonych, pierwotni Słowianie tak mało dbali o własność osobistą, jak ludy turańsko-arabskie; pojęcie zaś takiej własności mieli nabyć dopiero od Germanów.

Z tradycyj tymczasem bułgarskich, wprost przeciwny wypływa wniosek. Uderza nas tu przedewszystkiém wielka miłość roncictwa, która musiała wyrabiać pojęcie osobistéj własności. Widzimy oto, że pracownicy dzisiejszych Bułgarów przychodzą z dalekich krańczyn świata, nie z orężem jak Turcy i Arabowie, ale z pługiem i z błogą nadzieją, iż uprawiać będą jałowe dotąd pola.

Niechaj oracze pług tam poniosą,  
Sięją na polach bieluchne proso!

Ta zwrotka powtarzana co chwila w pieśniach bułgarskich, jakże wymownie świadczy o miłości rolnictwa dla samego rolnictwa, nie zaś dla przemysłu i handlu. Nie z taką pieśnią ludy komunistyczne jak Turcy i Tatarzy opuszczali swe koczowiska, by uderzyć na Europę! Ludy u których miłość pługa tak silna, musiały szanować prawo własności osobistéj.

I jakże tu pogodzić te tradycje tak często rolnicze, z turańskim pochodzeniem Bułgarów? Łatwo przecież wytłumaczyć tę sprzeczność. Horda Bułgarów, która podbiła Mezję i południową Trację, za-

stała tu ludy rolnicze słowiańskiego plemienia. Podbój sparaliżował historyczny rozwój tych Słowian, co widać nawet w ich języku i religijnych sektach, ale nie mógł zatrzeć ich tradycyj rodowych. Pieśni bułgarskie, które ogłaszamy, odnoszą się niewątpliwie do migracyi Słowian *aryów* to jest *oraczy*, nie zaś do późniejszego najazdu hord turańsko-bułgarskich z ponad Donu i Wołgi.

## I.

## WĘDRÓWKI LUDU Z DALEKICH KRAJÓW NA DUNAJ.

„O Kamiano! o Kamiano! <sup>1)</sup>.  
 Słyszałażes ty, czy nie słyszała?  
 Wczora wieść przysła z dolnej krainy,  
 Z dolnej krainy wieść z poza morza,  
 Siwy gołabek przyniósł list biały:  
 List biały pismem kreślony czarném.  
 Gołabek lotne poruszy skrzydła  
 I w ręce moje list biały złoży,  
 A w białym liście stoi to słowo:  
 „Posłuchaj królu, Dunajski Dziwie!  
 Jutro o świcie bądźże gotowy  
 Na Czytajskiego wyruszyć Sada;  
 On ciągnie zbrojnych witeziów chmary,  
 Z wszystkimi królmi chce toczyć boje,  
 Aby dziedziny rozszerzyć swoje.

„W jego królestwie ludu jak mrowia:  
 Tam się już sioło styka ze siołem,  
 Na wielkie włości miejsca niestało,  
 Brakło oraczom roli do siewu,  
 Dla wołów niéma dostatkim paszy,  
 Bóg Wisznu <sup>2)</sup> skłonił na prośby ucha:  
 „Niech Sad <sup>3)</sup> Czytajski przez kraj twój przejdzie,  
 Niechajże kraj twój uprawia pusty,  
 Niech twoje ludy ujarzmi dzikie;

---

1) Kamiana w poezyi bułgarskiej jest zupełnie to samo co Muza, czyli Camoena rzymska. Horacyusz nazywa Muzy Camenides.

2) Wisznu, w znaczeniu *wysoki, najwyższy*.

3) Wyraz *Sad* używany w znaczeniu króla rolników. Kiedy zaś mowa o królu dunajskim, zowią go w pieśni *Dziwem*. Są to może przypomnienia walk Słowian z turańskimi *Czudami, Dziwami*.



Godnie go podjąć tobie przystało,  
I żadnej nie masz zrządzić mu krzywdy.“

„Tę wieść list przyniósł, o Kamiano!  
A jam zdumiony z myślą stroskaną,  
Nie wiem co czynić, jak działać nie wiem:  
Mamże przybysza podjąć życzliwie?  
Mamże zgromadzić drużynę zbrojną,  
By mi pustego nie zajął kraju?“  
— „Lepiej mój królu zgromadzić druhy,  
Niż podejmować cudzego z chwałą,  
Bo ci krainę zagarnie całą.“

I Kamiana przemawia jeszcze,  
A oto nowe nadchodzą wieści:  
Już Sad Czytajski kroczy zuchwale,  
Przez kraj murzynów przebiegł szeroki,  
Przeplłynął morza głębokie fale,  
A kędykolwiek postawi kroki,  
Wszystkie na okół zdobywa kraje;  
Młodych, a czarnych jeńcami czyni.  
Porwane branki rzewnie zapłaczą,  
I ręce czarne wznoszą do góry;  
Porzucić kraj swój żałość je bierze,  
I swe opuścić drogie macierzel!

A król w te do nich ozwie się słowa:  
— O! branki moje, nie płaczcie darmol  
Otrzęć wam oczy dziewice młode,  
Do żyznych krajów ja was powiodę;  
Tam leżą wielkie odłogiem łany,  
Wy nauczycie to dzikie plemię,  
Jak trzeba żyzną uprawiać ziemię.  
Wam mistrzyniami być tam przystało,  
A gdy pomrzecie, lud w tój krainie  
Boską was dziewy otoczy chwałą:  
Uczcież go ziemię krajać w zagony,  
Aby obfite wydała plony.

Słyszają to branki, łzy otrą z lica,  
Korny oddają pokłon królowi;  
Oddają pokłon i cześć mu niosą,  
Że pragnie dzikie nauczać ludy,  
Jak mają żyzną uprawiać rolę.

W którebądź tylko zwróca się strony,  
Świat wszystek na nie patrzy zdziwiony.  
Jużci nad białym stają Dunajem,



A Dziw Dunajski rzecze te słowa:  
 — „Nikt nie przekroczy mego Dunaju,  
 Bo Dunaj biały w wielkim roztopie,  
 A gdyby przeszli mój Dunaj biały,  
 Moc zbrojnych druhów powiodę w pole,  
 Do kraju mego wnijsć nie pozwolę.“

Staje Czytajski król nad Dunajem,  
 Jak przebyć Dunaj? myśli i duma,  
 Jak do pustego dostać się kraju?  
 Do swych witezi te słowa rzecze:  
 — „Hej! na kolana witezie moi!  
 Boga Koleda uczcić nam trzeba,  
 On Samowilę <sup>1)</sup> ześle nam z nieba,  
 Co wiatr rozdmucha pierśmi krzepkimi,  
 Aż biały Dunaj stężeje lodem,  
 I przejdziem po nim jakby po ziemi.“

Wszyscy upadli wnet na kolana,  
 Boga Koleda uczczą modlitwą;  
 Niech Samowilę wiatru boginię,  
 Ku naddunajskiej ześle dolinie,  
 By rozdmuchała wicher tak silny,  
 Aż w lód stężeją Dunaju fale,  
 Że po nim przejdą jakby po skale.

I bóg Koleda nakłonił ucha,  
 Śle Samowilę boską dziewoję;  
 Ona tak silny wicher rozdmucha,  
 Że biały Dunaj wnet stężał lodem,  
 A po nim druhy szły jak po ziemi.  
 I Samowila idzie za niemi,  
 Idzie pomagać w boju drużynie  
 I Dunajskiego pokonać króla.

Bogi cię skarżą o Kamiano,  
 Bo Dziw twojemi podżegan rady,  
 Powołał zbrojnych druhów gromady.  
 Stanał do boju z Czytajskim Sadem,  
 Twojej posłuchał rady dziewojo;  
 On zawsze ślepo twój rady słucha,  
 Tyś podżegała opór zuchwały.

---

<sup>1)</sup> Samowila Bulgarów i Wila w poezji serbskiej znaczy to samo co Kora grecka.

Zwołał witezi gromadę wielką  
 I powiódł zbrojnych nad Dunaj biały!  
 W szerokie pole wiodł zastęp liczny,  
 Z Sadem Czytajskim szedł do zapasu,  
 By mu nie wydarł ziemi dziedzicznój.  
 Lecz Samowila wiatru bogini,  
 Żwawo poczęła piersią dać całą,  
 Wiatr jeden ciepły, a mroźny drugi:  
 Ciepły śle druhom Czytajców zbrojnym,  
 Mroźny Dunajcom dmie bez litości,  
 Aż mróz przeniknął wszystkich do kości:  
 Stoją jak suche wśród lasu drzewa!

Tak Dziw Dunajski stracił swe ziemie.  
 Skoro posłyszysz Kamiana Dziewa,  
 Że Czytajanie kraj zagrabili,  
 Że młódź ich dzierży ziemię dokoła,  
 Że w niej bogate buduje sioła,  
 I w niewolniki przemienia Dziwy <sup>1)</sup>;  
 Że ich naucza uprawiać rolę:  
 Rzuca się smętna w kwiecie urody,  
 W białe Dunaju rzuca się wody,  
 By jej nie dręczył nowy pan kraju,  
 Że była radą króla Dunaju.

Taki Czytajców był tu początek,  
 Z nich nam w pamięci tylko zostaje  
 Ubogiej pieśni splełtany wątek:  
 Bóg daj wam zdrowie, ja wam pieśń daję.

## II.

## WĘDRÓWKA LUDU.

W krainie Czytów ludnoż tam, ludno!  
 Już nowe sioło zbudować trudno;  
 Oracz się bije z oraczem drugim,  
 Ni kęska ziemi zakroić pługiem.  
 Złaknione trawy trzody i stada,  
 Na głodne woły pomorek pada,

<sup>1)</sup> Dziw zły duch, z ludzi porobił dziwów, czyli jak ich pieśń zowie Podziwów.

Lud się do króla ciśnie gromadą:  
 — Oj! ty nasz królu, oj królu Sado!  
 Przech-że ty siedzisz na twoim tronie?  
 Powiódłbyś okiem ku cudzej stronie:  
 Niechże cię królu głos nasz rozbudzi,  
 Pomyśl gdzie twoich pomieścić ludzi.  
 Gotowi wszyscy pozrzć się wzajem,  
 Straszliwa nędza cięży nad krajem:  
 Gdzież my bieluchne posiejem proso?

Wieści królowi sładzy doniosą:  
 Król Sad się próżno trwoży i żzyma,  
 W okół błędniemi wiedzie oczyma;  
 Wreszcie na radę zwołuje Bany:  
 Pyta co czynić? król skłopotany,  
 Niechajże radę dadzą mu zdrową!

Powstali Bany, wyrzekną słowo:  
 — Oj dobry królu! królu nasz Sadzie,  
 Trudneś pytanie zadał twój radzie,  
 Kędy nam błędne obrócić kroki?  
 Toć zaludniony wkrąg świat szeroki,  
 Tylko gdzie Dunaj wody roztacza,  
 Pusty kęs ziemi czeka oracza.  
 Tam jakieś dzikie gnieździ się plemię,  
 Lud nieświadomy jak orać ziemię,  
 Jak białe proso siać na zagony;  
 Tam twój poprowadź szczep rozrodzony:  
 Niech twe oracze pług tam przeniosą,  
 I pola w białe posieją proso!

„A nad Dunajem istneż to dziwy,  
 Smok tam na czatach stoi straszliwy;  
 Siedmioma potwór ogony zmiata  
 I trzema łbami ludzi ze świata.  
 Nie da przelecić biédnej ptaszynie  
 I lud okrutny w onej krainie,  
 Droę twym druhom żartko zaskoczy,  
 Gradem kamieni sypnie im w oczy.  
 Żadna tych śmiałków moc nie zwalczyła,  
 Straszna ich dzikość, straszniejsza siła;  
 Czola przed twoją nie zegną władzą,  
 Ludowi twemu pól nie oddadzą.“

Milczy i słucha król zadumany,  
 Wreszcie zapyta: „Co czynić Bany?

Chciejcież mi, proszę, dać radę zdrową,  
Ja sam gadzinę zgmiotę trzygłową;  
Dziryt zatopię w sercu poczwary:  
Lecz jak pokonać te dziki chmary,  
Gdy w nich dzielności i mocy tyle?"

Król nie dokończył: owóz w tę chwilę  
Mknie Samowila Juda wspaniała <sup>1)</sup>,  
Blaskiem słonecznym lice jój pała,  
Miesięczny rąbek słoni jój żono,  
Drobnouchne gwiazdki na szacie płoną.

Śmiało dziewoja u tronu stanie:  
— „Czego się trwożysz królu, mój panie?  
Jutro przed świtem, nim wszędzie słońce,  
W okół po kraju roześlij gońce.  
Rozkaż niech każdy młody czy stary,  
Komu nie siadło lat sto na bary,  
Nad biały Dunaj ptakiem niech leci.  
Mgze, niewiasty i drobne dzieci,  
W puste obszary niech pług poniosą,  
Sieją na polach bieluchne proso.

A kiedy pójdą na Dunaj biały,  
Idźże z małżonką twą pełną chwały.  
Weź ty indora <sup>2)</sup> o pierzu czarném,  
Złożysz go królu w hołdzie ofiarnym;  
Niech jałowicę <sup>3)</sup> żona zabierze,  
Aby ją niebu złożyć w ofierze.  
A gdy staniecie Dunaju blisko,  
Niech pod obłoki buchnie ognisko;  
Ty ogień świętą uczcij objatą,  
Skrę płomienistą on ześle za to  
I spali smoka ze trzema głowy;  
A zniewolony prośbą królowej,  
Wnet grom ognisty spadnie z wysoka  
I ohydneho w proch spali smoka!

<sup>1)</sup> Juda, równie jak Samowila rodzaj Nymfy greckiej; każdy sławny junak miał za opiekunkę taką Judę Samowilę. Niektórzy synami są tych bogiń.

<sup>2)</sup> Ptak po bułgarsku Pajka, nazwa niewiadomo z kąd wzięta. Werko-wicz tłumaczy go wyrazem indyk.

<sup>3)</sup> Po sanskrycku *lla* zowie się krowa zrodzona do ofiary bogom. Niéma dotąd prawdziwej etymologii tego wyrazu. Jałowicą nazywała się dawniej nie dlatego, że niéma cielęcica, ale że zdatna na ofiarę.

(Burnuff: *Starożyt. sanskryckie*).

A gdy przepłyniesz Dunaju wody,  
I bój z dzikimi poczniesz narody,  
Jam z tobą królul walka się uda!"

Tak Samowila wyrzeczce Juda.  
I zbieży w góry nim wzeszło słońce,  
Król Sad po kraju rozesła gońce:  
Niech kto żyw rusza, młody i stary,  
Komu nie siadło sto lat na barył  
Na biały Dunaj ptakiem niech leci,  
Mężę, niewiasty i drobne dzieci,  
A niech oracze pług tam zanosą,  
Posieją pola w bieluchne proso.

Młodzi i starzy wyruszą z kraju,  
W stronę białego spieszą Dunaju;  
Starsi witezie drużynę wiodą,  
Za druhy idzie król z żoną młodą.

Gdy go Smok straszny z daleka zoczy,  
Zazgrzyta w zęby, wzrokiem zatoczy;  
Krew w smoczycy żyłach zakipi skora,  
A król czarnego zabił indora;  
Błaga objata, niech płomień strzeli,  
Iskra niech utkwi w smoczéj gardzieli.  
Królowa rzeże dla boga gromu,  
Wyhodowaną jałówkę w domu:  
Niech błyskawicą spadnie z wysoka,  
Niech straszliwego w proch zetrze smoka!

Ledwie że płomień pomknął do góry,  
Drgnęło powietrze, ryknęły chmury;  
Zarem ognistym niebiosa płoną,  
I grom uderzył w Dunaju łono!  
Gdy błyskawicą leciał z wysoka,  
Spalił na popiół straszno smoka!

Lecz ogień wrzącem rozpuścił tchnieniem  
Wody ściśnięte lodów brzemieniem;  
Z pędem potoki drą się przez skały:  
Jakże tu płynąć za Dunaj biały?  
Ze swemi Bany król radzi wzajem:  
Jak rozhukanym pomknąć Dunajem?

Wtém Samowila zbieży ku ziemi,  
Rozdmucha wicher pierśmi krzepkimi,  
Aż biały Dunaj w kry się znów ścina:  
Po twardym lodzie przeszła drużyna;  
I Samowila pośpiesza z druhy,  
Aby witeziom dodać otuchy,  
Nim króla Dziwów siłą przemogą.

A gdy król Dziwów zasłyszysz z trwogą,  
 Że z królem Sadem śpieszy gromada,  
 Nie chce pokłonem czcić króla Sada.  
 Obcym przybyszom nie odda kraju;  
 Rozstawia szyki brzegiem Dunaju,  
 Brzegiem Dunaju pomsty nie syty,  
 Tu wyzwie bitne do boju Czyty.  
 Kamieni gradem junaków zwali,  
 Ze nie postąpią ni kroku dalej.

Tu Samowila naprzód poskoczy,  
 Mroźnemi wichry dmie Dziwom w oczy;  
 Aż krew im w żyłach lodem stężała:  
 Jak suche dęby sterczą ich ciała!

Zajął król Sada szerokie łąny,  
 Płacze lud Dziwów w troki spętany;  
 A Czyty ziemię zorali czarną,  
 Posieli prosa bieluchne ziarno:  
 Już nie ułaknie chleba gromada!  
 Takie to czyny spełnił król Sada.  
 O nich w pamięci piosnka zostaje:  
 Bóg daj wam zdrowie, ja pieśń wam daję!

## III.

WALKA SADA Z LAMIJĄ <sup>1)</sup>.

Czyjeżto ucho słyszało, czyje?  
 Sroga Lamija z królem się bije!  
 Z potężnym Sadem bój rozpoczyna,  
 Ona samiutka, sama jedyna!  
 A Sad Witeziów prowadzi chmary!  
 Przecz on Lamii siłą nie zmoże!  
 Ona mu białe zagradza morze;  
 Nie da mu w puste wkroczyć obszary:  
 W pola nie tknięte pługiem rolnika,  
 Tu gospodarzy Lamija dzika.

Ślady stóp ludzkich tu nie powstały,  
 Nie usłać guiazdka ptaszynie małej;  
 Lamii tu rządzi, straszna jej władza:  
 W okół po stepie wciąż się przechadza!  
 Zieloną trawę pożera w głodzie,

<sup>1)</sup> Lamija, toż samo co hydra, *smok*.

To pierś napoi w krynicznej wodzie,  
 To Samowileg spotka w dolinie!  
 — O Samowilo! złe cię nie minie,  
 Bo twemu sercu wielki król miły;  
 Odkąd mu sprzyjasz, dwa lat ubiegłol  
 Twoje namowy tu go zwabiły;  
 Tyś mu wskazała ziemię rozległą,  
 Aby tu przybył z junaki swemi;  
 Gród im zbudował na cudzej ziemi  
 I swych oraczów obdzielił rolą!

Król wielki poszedł za Judy wołą.  
 I tysiąc mężów wiedzie w swe ślady;  
 Niech żyzne łany obsieją w zboże,  
 Zbuduje grodu mocne posady,  
 A skoro Lamie dziką przemoże,  
 Z kraju powoła nowe gromady!  
 Młody lud nową ziemię posiadzie,  
 A starcom tylko zostać na grzędzie.

Idą: przed niemi woda się bieli,  
 Nad brzegiem morza rychło stanęli;  
 Patrzą na siebie trwożliwym wzrokiem;  
 Jak owém morzem przebrnąć szerokiém?

Aż tu Lamija pluśnie z pod fali.  
 — Stój—woła—królu! ni kroku dalej!  
 Kędyżto, Sądzie, ta gawieź zmierza?  
 Chceszli drobnego nałowić zwierza?  
 Po co się w cudzą wdzieraszą ziemie?  
 — Mnie tu nie nęca na zwierza łowy:  
 Chcę siłą zdobyć kraj ten jałowy;  
 W nim pobudować nową stolicę,  
 I kraj zaludnić junaki memi:  
 Poco odłogiem leżeć tój ziemi?

Słyszysz Lamija, nie czeka dłużej:  
 Ohydny kadłub z morza wynurzy;  
 Strzały ni łuku w ręku nie trzyma,  
 Tylko na słońko spojrzysz oczyma.  
 Patrzy, modlitwą słońko pochwali:  
 — Słoneczko moje, słoneczko białe,  
 Ty płomienistą zeslij mi strzałę;  
 Strzałę co żarem straszliwym pali!  
 Me kraje obcy nachodzą męże;  
 Niechże tą strzałą wroga zwyciężę.



Jeśli ubłagam łaskę u ciebie,  
 Jeśli twą strzałę ześlesz mi jasną,  
 Dam ci za żonę siostrzyczkę własną:  
 Niech z tobą razem świeci na niebie!

Jeszcze Lamija modli się drżąca,  
 Już z nieba strzała leci błyszcząca;  
 Jeszcze w powietrzu furkocze strzała,  
 Śmiechem się strasznym Lami zaśmiała!  
 Dziko zaryczy, grzmiąco zawoła:  
 „Sadzie, mój wrogu, nadstaw-że czoła!  
 Kto kogo zmoże bary krzepkiemi,  
 Niech-że posiedzie tę przestrzeń całą!  
 I godzi w mężów błyszcząca, strzała.

Zaczém dobiegła strzała do ziemi,  
 Zgorzały ogniem dzielne młodziany,  
 A król sam jeden został wśród pola.  
 — Co tu poradzić, rzekł sfrasowany:  
 Ciężka mi, ciężka padła niedola!  
 A dzika Lami przed królem stanie:  
 — Czego się wahasz, co myślisz panie?  
 Uciekaj żywo: tu śmierć cię czeka;  
 Jam cię ognistą nie tknęła strzała,  
 Boś ty król wielki pomiędzy swemi.

I serce króla trwogą zadrżało.  
 Doskoczy konia, cwałem ucieka,  
 Biegun kopytem ledwie tknie ziemi:  
 Do kraju swego pomyka żywo.  
 Juda mu powie jakimi czary  
 Pokona w boju hydrę straszliwą;  
 Jak weźmie wielkie ziemi obszary  
 I puste pola posieje w ziarna.  
 Przybył do domu, noc była czarna;  
 Szerokie bramy zawarte szczelnie,  
 Na okół żywój nie dostrzedz duszy.  
 Oburącz wrota krzepko poruszy:  
 Nie drgną wrzeciędzie. Król gniewem zdjęty,  
 Konia twardemi ugodzi pięty.  
 Koń bohatera pochwycon dzielnie,  
 Przez mur szalonym rzucił się skokiem;  
 W lot po dziedzińcu sunie szerokiem.  
 Daremno ziemię kopytem bije;  
 Huku nie słyszy ucho niczyje.

Król na krużganek z koniem się wspina,  
 Sypialnej izby progi przekroczy:  
 Tam Samowila jego jedyna.  
 Sen twardy upadł Judzie na oczy.  
 Leciuchno, stopą dotknie ją, prawą:  
 — Zbudź się, słodkiemi zagadnie usty:  
 Oj złe się stało z moją wyprawą,  
 Jam ją na próżno podjął w kraj pusty;  
 Niech Bóg ukarze straszną Lamiję,  
 Co w głębi morza zdradnie się kryje!  
 Ledwie zoczyła zastęp w oddali,  
 Na łąd z głębokiej wybieży fali;  
 Łuku ni strzały w rękę nie trzyma,  
 Ale ku słońcu spójrzy oczyma;  
 Kornie się modli słońku na chwałę:  
 Niech-że ognistą ześle jój strzałę,  
 Aby tą strzałą spaliła jasną  
 Junaki moje nie zwyciężone!  
 A za postugę siostrzyczkę własną,  
 Oddać przyrzeka słońku na żonę:  
 Jeszcze Lamija modli się drżąca,  
 Spada z niebiosów strzała błyszcząca;  
 Jeszcze w powietrzu furkocze strzała  
 Śmiechem się strasznym hydra zaśmiała:  
 — Hej! królu Sadzie, mocno zaryczy;  
 Kto kogo zmoże, kraj odziedziczy?  
 I strzałę jasną rzuci na męże.  
 Zaledwie strzała ziemi dosięże,  
 Wszystkie zgorzały na proch młodziany!  
 Stoję żałośny w polu bojowém;  
 Co mam uczynić myślę stroskany,  
 Aż mnie Lamija zagadnie słowem:  
 — Przecz twoje myśli w takim bezładzie?  
 Tu złe cię czeka, umykaj Sadziel  
 Jam cię ognistą, nie tknęła strzałą,  
 By ciało twoje w proch nie zgorzało,  
 Boś wielkim królem pomiędzy swemi.  
 — Gdym to posłyszał zdjęła mnie trwoga,  
 Mego bieguna doskoczę żywo;  
 Pomknął z sokołem, nie tyka ziemi;  
 Wiatr jego długą pomiata grzywą:  
 Owóz u mego stanąłem proga.  
 Judo ty moja! daj radę zdrową!  
 Jak tu straszliwą pokonać Lami?  
 Jak jój tę ziemię wydrzéc jałową,  
 Bym ją z dzielnymi posiadał druhami?

A na to wierna odrzecz Juda:  
 — Dobry mój Sadzie, królu jedyny!  
 Walka z Lamiją snadno się uda;  
 Chcesz-li w proch spalić serce gadziny,  
 Trzeba ci zdobyć ognistą strzałę.  
 Ty schwyć czarnego w locie indora,  
 Białych gołębi chmurę skrzydlatą,  
 Niechaj pochwyci drużyna skora;  
 A gdy zajdziecie nad morze Białe,  
 Trzeba wam Boga uczcić objatą.  
 Niech trwa objata trzy doby całe,  
 Niech jasno buchnie płomień ofiarny;  
 A gdy na popiół szczeźnie ptak czarny,  
 Bóg ognia ześle skrę płomienistą,  
 Co w sercu hydrze utkwi do głębi.  
 Niech złożą druby ofiarę czystą  
 Wielkiemu Wisznu ze krwi gołębiój,  
 A on twój zastęp dzielnie wspomóż;  
 Pozwoli białe wnet przebrnąć może,  
 I odziedziczyć ziemię jałową,  
 I pobudować stolicę nową!

A Sad posłuchał rad Judy swojej,  
 I tysiąc dzielnych junaków zbroi.  
 Białe gołębie pochwyca druby,  
 A Sad indora o czarném pierzu;  
 Idą a idą pełni otuchy:  
 Rychło stanęli na wód wybrzeżu!  
 W górę wybucha płomień ofiarny,  
 Trzy dni, trzy noce trwała biesiada;  
 Przyjmuje niebo ofiarę Sada:  
 Zaledwie w ogniu spłonął ptak czarny,  
 Strzała błyszcząca z niebiosów spada;  
 Prosto w straszliwą godzi Lamiję:  
 Ohydny potwór w kłęby się wije.  
 — Biada ci Judu! głucho wyrzecz:  
 Sad wyuczony twojemi czary,  
 Zniewolił ogień mocą ofiary.  
 Umilkła Lami, ogień ją piecze;  
 Rzuca się w chłodne morza głębiny.  
 A Sad nad morzem stoi szerokiém,  
 Po pustym kraju zatoczy wzrokiem,  
 Wreszcie w te słowa rzekł do drużyny:  
 — Niech z was gołębia każdy zarzeże,  
 Wielki je Wisznu przyjmie w ofierze.

Bije gołębie drużyna cała,  
 Aż od posoki ziemia skraśniała;  
 A kiedy padło tysiąc gołębi,  
 Wisznu ku modłom nakłania ucha.  
 Morze na dwoje pękło do głębi;  
 Droga jak strzelił prosta i sucha.  
 Sad tysiąc mężów wiedzie za morze;  
 Patrzą: przed niemi szerokie łąny,  
 Ludzkimi stopy kraj nie zdeptany;  
 Faluje trawa tam na ugorze!  
 Król Sad buduje gród z druchy swemi,  
 Takiego grodu niema na ziemi!  
 Męże zasiedli w tym wielkim grodzie,  
 Szerokie pola orzą w swobodzie;  
 Rychło pod pługiem role spulchniały:  
 Podobnej roli nie zna świat cały!  
 I drobnych ptasząt chmara skrzydlata,  
 Na żyzne łąny swobodnie złata.

Lecz pomiot smoczy jeszcze tu żyje.  
 Choć płomień z nieba pożarł Lamiję,  
 Na proch nie spalił siostry jój młodej;  
 W głębinach morza ze snu się budzi,  
 Głowę pocichu wychyla z wody;  
 A gdy na polu spostrzeże ludzi,  
 I roje ptasząt i koni stada,  
 Straszny jój serce gniewem zawrzało:  
 Chce na proch marny zniweczyć Sada,  
 Że w siostrę jasną ugodził strzałą!  
 Wybieży Hydra z wód morskich łona,  
 Wkoło przebiega pola i włości;  
 Nie syta zemsty, krwi upragniona,  
 Ludzi i bydło żre bez litości.  
 Obiega ziemię, pyta i bada  
 Kędy zbudowan wielki gród Sada?  
 U bramy grodu stanęła wreszcie,  
 Trwoga i popłoch w Sadowém mieście,  
 Jak zabiedz drogę żmii obrzydłej?  
 Trzebaż ją zetrzeć w proch póki pora!  
 Znów Sad w polocie schwyci indora,  
 Wielkiego ptaka z kruczemi skrzydły;  
 Bogu Ogniewi w darze go składa;  
 Niech-że mu płomień z niebiosów spłynie;  
 Niech strzałą utkwi w sercu gadzinie:  
 Przyjął Bóg ogień ofiarę Sada,  
 I wielki płomień z nieba się stoczy;

Spalił na popiół straszny płód smoczy.  
 Rychło od morza po drugie morze  
 Wolny lud zajął szerokie niwy;  
 Na polach złote faluje zboże,  
 W lot się rozradza naród szczęśliwy!  
 Ztąd za plemieniem wychodzi plemię,  
 Aż zaludniły szeroką ziemię;  
 Kto chce niech o tém z pieśni się dowie:  
 Ja wam pieśń daję, Bóg daj wam zdrowie.

## IV.

## MAŁŻENSTWO WULKANY ZE SŁOŃCEM.

Oj! dobry Boże, cudowny Boże!  
 Świat Ciebie wszystek wielbi w pokorze;  
 Ziemia i niebo, króle i ludy,  
 I Samowile wielbią cię Judy!

Od trzech już niedziel słonko się chowa,  
 Nie zamigocze blaski złotemi,  
 Ani dla nieba ani dla ziemi:  
 Na świat upadła ciemność grobowa!  
 Ziemia się derą przybrała czarną,  
 Nikt nie wychyli głowy z pieczary;  
 Owoc na polu upada marno,  
 Bo go nie zbierze ręka niczyja!  
 Minęło lato i jesień mija,  
 Szron już ubielił wielkie obszary;  
 Już twarda zima na ziemię padła,  
 Nikt nie sposobi zapasów jadła!  
 Siedmdziesięciu królów się żali:  
 Każdy przemysła co będzie dalej?  
 Złożyli radę, całą gromadą,  
 Na krańce ziemi pospołu jadą,  
 Kędy Pierwokrół włada nad niemi.  
 On tam buduje sobie gród wielki,  
 Cudownie cieśle składają belki:  
 Takich na całej nieznać ziemi!  
 Lotne im skrzydła u bark furkoczą,  
 Każdy ramieniem gdzie chce dosięże;  
 Rej nad drużyną wiedzie ochoczą,  
 Wielki czarodziej z skrzydły złotemil  
 On ma w swój mocy zaklęte węże;

Dwa srebrne klucze przy sobie nosi;  
 Zamyka niemi dwóch studzien wieka:  
 A w jednej studni deszcz ciepły chowa,  
 W drugiej ukryta zamieć grudniowa.  
 Czasem gdy letnia dokuczy spieka,  
 Król węzów, ziemię deszczykiem zrosi;  
 A gdy na plemię gniewny człowiecze,  
 Garściami gradu w ziemię uderzy,  
 Wszystko na polu do pnia wysiecze,  
 Że nie dopatrzy żdźbła trawki świeżój!

Tu, króla węzów słońce przysłało,  
 By gród zbudował nad wszystkie grody,  
 Gród co zasłynie na ziemię całą!  
 Niech-że się nad nim dziwią narody,  
 Wielkiego w grodzie niech uczczą pana,  
 Bo tu dziewczojka mieszka Wulkana:  
 Jasne się słońko w niej zakochało!

Nim na kraj ziemi zaszli królowie,  
 Drużyna cieśłów gród zbudowała;  
 Dziwi się wielki król téj budowie:  
 Blaskiem słonecznym cudny gród pała,  
 Przed jego tylko świeci tak okiem,  
 Dla drugich grubym przyémion pomrokiem.

Radośny z grodu Pierwokrół, za to,  
 Boga chce wielką uczcić objatą.  
 Krów siedmdziesiąt bije w ofierze,  
 Cudownych cieśłów na gody woła;  
 Już stół obsiedli z królem dokoła,  
 Nikt jeszcze kęsa do ust nie bierze.  
 Siedmdziesiąt królów stanęło w progu,  
 Przed Pierwokrólem skłonili głowy,  
 On łagodnemi zagadnie słowy:  
 — Witajcież moi królowie mili!  
 W szczęśliwą porę tuście przybyli:  
 Oddajmyż razem ofiarę Bogu;  
 Jam pobudował gród okazały,  
 Jakiego niema na ziemi całej!

Skoro zasiedli króle ochoczo,  
 Cieśle od stołu w lot się zerwali;  
 Długie im skrzydła z bark zafurkoczą,  
 Plusną jak ptaki w głąb morskiej fali.  
 Wielki żal przejął królewską duszę,  
 — Królowie—rzecze--bratnia drużyno!

Póty was w domu zatrzymać muszę,  
 Aż to wypróznim rumiane wino.  
 Jest tysiąc wiader w tej beczce wielkiej;  
 Musim ją w morskie przetoczyć wody;  
 Przetoczyć całą wnet do kropelki:  
 Niech moi cieśle wyprawią gody.  
 — Królowie na to: „Zostaniem długo;  
 Rozkaż co czynić, przyjdziem z postugą.“

Przez trzy niedziele goszczą na dworze,  
 Rumiane wino staczają w morze;  
 Nareszcie beczkę stoczyli całą,  
 Aż białe morze poczerwieniło.  
 Wtém głos się z morskiej ozwie otchłani:  
 „Do syta królu dałeś nam wina;  
 My tu już wszyscy na śmierć pijani:  
 Czas, niech ucztuje królów drużyna!“

Pierwokról w sercu pelen otuchy,  
 Każe zastawić sutą wieczerzę;  
 Z siedmdziesięciu ucztuje druhy,  
 Podaje na stół mięsiwa świeże:  
 W lot posługuje cudna Wulkana.  
 Blaskiem słonecznym lica jój płoną,  
 W drobnutki gwiazdki szata utkana;  
 Miesięczny rąbek słoń jój łono:  
 Jak dwie pochodnie świecą jój oczy.  
 Olśnieni blaskiem dziewy uroczej,  
 Króle z podziwu stracili mowę;  
 Każdy ją pragnię wziąć za synowę:  
 Daremne chęci, nie dla nich ona,  
 Z królem Braiłem już zaręczona!  
 Dzielnym to junak, zuch to nad zuchy!  
 Kto się poważy stawić mu czoło?

Goszczą na dworze królewskie druhy.  
 Przez trzy niedziele wciąż trwa biesiada,  
 Czekają króle, rychło-li z góry,  
 Słonko przez mętne przedrze się chmury.  
 A coraz ciemniej, straszniej w około;  
 Mrok coraz grubszy na ziemię pada;  
 Króle rzewnemi zapłaczą łzami,  
 Zawodzą żalem:—Hej, miły Boże,  
 Czemu Twa ręka cięży nad nami?  
 Przecz promieniste zgąsło nam zorze?  
 Ciepłego słonka ziemia złąkniona,  
 Jeżeli za nas ponosi karę,  
 My Tobie świętą złożym ofiarę!

Ale modlitwa w powietrzu kona.  
Próżno zawodzą, płaczą daremno;  
Na ziemi straszno, na niebie ciemno.

Pierwokról słowy ozwie się temi:  
— My bez ochyby grzech popełnili,  
Skoro słońeczko nie grzeje ziemi,  
Złóżmy objatę Bogu w téj chwili;  
Niech powie słońko o czém nikt nie wie:  
Dlaczego na nas trwa w takim gniewie?

Słów Pierwokróla słuchają druchy;  
Biją objatę pełni otuchy;  
Trwały obrzędy trzy dni, trzy noce;  
Wreszcie na niebie coś zamigoce:  
W lot zbiegły chmury jak ptaków stada  
Twarz miesięczyny <sup>1)</sup> zabłysła blada;  
Słońca siostrzyca tak do nich powie:  
— Nikt z was nie zgrzeszył, moi królowie!  
Pierwokról tylko zawinił bratu:  
On córę swoją, Wulkanę miłą,  
Zareczył z dzielnym królem Braiłą!  
Dlatego słońko nie błyska światu.  
Brat mój zakochan w cudnej dziewoi,  
Nim w promienistej dziedzinie swojej  
Zoczy Wulkanę przy swoim boku,  
Niech ziemia w ciemnym tonie pomroku!  
Królowie na to: — Jakaż twa rada?  
O miesięczyno siostrzyczko blada,  
Jak zakląć słońko by żary swemi  
Znów utęsknionój zabłysło ziemi?  
Lato minęło, jesień już mija,  
W pieczarach zapas wyczerpan cały;  
Kłosów nie zbierze ręka niczyja,  
Trawy i zboża w polu pomdlały;  
Skoro gniewnego słońka nie łatwo  
Nam uwiedłkami przebłagać usta.  
Niech się uzali nad głodną dziatwą,  
Co kraj dokoła przebiega pusty  
I ręce łamie w bólu i trwodze!  
— Brat mój zagniewan, zżyma się srodze,  
Przez lat go siedem Wulkana miła  
Swojemi czary złudnie mamila;  
Wczora tak swoje wyznał mi żale:

<sup>1)</sup> Po bułgarsku miesiąc rodzaju żeńskiego.



— Dwie doby jeszcze jam cierpieć gotów;  
 Jeśli Wulkany nie ujrzę wcale,  
 Z góry na ziemię rzucę się wściekły,  
 Sypnę pociskiem ognistych grotów;  
 Ziemię i ludzi na proch popalę.  
 Gdy wszystko spłonie pod żary memi,  
 Znow będę nowęj przyświecał ziemi.

Słyszają to króle, łzy im pociekły.  
 Wielkiemi strugi z oczu im płyną,  
 Wyrzekną wreszcie: — O miesięczyno!  
 Jak oddać słońcu dziwę Wulkanę?  
 Niech jego serce rozradowane,  
 Niedoli naszój wnet się użali!

A miesięczyna tak im odpowie:  
 — Jutro objatę złożyć wam z rana;  
 Potém do uczytę siądźcie królowie,  
 Niech wam dziewczotka służy Wulkana;  
 A kiedy w końcu biesiady waszój  
 Rumiane wino spełnicie z czaszy,  
 Weselne pieśni zanućcie społem:  
 Wtedy kolébka błyśnie nad wami,  
 Promienistemi tkana gwiazdami;  
 Wnet się nad waszym zatrzyma stołem;  
 Niech-że w nią każdy wstąpi koleją,  
 Gdy przyjdzie kolej królewskiej córy,  
 Niechaj kolébką wszyscy zachwieją;  
 My ją pociągniem lekko do góry!  
 Jak ujrzy słońce dziwę uroczą  
 Przy swoim boku w promiennój sali;  
 Radość mu lica blaskiem zapali,  
 Rozwieje chmury co ziemię mroczą,  
 I nowe życie zbudzi w jój łonie:  
 Ogrzeje ciepłem, światłem owioniel

Tak miesięczyna wyrzeczę blada.  
 Do matki swojój żywo pobieży,  
 Wnet z nią do słodkiej siądzie wieczerzy.

Drużyna królów serdecznie rada  
 Przed Pierwokrólem pospołu stanie:  
 — Przestańże płakać, otrzyj łzy, panie,  
 Bóg nie pogardził próśby naszemi.  
 Przez miesięczynę mówi nam z nieba:  
 Dlaczego słońce nie grzeje ziemi.  
 Krwawą objatę złożyć nam trzeba,

I do biesiady zasiąść pospołu,  
 Wulkana służyć będą u stołu.  
 Ona preczysta jak te dziewoje,  
 Co zamieszkują niebieskie progi.

Pierwokról żartko rwie się na nogi,  
 W te do sług wiernych słowa zagadnie:  
 — Pospieszcie żywo na pola moje,  
 Gdzie wyborowe pasą się stada;  
 Tysiąc jałówek przywieść tu żwawo,  
 Godnych świętego noża ofiary,  
 Złożyć z nich mamy objatę krwawą;  
 Potém do głównej zniść wam pieczary.  
 Stoi tam w kadzi trzyletnie wino;  
 Ogromną beczkę wybierz, drużyno,  
 Z niéj tysiąc wiader utocz, a potém,  
 Postawić beczkę na wóz ognisty,  
 Co przez powietrze mknie ptaka lotem.  
 W jedną godzinę zbiedz wam obszary,  
 Drugą wam przebyć w głębi pieczary;  
 Za pół godziny stanąć w mym progu:  
 Jutro w poranku z krwi ofiar czystéj,  
 Świętą objatę złożymy Bogu.

Co żywo sładzy na pola jadą,  
 Gdzie się wypasa bydło gromadą;  
 Tysiąc jałowic chwytają radzi,  
 Godnych pod nożem iść na ofiarę;  
 Potém w królewską znijdą pieczarę.  
 Trzyletnie wino stoi tam w kadzi,  
 W wielką wytoczą beczkę płyn czysty,  
 Położą beczkę na wóz ognisty:  
 Wóz się w powietrze wzbil ptaka lotem,  
 Lecz jałowice wzlecieć nie mogą<sup>1)</sup>!  
 Zadrżeli sładzy przejęci trwogą,  
 Kędyż do pana zdążą z powrotem?  
 Wszyscy pochylą głowy w pokorze:  
 — Ty nas poratuj o dobry Boże!  
 Dmchnij wiatr silny z górnych przestrzeni,  
 Niech pcha coprędzój jałowic stada;  
 Gdyż przez powietrze wozem z płomieni

<sup>1)</sup> Krowy nie mogą latać. Jest to ciekawy zabytek pojęć wedyjskich. Hymny ksiąg Wedy nazywają „Krowami“ obłoki, a dym porównywają do mleka albo do krwi bydła.

My na królewskim staniemy dworze;  
 Niechże w dziedziniec wnijdzie gromada,  
 A rozradowan król jój widokiem,  
 Już nas nie wyda na straszne męki,  
 Ani téż zamknie w lochu głębokiem,  
 Gdzie kłami dzwonią smocze paszczękil  
 Słowo mknie w górę chyżemi loty,  
 A pan z zanadrza dobył klucz złoty;  
 Rozmyka złote gmachu wieżeje,  
 Gdzie trzyma wichrów chorowód cały,  
 Silnym po ziemi wiatrem powieje;  
 Powala góry, druzgocze skały,  
 Dmie na jałówki i wielkiem stadem  
 Lecą za wozu ognistym śladem.

Stanął przed panem sług poczet długi.  
 Skoro Pierwokrół spostrzegł ich z blizka,  
 Wielką radością oko mu błyska;  
 Hojnie obdarza swe wierne sługi.  
 Siedemdziesięciu królów przyzywa  
 W wielki dziedziniec, niechże u progu  
 Złożą ofiarę na chwałę Bogu,  
 Aby słońeczko jasne i ciepłe  
 Rozradowało pola zakrzepłe.

Spieszyna drużyna królów szczęśliwa,  
 W wielkim dziedzińcu radośnie rzeże  
 Tysiąc jałówek Bogu w ofierze;  
 I krew wytrysła, i strugi wrzące  
 Wnet się rozciekły po miękkiej łące.

Siedemdziesięciu królów zasiędzie  
 Na podwyższeniu za wielkim stołem;  
 W cześć Boga piją przy tym obrzędzie,  
 Rumiane wino z sercem wesółem!  
 Królom dziewojka służy Wulkana.  
 Słonecznym blaskiem lica jój płoną,  
 Rąbek miesięczny słońi jój łono;  
 Gwiazdkami szata wkoło zasiana.  
 Długa jój kosa spływa do ziemi,  
 Odblask złocisty bije z warkoczy,  
 A płomieniste dziewczeczki oczy  
 Niby pochodnie jasne Erebul  
 Pierwokrół zasiadł za stół z drużyną.  
 Stół zastawiony misy pełnemi;  
 Piją królowie na chwałę niebu,  
 Ze złotych czaszy rumiane wino!

A jasne gwiazdy z światów bez końca  
 Zbiegły się rojem w podwoje słońca.  
 Tkają kolébkę z złotych promieni,  
 I pieśń weselną śpiewają kołem,  
 Bo promienisty brat ich się żeni.

Dość ucztowała królów družyna,  
 Moc rumianego wypika wina;  
 Pieśni weselne zanuci społecm,  
 Śpiewa godzinę jedną i drugą;  
 A gdy zaledwie kończy pieśń długą,  
 Z nieba gwiazdzista spada kołyska,  
 I nad królewskim zawisła stołem.  
 Wzrok Pierwokróla zarem połyska,  
 Serce mu pełną bije otuchą.  
 Do królów słowy ozwie się temi:  
 — Na prośby nasze Bóg skłonił ucho,  
 On nam przebaczy; ufać Mu trzeba.  
 Jasne słońeczko błysnie nam z nieba,  
 Znów łono skrzepłej ogrzeje ziemi.  
 Jak ta kołyska cudnie się żarzy!  
 Cała w promienne gwiazdy utkana,  
 Gdy w niej zasiędzie moja Wulkana:  
 Tu méj dziewczeczce będzie do twarzy!  
 A na to królów siedemdziesięciu:  
 — Niech się Wulkana w niej zakołysze,  
 Cudnież to będzie twemu dziecięciu!

Wsiadła: królewscy wnet towarzysze  
 Radziby zachwiać kołyską cudną;  
 Lecz ją poruszyć trudno, oj trudno!  
 Ona się w górę podnosi cała,  
 Wulkana łzami oczy zalała.  
 Płacze i woła: — Ojczy mój drogil  
 Nie z ręki Bożej ten dar nad dary,  
 Słońce mnie swemi urzekło czary;  
 W swe promieniste ciągnie mnie progi:  
 Po to mnie woła, po to mnie bierze,  
 Bym jego matce służyła staréj,  
 Z dawna mnie słońko miłuje szczerze;  
 Jam go zwodzika; biadaż mi biada!  
 Dziś mnie wet za wet słońko zdradziło!  
 Pierwokról patrzy w dziewczojkę miłą,  
 Łezka za łezką z oczu jój spada,

I żal ogarnie królewską duszę,  
 Jasnój kołyski mocno się czepi:  
 — Gdzie ty, zawoła, ja tam być muszę:  
 Bez ciebie, córko, umrzęczy lepij!

Siedemdziesięciu króle zdumieni  
 W jasną kołyskę wlepiają oczy;  
 Jeszcze nie znikła w modrej przestrzeni,  
 Z pola król Braik cwałem przyskoczy.  
 Koń jego rzędem przystrojon złotym,  
 Wichry prześciga rączym polotem.  
 Król w ręku jasną trzyma pochodnię,  
 Co mu rozświeca ciemne obszary,  
 Drugą bogate przynosi dary:  
 Przyszłego teścia rad uczyć godnie!  
 Jeszcze król ziemi stopą nie tyka,  
 Śmiało zakrzyknie—śpiesz tu Wulkano!  
 Wkrąg po dziedzińcu prowadź konika,  
 Bo zmordowany, okryty pianą!

Daremnie wołał nikt nie odpowie,  
 Próżno się zżyma; nikt nie posłyszcy,  
 Aż siedemdziesięciu rzekną królowie:  
 — Bracie Braiko, mów trochę ciszej!  
 Niech uznojony koń ziemię grzebie,  
 Ty na krużganku zasiądź wysokiem;  
 Powiedz oczyma po jasném niebie,  
 Patrz-li na piękną twoją dziewczoję,  
 Jak w złote Słońca wchodzi podwojel

Słyszcy to Braik, rączym poskokiem  
 Rzuca się z konia, na ganek bieży,  
 Spojrzy ku niebu z wierchołka wieży:  
 Widzi Wulkanę, jak coraz dalej,  
 Odbiega z ojcem po siniej fali.  
 Serce Braika ogniem rozplonie,  
 Szalona boleść kipi mu w łonie;  
 Nagle mu skrzydła z bark zafurkoczą,  
 Sokolim lotem prześciga chmury,  
 Wzbijają się... wzbijają... leci do góry;  
 W ślad za kołyską leci urocza...  
 Jeszcze i jeszcze... doleciał z blizka,  
 Wnet ją pochwyci z szaloną siłą:  
 Wtém, w bramach Słońca znikła kołyska;  
 Upadł na ziemię martwy Braiko:  
 Nie rzecze słowa, ręką nie ruszy!

Patrzą nań króle żałośni w duszy,  
 Wiernego sługę wyprawia w gońca,  
 Tam kędy ziemia sięga do końca;  
 Niech Samowila Juda przybieży,  
 Niech da choremu z ziół odwar świeży:  
 Braiło młody, umrzełby szkoda!  
 Śpieszy lekarka z świata krańczoney,  
 Zioła i leki choremu poda.  
 Żwawo na nogi rwie się Braiło,  
 I tak do królów rzecze drużyny:  
 — Niech jasne Słonko skarże Bóg z nieba,  
 Że mi wydarło dziewczojkę miłą;  
 Skorom postradał cudną dziewczoję,  
 Teściowe ziemie zabrać mi trzeba:  
 Może się serce pocieszy mojej!

I zabrał ziemi krańczoney całą,  
 Siedemdziesięciu królów zostało;  
 Czekają w grodzie rychło-li z góry  
 Pierwszy Słoneczka brzask zamigoce,  
 Czekają króle trzy dni, trzy noce;  
 Czarnym tumanem ziemia zasłana:  
 Promyk przez chmury nie błysnie złoty!

Gdy z ojcem swoim dziewa Wulkana  
 Za słonecznemi stanęła wroty,  
 Spało Słoneczko na matki łonie.  
 Budzi go matka: — Dość już spoczynku,  
 Mój jasnawłosy! zbudźże się synkul  
 Zobaczże, zobacz twoje kochanie:  
 Tam ciebie czeka w przedsionku sali!  
 Próżno go budzi, Słonko nie wstanie,  
 Snać mu sen twardy upadł na oczy:  
 Aż się pomału budzić zaczyna,  
 Jasny rumieniec lica mu pali,  
 Zerwie się żywo, na nogi skoczy:  
 — Niechaj tu przyjdzie w lot Miesięczyna.  
 — Miła siostrzyczko, słodko wyrzeczce,  
 Przynieś mi żywěj wody ze strugi,  
 Żar mi okrutny powieki piecze;  
 Zmęczył je widać sen nazbyt długi.  
 Idzie siostrzyczka gdzie brat iść każe;  
 Wodę z krynicy niesie dalekiój;  
 Świeżuchną wodę w złocistej czarze;  
 Zlewa nią zbrzękłe brata powieki.  
 I z cicha rzecze nad nim schylona:  
 — Zwróć tam, braciszku, zwróć oczy twoje,

Tam cię Wulkana czeka dziewica;  
Skoro powstaniesz z macierzy łona,  
Wnet ucałuje twe jasne lica!

Słonko spostrzegło cudną dziewoję,  
I wielka radość lica mu płoni,  
I temi słowy ozwie się do niéj:  
— Kochanie moje! Wulkano droga!  
Przez tak cichutko siedzisz u proga?  
Wnijdź w płomienistą moją świetlicę  
Błyszczące moje ucałuj lice;  
Niech ucałuję twe cudne oczy!

Ledwie że nogą na próg wstąpiła,  
Słoneczko do niéj żartko przyskoczy:  
— Witajże, witaj dziewczynko miła!  
Twarz jej rumieniec oblał różowy,  
I cichutkiemi odszepnie słowy:  
— Witaj, Słoneczko moje błyszczące!  
Do lic mu usta przyłoży drżące;  
Słonko, ty pierwsze moje kochanie,  
Daj się ubłagać prośbą i łzami,  
Ojciec tu ze mną przybył z daleka:  
W jasnym przedsionku na ciebie czeka.  
Niech tu nasz dobry ojciec zostanie,  
On tak niewinny jak czysta dziewa  
Co postępuje Bogu na niebie.

— Skoro tu przybył, niech będzie z nami,  
Niech się nie żali nigdy na ciebie:  
Gdy się na ciebie ojciec pogniewa,  
Gdy tu zatęskni, gdy się pożali  
Słoneczny dworzec na proch go spali.

Potém do matki tak Słonko rzecze:  
— O! matko moja, matko rodzona,  
Dziś w sercu mojem wielkie wesele:  
Niech z ziemi chmurna spadnie zasłona;  
Niech się radują serca człowiecze,  
Jasnemi z nieba zabłyszczą żary:  
Kłós się dojrzały na pola ścięły;  
Niech ludzie rzucą ciemne pieczary,  
Niech wyjdą żeńców gromady całe,  
Zbierać na polach plony dojrzałe.  
W pieczary swoje niech ręczo zgarną  
Zapas na zimę: paszę i ziarno.

Widziałem Boga co dzierży deszcze.  
 — Słonko ty jasne, rzekł do mnie wczora,  
 Świećże ty ziemi trzy niedziel jeszcze,  
 A skoro twarda nadejdzie pora,  
 Z progów ognistych nie wychyl głowy;  
 I ja mój zamknę dworzec deszczowy,  
 I w mym śnieżystym zasięę dworze;  
 Na oścież zwartą bramę otworzę.  
 Niech trzy miesiące śnieg pruszy ziemi,  
 Niech ją odzieje płaty białemi;  
 Trzy lat mnie ziemia nie czi objatą;  
 Niech sroga zima ściśnie ją za to.

Ja teraz idę, mateńko droga!  
 Blaskiem ucieszyć ziemię stęsknioną,  
 I ciepły promień złożyć w jęj łono;  
 Przez trzy mi tylko świecić niedziele,  
 Za czém śnieg biały ziemię zaściele.  
 Idźże ty matko w niebo do Boga,  
 O méj Wulkanie zanieś Mu wieści;  
 Mów, żem ją przywiódł żywą do siebie  
 W płomiennym dworcu mam cud niewieści,  
 Wolnoż-li żywéj przebywać w niebie?  
 Idź potem matko na łaki moje:  
 Dwie jałowice pochwyć za rogi,  
 Com je od królów dostał w ofierze;  
 Niech uczczę moją piękną dziewoję,  
 Ty nam przygotuj smaczną wieszczę.

Tak Słonko matkę wyprawia miłą,  
 Potém do góry zwolna się wzbiło;  
 I znów, jak dawniej, przyświeca ziemi.  
 Kiedy zabłysło płomieniem złotém,  
 Króle do domu śpieszą z powrotem;  
 A gdy królowie do domu jadą,  
 Lud śpieszy w pole całą gromadą,  
 Żnie białe kłosa garściami pełnemi  
 W ciemne pieczary na zapas chowa;  
 Aby mieć jadła k'woli potrzebie,  
 Gdy zadmie rychło zamieć zimowa.  
 A jasne słonko świeci na niebie,  
 Połyska ziemi, ciepłem dogrzewa,  
 I w płomieniste patrzy swe progi,  
 Kędy się kryje Wulkanu dziewa  
 I ku macierzy pogląda drogiój!



A stara matka w południe sama,  
 Przed złotą nieba stanęła bramą,  
 I tak do Boga rzecze w pokorze:  
 — Wolaż w tém Twoja, o dobry Boże!  
 By przebywała dziewczotka żywa,  
 W mojego syna promiennym dworze?  
 Aby słońeczko jasne kochała  
 I Tobie także służyła Panie?  
 Ona niewinna jak młoda Dziewa!  
 — Niechże Wulkana w niebie zostanie,  
 Czemużby u was gościć nie miała?  
 Twego niech kocha jasnego syna,  
 I mnie niech służy cudna dziewczyna.

I stara matka spieszy wesoło,  
 Na łąkę kwieciem utkaną wkoło;  
 Dwie jałowice za rogi bierze,  
 Obie do domu wiedzie, a potem  
 Smaczno przyrządza sama wieczerzę;  
 Zastawia jadło na stole złotem,  
 Czeka rychło-li syn jasnowłosa,  
 Zasiędzie z miłą przy jednym stole.  
 Słońko się bardzo, bardzo spóźniło,  
 Spojrzało w ziemię, tam na padole  
 Ciężko się żali smętny Braiło,  
 Na swą dziewczynkę, na swe kochanie,  
 Że przed nim w jasne zbiegła niebiosy.

Słudzy w około otoczą pana:  
 — Nie płaczże, nie płacz królu nasz panie,  
 W gości do Słońca poszła Wulkana;  
 Ona powróci za rok do ciebie.

Braił w rozpaczę włos sobie targa,  
 Słońko szydyczym patrzy nań wzrokiem;  
 Niech sobie płaczę, daremna skarga.  
 Coraz to bardziej blednie na niebie,  
 Aż noc pokryła ziemię pomrokiem;  
 Szybkiemi loty Słońko ucieka,  
 Do boku stariej wraca macierzy,  
 Kędy go miła biesiada czeka.

Wszyscy obsiedli stół przy wieczerzy,  
 A matka słodko zagadnie syna:  
 — Co cię tak długo wstrzymało w drodze?  
 — Nie pytaj o to matko jedyna,  
 W ziemski ja padół utkwilem oczy,  
 Tam król Braiło strapiony srodze,

On płacze swojej dziewy uroczej.  
 Byłażeś matko w niebie u Boga,  
 Zaniosłażeś-li wieść o Wulkanie?  
 Zostanież z nami dziewczeczka droga?  
 — Byłam ja, byłam mój synku miły,  
 Wulkana dziewa z nami zostanie.  
 Lica się Słońca rozpogodziły,  
 Przy swój dziewojce do uczyt siada,  
 Pierwokról zasiadł z nimi pospołu,  
 W smak mu przypadła słodka biesiada,  
 Nie było tylko wina u stołu.

Król rumianego ułaknął wina,  
 Co się trzy lata w beczce wystąpiło;  
 Radby wychylić czareczkę małą.  
 Słońce się dziwi, snać wstąpił mu wielki,  
 U stołu wina ani kropelki!  
 Zagadnie matka: — Gdzie miesięczyna?  
 Siostrzyczka chowa klucz od pieczary,  
 Ona pamiętać zwykła o winie.  
 — Twoja siostrzyczka z jasnego nieba,  
 Ścieżki wędrownój znaczy drużynie,  
 U mnie w schowaniu leży klucz złoty.  
 — Utoczy matko starego wina  
 I na stół podaj złociste czary;  
 Przy winie serce trosk zapomina,  
 Niech król nie zazna u nas tęsknoty.

Matka odmyka ciemną pieczarę,  
 Wielki dzban wina utoczy z kadzi;  
 Takiego wina ziemia nie znała,  
 Pierwokról spełnia za czarą czarę,  
 Wszyscy uczują serdecznie radzi,  
 W trzy godzin uczta kończy się cała,  
 Słoneczka lice rumieńcem spłonie.  
 — Matko ty moja, rzecze syn młody,  
 Długom spoczywał na twojem łonie;  
 Inne mi teraz przypadły gody,  
 Ty mi przygotuj złote wezglowie.  
 — Nie mam ja żalu, matka odpowie,  
 Wiem ci ja dawno, ach pierś matczyną,  
 Czyż ona długo starczy dla syna?  
 Czas tobie własne usłać już gniazdo,  
 Niechże się rychło szczep twój rozplemi;  
 Niech syn twój sławnym będzie na ziemi,  
 Pomiędzy królmi niech będzie gwiazdą;  
 Niech wiedzie ludy mnogie do chwały

I smoczą hydrę zgładzi ze świata,  
 Co swém brzemieniem ziemię przygniata  
 I grodzi drogę za Dunaj biały,  
 Kędy się puszcza ciągnie daleka,  
 Nie wydeptana stopą człowieka.

Dnie i miesiące płyną jak woda.  
 W niebiosach gości Wulkana młoda:  
 Miłuje słońko i Bogu służy,  
 Ale pozostać trudno jój dłużej;  
 Bo wielka dla niój doba nadchodzi,  
 Już jój w słonecznym nie gościć świecie,  
 Sławny król pługa ludom się zrodzi.  
 Niechże na ziemi ujrzy świat dziecię,  
 Błaga słońeczko prośby rzewnemi,  
 Niechże ją spuści na padół ziemi,  
 Ciężkie ją, ciężkie czekają trudy;  
 Lecz są na ziemi cudowne zioła,  
 Są tam cudowne lekarzki Judy.

Słońko zadosyć czyni jój woli,  
 Siostrzyczki gwiazdy z niebios powoła;  
 Niech dla Wulkany kołyskę złotą,  
 Z jasnych promieni razem uplotą.  
 Niech ją na ziemię spuszczać powoli,  
 Żywěj nie boléc w słonecznym niebie.

Siostrzyczek gwiazdek zbiegły się chmary,  
 Świeci kołyska z promieni tkana;  
 W jasną kołyskę siada Wulkana,  
 Z nią siada ojciec pierwokról stary.  
 Z nieba ku ziemi kołyska płynie,  
 Śpiewają gwiazdy, pieśń się rozlega  
 Po ziemi całej z brzega do brzega!  
 — Idźże siostrzyczko, idź ku dolinie,  
 Wielkie tam ciebie czekają trudy;  
 Tam Samowilę kryją się Judy:  
 Niechże ci jednę ojciec przywoła,  
 Ona zakłętę da tobie zioła.  
 Tam się cudowne zrodzi twe dziecię,  
 Co wielką chwałą błysnie po świecie:  
 Królem go Sadem nazwą narody;  
 Miejsca mu w własnej zbraknie krainie,  
 Pójdzie za białe Dunaju wody,  
 Tam niezmierzone zajmie pustynie.

Ledwie że gwiazdy pieśń dośpiewały,  
 Jasna kolébka zbiegła ku ziemi,

Zbiegła przed króla dworzec wspaniały.  
 Już król Braiło z druchy śmiałemi,  
 W swoje dalekie powrócił kraje:  
 Słudzy, czelady, bram dworu strzegą,  
 Głębokie panu biją pokłony:  
 Król upominki szczerze im daje,  
 Że wiernie dworu strzegli pustego.

Pierwokról chyżo wysyła gońca;  
 Niech kraj przebieży z końca do końca,  
 Siedmdziesiąt królów niech przyjdzie społem,  
 Odda mu pokłon, uderzy czołem,  
 Bo w dworu swego złociste progi,  
 Pan ich z dalekiej powrócił drogi!

Trzy dni, trzy noce goniec przelata,  
 Zwołuje gości z wszystkich stron świata;  
 Siedmdziesiąt królów spieszy ochoczo  
 Z dalekiej drogi powitać pana;  
 Swych wiatronogich koni doskoczą,  
 Przed Pierwokrólem zegną kolana,  
 Pokłony biją pełni otuchy:  
 Król upominkiem każdego darzy  
 I pocałunek składa na twarzy,  
 Rad podejmuje miłe swe druchy.

Ledwie królowie gród opuścili,  
 Niemoc ogarnia piękną Wulkanę;  
 Król śle co żywo w kraj Samowili  
 Sługę Czeladę; ścieżki jój znane:  
 Niechże lekarkę Judę przywoła,  
 Co ma na leki cudowne zioła!  
 — Zbież kraj, Samowil, chżym polotem,  
 Godzinę czasu daję ci całą;  
 Przez pół godziny zdążyj z powrotem.

Wierna Czelada pospieszy śmiało,  
 Skrzydła na oba przypnie ramiona,  
 Bo Samowilą była i ona.

Leci i leci przez obszar siny,  
 Chyżo dobiegła do Jud krainy;  
 Wchodzi w pieczarę, tam wkoło stołu  
 Judy wieczerze jedzą pospołu,  
 Tylko lekarka nie siedzi z niemi.  
 Siostry do uczyt proszą daremnie;  
 Lekarka słowy rzecze słodkiemi:

„Jedźcież wy same, jedźcie bezemnie,  
 Wieczerzać z wami dziś ja nie mogę:  
 Mnie czas w daleką pospieszyć drogę.

Kiedym chodziła rankiem po łące,  
 Słoneczko na mnie spojrzako z nieba,  
 I rzekło do mnie słońko błyszczące:  
 — Tobie się w drogę sposobić trzeba,  
 Pierwokról przyśle gońca przed nocą;  
 Idźże na kraniec ziemi daleki,  
 Nieś jego córce zioła na leki;  
 Wulkanie mojej spieszże z pomocą:  
 Ona jedyne moje kochanie!

Lekarka Juda jeszcze mówiła,  
 Gdy nagle przed nią Czelada stanie;  
 Złociste jabłko składa w jej dłonie,  
 I temi słowa ozwie się do niej:  
 — Król błaga ciebie o Judo miła!  
 Spiesz na dalekie ziemi krańczone,  
 Zabierz na leki cudowne zioła,  
 Jego Wulkanie córce jedynj.

— Cudownych ziółek nie mam ja zgoła,  
 Ogniste słońko, skarz-że je Boże,  
 Takie na ziemię zesało spieki,  
 Że do dna wyschły wody w jeziorze,  
 Kędy zbierałem zioła na leki;  
 Cóż ja bez ziela sama pomogę,  
 Skoro go nie mam iśćże mi w drogę?  
 — Szukajmy, wierna odpowie Juda:  
 Może nam ziele znaleźć się uda.

W górę parowem pobiegły obie.  
 Próžno, ach próžno! trawy zgorzały!  
 Nieznależć ziela ni szczypty małej,  
 I tak się obie modlą do słońca:  
 — Słoneczko miłe, słoneczko złote!  
 Co krążysz światem z końca do końca,  
 Chmury i wichry postuszne tobie,  
 Zgaś twych promieni straszną spiekotę.  
 Niech wietrzyk dżdżysty ziemię owionie  
 I wzbiorą wody w jeziora łonie,  
 Aby wyrosło na świeżej łące  
 Ziółko co twoją uleczy miłą.

Słońko na prośbę nakłoni ucha:  
 Wnet rąbkiem chmury lica pokryło,  
 I powstrzymało żary pałace.  
 Ledwie na ziemię padł deszczyk mały,  
 Już się murawa zieleni sucha;  
 Wody jeziora nagle wezbrały,

Wśród nich cudowne wyrosło ziele,  
 Juda go zbiera i w kraj daleki  
 Córce królewskiej niesie na leki.

W piersi Wulkanój tchu już nie wiele:

— Spiesz, woła, Judo! jam taka młoda,  
 I tak mi życie słodko się toczy!

— Nie płacz Wulkano! otrzyj z łez oczy,  
 Długo ci, długo żyć tu na ziemi!  
 Rzekła, z zanadry dobywa kwiecie;  
 Leczące ziele królownie poda  
 I czarodziejską tych leków siłą,  
 Gasnące życie znów się zbudziło!

Na świat przychodzi cudowne dziecię,  
 Słonecznym blaskiem oko mu pała:  
 Gdy tknęło ziemi, ziemia zadrżała!

Tak syn do matki mówić poczyną:

— Matko ty moja, matko jedyna,  
 Ja nie mam ojca między żywemi;  
 On nad chmurami tam mieszka w górze,  
 Kto mi wyprawi gody na ziemi?  
 Przywoła do mnie dziateczek roje?  
 Kto przyszłe druhy ugości moje?

— Nie trwóż się synku, moje ty złoto,  
 Pierwokról sprawi gody dziecięciu;  
 On dzierży ziemi obszary duże,  
 Władą nad królmi siedmdziesięciu.

Pierwokról druhy sprasza z ochotą,  
 Do dom powołał dziatczek wiele;  
 I trwała uczta przez trzy niedziele.

Piją królowie rumiane wino,  
 I królem Sadem mianują dziecię;  
 Gdy się król rozstał z miłą drużyną,  
 Gdy się rozbiegli króle po świecie,  
 Dumieje chłopiec, poruszy głowę,  
 Takie do matki wyrzeczę słowo:

— Mateńko moja, mateńko własna!  
 Twój ojciec starszym królem na ziemi;  
 Jego dziedzina przecież za ciasna:  
 Niema gdzie matko mieścić się komu,  
 Ani nowego zbudować domu.

Wszystko tu starcy zabrali sobie,  
 Niech ja w świat pójde z druhy młodemi,  
 Do dalekiego pójde gdzie kraju;  
 Tam nowe gniazdo im przysposobię,

Mnie Pierwokrólem ich być przystało;  
 Niechże przysiedzie doma król stary:  
 Niech tu starszyźnie przewodzi z chwałą!

— Są ci, mój synku, żyzne obszary,  
 Poza białemi wody Dunaju.  
 Chciał ojciec zdobyć te łąny świeże,  
 Lecz tam smok siedzi, potwór straszliwy.  
 Pustych obszarów przez wieki strzeże,  
 Nie tknął tej ziemi stopą człek żywy,  
 Ani ptaszynka nawet skrzydlata,  
 Poza Dunajem gniazdka nie ściele:  
 Kto raz tam poszedł, przepadł dla świata.

Słyszysz to dziecko, zżyma się w duszy,  
 I drobną główką z gniewem poruszy.  
 — Matko ty, rzeczce, złota mateńko,  
 Jam chwil na ziemi przeżył nie wiele;  
 Dźwignęż ja oszczep rączką maleńką,  
 Dzieckuż do boju wyzywać hydrę?  
 Lecz niech trzy długie ubiegną lata,  
 Krwawe ze smokiem stoczę zapasy,  
 Czarnemu trzewia z pod serca wydrę!

— Milczałbyś synku, co tobie w głowie,  
 Byliż na ziemi dawnemi czasy,  
 Byli przestawni bohaterowie:  
 Ten, ów za bary wziął się ze smokiem,  
 Smok wszystkich popchnął na dno Dunaju:  
 Tobież z nim walczyć siły wątłemi?  
 — Niechno wyrosnę, matko jedyna,  
 Będzież bohater z twojego syna!  
 Takich nie było jeszcze na ziemi!  
 — Rośnij mi synku, niech cię Bóg wspiera,  
 Młódz do pustego prowadź-że kraju!

Zawczasu chłopiec wzrosł w bohatera,  
 Mocne ma ramię, dzielny hart duszy;  
 Gdy lat trzech dobiegł, kamień rozkruszy.  
 Potém wyprawi do swoich posła:  
 Niech-że się zbierze młodzież dorosła,  
 Cudne dziewice, junaki śmiałe,  
 Kto żyw niech ujmie złocistą strzałę.  
 W wielkim ich grodzie młody król czeka,  
 On ich powiedzie w puste obszary  
 Jeszcze nie tknięte stopą człowieka!

Tam pługiem rolę pokrają czarną,  
I białe na nią posieją ziarno:  
Tam pobudują wielkie pieczary!

Przez trzy niedziele goniec wciąż bieży,  
Krew zakipiała w sercu młodzieży.  
Wnet tłum ochoczy przed królem stanie,  
Złote ma strzały w złotym kolezanie.  
Żartkiego konia król w lot dosiędzie,  
Co pod niebiosa sięga w rozpędzie;  
Do swój drużyny rzecze te słowa:  
— Junaki dzielne, hufcu mój młody!  
Wam z mym biegunem lecieć w zawody!  
Idźmy bez trwogi, Bóg nas uchowa,  
Na proch nam zetrzeć straszny ród smoczy,  
Co swém brzemieniem ziemię przywała.

Młodzież z zapałem króla otoczy,  
W te tropy za nim płynie jak fala.  
Tylko dziewice gorzko zapłaczą,  
Żal im domowe rzucać ogniska;  
Ciężko im nogą deptać tułaczą,  
Na cudzej ziemi, cudze cierniska!

A król słodkimi cieszy je słowy:  
— Płacz nie pomoże, tęsknota marna;  
Wam kopać grzędy w ziemi jałowój,  
Posiewać na niej bieluchne ziarna;  
Wam pozazdrości świat błogiej doli,  
Gdy z tych posiewów plony wyrosną:  
Tak bujnej nigdzie nie znaleźć roli.

I lica dziewic płoną radosno.  
Idą poprzędzie w nieznane drogi,  
Aż nad Dunajem stanęły białym;  
Widzi drużynę potwór złowrogi,  
Zmierzy junaki wzrokiem zuchwałym,  
Wywlecze kadłub z pod białej fali;  
W czarnym parowie na łupy czeka,  
Niech krok postąpią w proch ich powali.  
Król Sad na Hydrę patrzy z daleka,  
Silném mu tętnem serce uderzy,  
Bieguna w żartkim powstrzyma pędzie.  
Słowo do dzielnej rzecze młodzieży:  
— Stójcie junacy, czekać nam lepij;  
Przez wyszczerbione tych skał krawędzie  
Widzicie straszny blask smoczych ślepi!



Stoją.... Nikt nie wie co dalej będzie.  
 A król co żywo z konia zeskoczy,  
 Oba kolana zegnien w pokorze;  
 W jasne niebiosy podniesie oczy  
 I tak się modli: „Dobry mój Boże!  
 Na twą drużynę spójrz z wysoka,  
 Daj nam straszego zwyciężyć smoka!  
 Daj z jego paszczy wydrzeć obrzydłój  
 Pola co kłosa zrodzą nam świeże,  
 My Tobie za to złożym w ofierze,  
 Czarnego ptaka z lotnemi skrzydłi!  
 I Bóg nakłonił ucho życzliwe,  
 Do boga słońca szle małą diwę,  
 Niech wielki płomień z nieba się stoczy!  
 Niech na proch spali straszny ród smoczy!

Ledwie bóg Ogień z rąk dziewy czystej  
 Otrzymał rozkaz Wielkiego Boga,  
 Rzuci na ziemię grom płomienisty;  
 A gdy po ziemi przemkła pożoga,  
 Na ziemi było straszno i ciemno;  
 Tylko po białej Dunaju fali  
 Głuchy się okrzyk rozległ tajemno.  
 Takimi skargi potwór się zali:  
 — O! królu Sądziel! skarz-że cię Boże;  
 Z ręki twój królu ja konam młody;  
 Ty pola moje posiejesz w zboże.  
 I plusnął w białe Dunaju wody!  
 Długo się fala kołysze drżąca,  
 Już ziemi smocze nie cięży plemię,  
 Co jój ciężyło od lat tysiąca!

Radosny w sercu król junak śmiały,  
 Z nieczystej hydry uwolnił ziemię;  
 Lecz jak mu dalej bieżć do celu?  
 Jak mu przepłynąć za Dunaj biały?  
 On nie ma stopy o rybim skrzelu,  
 Co wzdłuż Dunaju mkną lotem strzały.  
 Taką modlitwę szle król do Słońca:  
 — Słonko ty moje, Słoneczko złote,  
 Zgaś twych promieni straszną spiekotę;  
 Spuść ją na białe Dunaju wody,  
 Niech rzeka wyschnie z końca do końca.  
 Niech po niej przejdą junacy moi!  
 Tak się do Słońca modli król młody.  
 Słonko na prośby nakłoni ucha,

Rozmyka bramy swe promieniste,  
 Z nad czoła rąbki odrzuca mgliste;  
 Gorącym zarem pierś mu wybucha.  
 Jaskrawym blaskiem wzrok zamigoce,  
 Zanurzył oczy w Dunaju łono:  
 Pali go, pali siłą szaloną,  
 I gdy minęło dwa dni, dwie noce,  
 Kędy był Dunaj ścieżka tam sucha!

I tak król przeszedł za Dunaj biały,  
 I przeszedł zastęp młodzi ochocze! Trzymają w ręku złociste strzały;  
 Żali-ż im drogi smok nie zaskoczy?  
 Już nie zaskoczy hydra obrzydła!  
 I młode serca w otuchę rosną,  
 A król do do druhów rzecze radosno:  
 — Bracia wy moi, dzielne junaki,  
 W polocie czarne schwycić nam ptaki;  
 Co po nad nami furkoczą w skrzydła:  
 A skoro wstąpił na pola świeże  
 Złożmy je Bogu w świętej ofierze;  
 Bo nas przed strasznym uchronił smokiem,  
 I niósł za Dunaj bezpiecznym krokiem.

Jeszcze król mówił, a ćma skrzydlata  
 Pokryła niebo tumanem chmury;  
 Nad głową druhów lekko przelata,  
 Siecze powietrze czarnemi pióry.  
 Na łup się rzuca dzielni junaki,  
 Każdy za skrzydła pochwytał czarne:  
 Młody król zdobył w locie dwa ptaki,  
 W górę buchają dymy ofiarne!  
 Dosięgły nieba rączym polotem,  
 Ofiara dzielnych niebiosom miła,  
 I Bóg w nagrodę królowi zsyła  
 Łuk pozłocisty z potężnym grottem.  
 Niechże w nim króle uznają pana,  
 Niech Pierwokrólem będzie nad niemi.

Krwawa objata już dokonana,  
 Król stawił nogę na żyznej ziemi.  
 Żyznaż to rola, choć bez uprawy,  
 Cała białemi faluje trawy...  
 Król się weseli zdobytym krajem,  
 Buduje wielki gród nad Dunajem;

W grodzie obsadza wierne junaki;  
 Niechże pól żyznych drużyna strzeże,  
 Niechże odgania cudze grabieże,  
 Gdyby kraj naszedł obcy król jaki!

Młode niewiasty, małżonki hoże,  
 Skopują rolę w pulchne zagony,  
 I posiewają w bieluchne zboże;  
 Jesienią bujne zbierają plony!

I tak do dziś dnia było i będzie:  
 Bieluchne ziarno wschodzi na grzędzie,  
 Król Sad to sprawił! Wieczna mu chwała!  
 Wieść o nim poszła na wszystkie kraje,  
 Z tego piosenka tylko została...  
 Bóg wam daj zdrowie, ja pieśń wam daję.

J Ó Z E F

# KORZENIOWSKI.

STUDYUM LITERACKIE

*Adama Rzężewskiego.*

(D a l s z y c i ą g )

*Garbaty.* Powszechném jest przekonanie, że ludzie ułomni posiadają jakieś wyjątkowe zdolności i talenta, któremi natura usiłuje niejako naprawić krzywdę, formie ich zewnętrznej wyrządzoną. Na przekonaniu tém właśnie oparł Korzeniowski powieść, o której mówić chcemy. Obok twierdzenia jednak powyższego jest jeszcze i drugie, przypisujące tym upośledzonym kalekom złośliwość, zawiść i inne szkodliwe przywary, w skutek ułomności rozwinięte olbrzymio. Oba te sądy zarówno są na obserwacyi oparte, ale drugi z nich

zdaje się słuszniejszy, a i z estetycznym nawet poczuciem naszym daleko łatwiej zgadza się zbrodnia niż cnota w połamane i niekształtne formy ubrana. Dawne przysłowie: „w pięknem ciele piękna dusza“ bardzo wiele w sobie życiowój, a przedewszystkiem estetycznej prawdy zawiera. I jeżeli na przykład niestosownością swoją nie razi nas potworna osoba takiego Franciszka Moora w Zbójcach Szyllera, to natomiast przykre wrażenie, przynajmniej w początku wywierać musi na nas Maryan (Garbaty) w powieści Korzeniowskiego. I z tego to a nie z innego powodu później, kiedy bohater tój powieści cnotą i ofiarnością swoją pozyskuje całą naszą sympatyę, przypominać sobie musimy jego kalectwo, żeby postępowanie i czyny jego zrozumieć. Ta dziwaczność pomysłu była także przyczyną, że w powieści tak naturalnie i pięknie prowadzonej, często ślepy traf, przypadek, nadał kierunek. Mamy tu na myśli naciągnięte trochę spotkanie w Warszawie Maryana z Urszulą, a jeszcze bardziej kupno Jaworowa, gdzie stary Bonawentura, zastępując miejsce wschodniego Aladyna, bohaterowi naszemu w dziejach wygasłego rodu za zbyt identycznie pokazuje własną jego przyszłość. Nie tajemy, że wolelibyśmy tu wzięć prostoty i wyczerpany pomysł, ale mimo to ukorzyć musimy przed autorem głowę, widząc jak talentem swoim tę dziwaczność koncepcji do wysokiego ideału podnieść potrafił. Rozum i zamiłowanie sztuki, oto dwie potęgi, jakie człowieka do znakomitego uszlachetnienia, do poświęcenia, zaparcia się i ofiary doprowadzić zdołały. Mężczyzna z kobietą w tych cnotliwych wyścigach nawzajem idą z sobą o lepsze, ale mężczyzna rozumiejąc swą siłę i obowiązek, nie chce składać na słabe, acz gotowe ramiona ciężkiego brzemienia i woli je wziąć na swoje, kalectwem połamane barki. W rezultacie szczęście wynikające z zadowolenia tajemnych pragnień zostaje udziałem kobiety. I mężczyzna dochodzi także do niego, bo je czerpie z głębi swego sumienia, ale siwy włos na skroni i przedwczesna starość zostały jako ślady odbytej walki.

Zarzut jakiśmy robili dotychczasowym bohaterom Korzeniowskiego, że są zażbyt bladzi i że zamało męskiej natury posiadają w sobie, już tu mieć miejsca nie może. Maryan, jakkolwiek wybuchy czasem namiętnością, ale mimo to ile w nim rozumu, ile mocy nad sobą i energii w przeprowadzeniu powziętego zamiaru. Ten Garbaty, to prawdziwy mąż czy w przyjaźni, czy w miłości, czy w swym stosunku do ojca i reszty rodzeństwa. Jest on nadto artystą a iskra tego świętego powołania złożona w jego duszy jest właśnie węzłem, jaki go łączy z Urszulą. W niej on ją bowiem odszukał, rozniecił i przy jój blasku na wyżyny sztuki wprowadził. Ta artystyczna jednak w obojgu skłonność, mimo częstych estetycznych wywodów, nie rozrasta się wcale do genialnej potęgi i pozostaje tylko jako osłoda i ucieczka przed cierniami życia. Powieściopisarz położył tutaj planowi swemu pewne granice, bo czuł że rozwiniętszy tę stronę ich ducha nie mógłby dojść do podobnego rozwiązania.

Maryan artysta nie dałby rozumowi wziąć góry nad sercem, a Urszula artystka nie widziałyby garbu Maryana olśniona raz siłą jego ducha. Dlatego jakkolwiek szanujemy w Garbatym sztukę, bo to jedno z ważnych źródeł szlachetności jego, więcej jednak cenimy w nim człowieka aniżeli artystę. Jako człowiek, Garbaty jest charakterem znakomitym. Również piękną, jakkolwiek o wiele mniej wystudowaną jest Urszula. Niezupełnie może tylko uzasadniona jest nagła zmiana jej charakteru z pustej, wesołej i trzpiotowatej dziewczyny, na rozsądną i poważną kobietę. Ale oderwanie swawolnego wiejskiego dziecięcia od jej kwiatów i krówek i wprowadzenie go do świątyni sztuki, za tłumaczenie autorowi służy.

Garbaty nadto z tego względu jeszcze jako powieść jest bardzo ważny, że on ujawnia nam jedną z kardynalnych dążeń autora. Oto uroczę i pełne wdzięku sceny rodzinne, zestawione umyślnie z tchnąciami emancypacją nadużyciami macochy i przyrodniego rodzeństwa Maryana, zdradzają to przekonanie, że miejscowe tradycje, wyrosłe na własnym gruncie i oparte na wrodzonym instynkcie, same tylko zdolne są przechować to co zachowane być powinno. Oto przestroga jaka z wielu Korzeniowskiego powieści, a szczególnie z Garbatego wyziera. Typy czysto-nasze, w wynajdowaniu i malowaniu których Korzeniowski jest mistrzem, wszędzie tu trzymają się za ręce i stanowią obóz dodatni. Taki Narbut, pani Bolkowska, Szumekowa z domu Dębska, a nawet Zuzanna i Łukaszoza, to naturalni wrogowie pani Cieszewskiej, Kaspra, Klotyldy i niemieckiego filozofa Romualda. Stary Cieszewski, człowiek słaby i zużyty grzechami młodości, odczuwając na sobie zetknięcie się z jednym lub drugim stronnictwem, służy tylko do wyraźniejszego wytłumaczenia intencji autora.

Oryginalnością Garbatego jako powieści jest to, że usiłuje ona w poetycznej szacie wraz z intrygą podać czytelnikowi naukę. Mówimy tu o estetycznych zasadach, wygłaszanych przez Maryana i nauczyciela jego pana Anzelma. Połączenie nauki z poezją, chyba zawsze celu, bo są to rzeczy wręcz przeciwne, i tutaj więc, jakkolwiek wyłożone prawidła w pięknej przedstawiają się formie, nie sprowadzają jednak odpowiednich korzyści. Byliśmy świadkami jak mocno zainteresowani powieścią czytelnicy przerzucali po kilka nieprzejrzanych kartek, a kartkami temi właśnie były rozprawy o sztuce. I nie możemy ich za to pościć, broń Boże, o lenistwo ducha, ale przyczyną tego był wrodzony instynkt, wskazujący co uchodzi, a co nie uchodzi w powieści.

Pominąwszy jednak to wszystko, ostatecznie powiedzieć musimy, że Garbaty jest w swoim rodzaju znakomitą powieścią. Poczucie jakiegś wyższości i szlachetności moralnej, które zostaje jako rezultat po jej przeczytaniu, lepiej aniżeli wszystkie krytyki dowodzi tej prawdy. Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na wielką poetyczność, z naj-

prostszych wysnutą przedmiotów i najzwyczajniejszym napozór opowiedzianą językiem, to autora jej do wielkich mistrzów zaliczyć musimy.

Jak najzwyczajszym w świecie rzeczom umie Korzeniowski nadać prawdziwą estetyczną wartość, niech ten krótki posłuży opis:

„Idąc od gmachu księży Pijarów, gdzie się mieściła szkoła, po lewej stronie wielkiego placu, znajdującego się przed tymże gmachem, wchodzi się w nie wielką uliczkę, na której w jesieni dużo błota, latem dość trawy; na której ledwie widać ślady kół, tak mało po niej kto jeździ: ale za to doskonale ubita ścieżka przez kilkudziesięciu studentów, którzy na tej uliczce główną swą mają siedzibę. Między kilkunastu dworkami, z których większa połowa krzywych, pochyłych, z niskimi drzwiami, z oknami tu i owdzie zaklejonemi papierem, stał domek dosyć spory, oddzielony od innych parkanem, wprowadzie do połowy rozebrany, ale ogradzającym jako tako zielony i trawą obrosły dziedziniec, na który wychodziły cztery okna dworku i ganek, przy drzwiach wchodowych znajdujący się. Ganek ten opierał się na dwóch drewnianych słupach, miał podłogę popaloną i nierówną; ale zyczący sobie odetchnąć świeżem powietrzem, znalazł tam dwie ławeczki, na których można było usiąść bezpiecznie, i tuż wielki klon, który dawał chłód i cień, a kładąc się szerokimi liśćmi swojemi na daszek ganku, zastępował w czasie deszczu gonty, których w wielu miejscach nie było.

Z ciemnej i nie obszernej sieni były wprost drzwi otwarte do kuchni, okazującej małe i ubogie gospodarstwo. Nie wielki ogień tlał na ognisku; kilka tylko garnków stało przy nim, i to jeden z nich był odrutowany, a z drugiego sterczała spora kość, którą widać napróżno w głąb garnka zanurzyć usiłowano. Naprzeciw ogniska stał stół pod oknem, z którego padało światło na przedmioty znajdujące się na stole, a mianowicie: na stołnicę, na której było zamieszane ciasto i miska z sérem na pirożki; dalej pęczek marchwi, pęczek pietruszki, kupka kartofli, nóż, warząchew i blaszane naczynie do wody. Przy stole siedziała stara kobieta, mająca na głowie biały i czysty czepek, z pod którego wyglądały siwe już włosy; ubrana w jasno-błękitny kaftanik w kwiecistą spódnicę, i ostrugując kartofle, rzucała je w cebrzyk z wodą, który stał przy jej nogach. Na twarzy jej przy starości ładnej i wyrazistej, był spokój, pilna uwaga i jakiś dobroduszny uśmiech, jak gdyby zdawała się myśleć, jak smaczne i sypkie będą te kartofelki, które tak starannie obskrubuje. W sieni z lewej strony były wschody łamiące się i naderzwiami kuchni prowadzące na strych. Pod nimi stało kilka zepsutych krzeseł i jakby na straży szczotka i dwie miotły. Z prawej zaś strony w kącie mocno ociemnionym była beczka z wodą, a przy niej dwie konewki i cebrzyczek. Wszystko to stanowiło flamandzki obrazek....“ (stronnica 32, 33, tom III).

*Druga żona. Wdowiec.* Łączymy te powieści razem z powodu jedności morału, jaki z nich wypływa. I pierwsza i druga bo-

wiem na przykładach dowodzi szkodliwości zenienia się poraz drugi dla mężczyzny. Praktycznej doniosłości nauki tej nie byłibyśmy w stanie sumiennie ocenić, bo brak nam doświadczenia, jakie wynika z pożycia w stanie małżeńskim. A jeżeli nie możemy mówić o żonie w ogóle, to cóż dopiero o drugiej? poprzestajemy więc jedynie na zrobieniu uwag co do samych powieści.

Pierwszą z nich jest właściwie komedią i nawet komedią opowiedzianą, sam ją autor nazywa. Widząc szybkość i ruch występujących tu osób, humor dialogu i wyrazistość typów, żałować prawdziwie wypada, że Korzeniowski powiastce tej nie nadał formy dramatycznej, a stanęłaby ona niezawodnie w rzędzie lepszych jego komedyj. Tu zaś szwankuje nieco szczupłością przedmiotu. Jeżeli jednak uwolnimy ją ze zbyt wielkich wymagań, to pozostanie z niej zawsze piękny, żywy i pełen humoru obrazek. Ulubione Korzeniowskiego typy, starzy wojskowi przyczyniają się niezawodnie do wywołania tej werwy, jaka nas przedewszystkiemi w powiastce uderza. Że zaś nie tylko Generał, Pułkownik i stary Puślicki, ale także Pułkownikowa i Jadwisia są prawdziwemi wiarusami i huzarami, że i p. Gorzycki również wojowniczy manifestuje charakter, nic też dziwnego że i w powieści całej wszystko odbywa się po wojskowemu, otwarcie i zamasztyło, krótko a węzłowato. Jeden tylko pan Alfred pomiędzy wszystkiemi zdradza papinkowate usposobienie, więc za karę wyrzucono go za nawias i tylko z opowiadania innych osób o istnieniu jego się dowiadujemy.

W całej powieści jedna tylko rzecz uderza nas trochę niestosownością pomysłu. Oto pani Pułkownikowa (druga żona) zbytnią energią swoją i nawskroś męzkim charakterem w szeregu wypadków dowodzi nam jasno myśli autora: jak to źle bywa, jeżeli żona zamiast poddać się kierunkowi męża, sama nim włada. Jestto anomalia zapewne przez wszystkich za taką uznana i jako taka na chłostę żartu i satyry zasługująca. Autor jednak taką dozą stanowczości, samowolności i kapryśków nawet obdarza swoją faworytkę Jadwisię, że pomimowoli obawiamy się o los pana Gorzyckiego. Wielkie pytanie czy i on, poślubiwszy tę generalską wnuczkę, nie będzie musiał jak Pułkownik nosić jój piesków na spacer i czy powodem takiej anotalii dla niego nie stanie się pierwsza żona?

Praktyczną doniosłość poślubiania drugiej żony wtedy, kiedy po pierwszej pozostały dzieci, podnosi o wiele nadanie kobiecie w takim razie położenia *macochy*. Powieść zastanawiająca się nad tym stosunkiem społecznym zyskuje wcale na powadze i ważności morału. Znana już nam Jadwisia ma także macochę, z którą walkę toczy; ale że sama jest panną dojrzałą i energiczną, przeto stosunek ten nie występuje w bardzo wyraźnych rysach. Inaczej rzecz się ma we Wdowcu. Z sierotą po pierwszej żonie pana Zuniewickiego, Bronisią, robimy znajomość jeszcze w jój dzieciństwie. I ciotka jój pani Mikoszevska i ksiądz Studziński, uważając za widoczne nieszczęście

powtórne ożenienie się jój ojca, aż nadto uprzedzają nas, że to społeczne pytanie będzie główną osią powieści. Jakkolwiek ważność tego pytania rozumiemy, nie jesteśmy przecież w stanie powiedzieć, żeby Korzeniowski rozwinął je odpowiednio. Wdowiec i jako powieść i jako odpowiedź na postawioną kwestyą nie należy do rzędu najlepszych. Główną jój wadę stanowi niekonsekwentny rozwój charakterów. Pan Kuniewicki, o którym z góry uprzedzeni jesteśmy, że to zacy, wykształcony i prawdziwie rozumny obywatel, nie okazuje się wcale takim w rozwoju intrygi. Owszem, pozwala sobie bezkarnie przyprawiać rogi i krzywdzi niełitościwie córkę, nie rozbrajając nawet skłaniających go do tego powodów. Druga jego żona Hieronima ma to być typ kobiety chciwej, fałszywej, pełnej hipokryzyi i udanej pobożności. Z ciekawością, przynajmniej, wzięliśmy się do rozejrzenia tego charakteru. Korzeniowski bowiem za główny i najważniejszy przymiot kobiety uważa zawsze religijność i pobożność, ciekawą więc było rzeczczą przedstawienie typu, gdzie zalety te oparte na pozorach i udaniu, a kryjące w sobie najniegodziwsze cele, na brzydkie zamieniają się wady. Z położonego zadania nie wywiązał się autor zadawalniająco, a powodem tego niezawodnie jest mylne zapatrywanie się na religijność w kobiecie. Jak bowiem wcale nie jest *świętą kobietą* matka Hieronimy, która w seraficznem swém rozmodleniu nie widzi wad i zdrożnego kierunku córki, tak również hypokrytką i nabożniszą nie jest i sama Hieronima. Jest to osobistość bardzo niejasna i jak nie odznacza się żadnymi przymiotami, tak nie jest zdolna popełnić świadczących o jój samodzielności grzechów. Wynalezione listy, mające się stać dla niej narzędziem kary, niczego jeszcze nie dowodzą, a cyniczne wzmianki pana Seweryna tylko jak stal obosieczna ku niemu się zwracają. Podobały jój się hołdy hrabiego, ale nie wiemy ile z tego korzysta. Złamała serce młodego zapaleńca, ale okoliczności towarzyszące temu jój postąpieniu, przytoczone zanadto stronnie, bo tylko zawiedziony kochanek o nich powiada. Pominąwszy już wspomniane świętoszkostwo, jedną z głównych cech pani Tomaszowej (Hieronimy) ma być przebiegłość. Przebiegłą jest ona tylko do pewnego punktu. Jeżeli bowiem rachuje z początku, to wyrachowaną wcale nie jest, kiedy wybrawszy się do matki w Lubelskie, zwraca swą drogę do Warszawy, kiedy najniezręczniej w świecie dopomina się o swe listy szambelanowej Matraszyńskiej, kiedy wreszcie chcąc zerwać swój stosunek z hrabią, do stanowczego wejścia na drogę cnoty wybiera jego karetę.

Jak Hieronima, tak niekonsekwentną jest Bronisia. Najprzód zbyt jój i nieodpowiednie wiekowi dzieciństwa rozmarzenie i zdolność do przeczuć, nie bardzo licują z późniejszą jój stanowczością i energią. Takie mglisto idealne usposobienie pierwszy i ostatni raz tutaj pojawia się u Korzeniowskiego. Lubi on zwykle heroiny swoje przedstawiać jako wesołe, samodzielne i praktyczne kobiety. To odstąpienie od przyjętego zwyczaju na złe bardzo wyszło Bronisi,



zapomniawszy bowiem jaką ją przedstawił z początku, każe jęj późniejszemu autor występować bardzo rezolutnie. Oto bowiem nielitościwie gromi ona błędy macechy, szorstko odsuwa młodsze rodzeństwo i woli ojca staje naprzekór. W kwestyi tylko własnego serca i przyszłego szczęścia nie umie sobie poradzić i na dobrowolną skazuje się ofiarę. Powody bowiem, jakie nie chcąc przyjąć jęj ręki, przytoczył pan Edmund, nie wystarczyłyby dla rozsądnej a kochającej kobiety. Jeżeli Bronisia idzie do klasztoru, to los taki przeznacza jęj nie konieczność, wypływająca z jęj charakteru, ale jedynie wola autora, który koniecznie potrzebuje tego, aby się przecucia jego bohaterki sprawdziły.

Za takimi wadami treści iść musi koniecznie i wadliwość strony zewnętrznej. Rzeczywiście: przypadkowość posunięta aż do nieprawdopodobieństwa, doraźność we wprowadzaniu coraz nowych osób i brak symetrii w układzie scen są to wady, które często znajdujemy we „Wdowcu.“ Na każdym kroku tu widać że autor nie obrachował i nie zakreślił z góry planu powieści, a i największy talent wejdzie na artystyczne bezdroża, jeśli powziętej materji nie rozzejrzy porządnie, nie usystematyzuje i nie wypieści w głębi swojego ducha. Powieść jak i każdy utwór sztuki musi być złą, jeżeli autor siadając do niej, nie wie jeszcze przyszłych losów swoich bohaterów, a z osobami występującymi we Wdowcu niezawodnie miało to miejsce. Ukaranie przez Edmunda wiarołomstwa Hieronimy z desek prowincjonalnej sceny i samo wreszcie zakończenie powieści przesiąknięte są tak wybujałym romantyzmem i nacechowane taką dziwacznością, że zdaje się nam jakby utwór ten nie był płodem Korzeniowskiego, ale jakiejś spekulacyjnej spółki paryzkiej. Talent każdy atoli ma to do siebie, że choćby się w największym pograżył chaosie, to w spletanym i różnowzorym deseniu znajdują się zawsze złote nitki, mogące wykazać wspólność z tym wątkiem, z którego arcydzieła utkane zostały. Do takich we „Wdowcu“ zaliczamy znakomitą charakterystykę wielkiego świata stolicy, postać stariej komerażniczki Matraszyńskiej, grono prowincjonalnych aktorów, a przedewszystkiem osobistość pana Łaguny. Stary ten szlachcic i myśliwy ma tyle w sobie prawdy, tyle humoru i cech typowych, że gdyby nie zbyt nie zamknięcie w archaizmie, które później występuje z nienacką i trochę wywołany z początku efekt psuje, byłaby to postać, jaką i dzisiaj jeszcze w odległych zakątkach kraju spotkać nieraz można. Znamy jednego wioskowego szlachcica, który do dnia dzisiejszego preparuje sobie smarowidło do butów, podług recepty pana Łaguny i o skuteczności jego rozpowiada każdemu. Jesteśmy pewni, że gdyby fakt ten był znany Korzeniowskiemu, ucieszyłby go nierównie więcej, aniżeli pełne największych pochwał krytyki.

*Ofiara i sumienie.* „Polka kokietka niema ani duszy, ani krwi, ani pokocha sercem, ani się rozpłomięci ciałem. W żadnej chwili, w żadnym stosunku z mężczyzną nie zapomni o sobie, ani o swęj

próżności, bo próżność tylko jest jedyną pobudką wszystkich jój myśli i zachodów. Stroi się, pracuje, goni, wabi, zawsze na zimno i zawsze tylko dlatego, aby powiedzieć: podobałam się, zwyciężyłam! I jutro ani myśli już o tym, któremu się podobała, dla którego wyłożyła tyle pracy i starania“ (t. III, s. 310). Nie dzielając w tych słowach autora jedynie opinii co do narodowości, zgodzić się musimy na to, że w kilku wyrazach znakomicie tu scharakteryzowana kobieta bez serca, zimna kokietka. Cała powieść niniejsza na tym charakterze osnuta i w niej do typów kobięcych, jakie stworzył Korzeniowski, przybysza jeszcze jeden wyraziście przedstawiony. Dla dokładności atoli jednego charakteru i tutaj, jak często u Korzeniowskiego, poświęcone inne osoby w powieści. Gdyby kokietka trafiła na człowieka z silną wolą i męzkim hartem, moc jójby się złamała i nie miałibyśmy strasznych skutków, jakie ta wada kbięca sprowadza. Powieściopisarz więc stawia naprzeciwko niej mężczyznę (pana Adama), którego bezpiecznie za nos wodzić można. Ze pan Adam jest takim a nie innym, o to do autora pretensyi mieć nie możemy; ale darować nam trudno, że go Korzeniowski stawia jako ideał mękości. Podług nas jestto człowiek namiętny, ale moralnie rzeczy biorąc, niedołęga, i dlatego dziwnie brzmią słowa autora przez usta pana Groblicy wypowiedziane, gdzie się pan Adam *ortem podolskim* nazywa. Jeżeli zaś słabym jest bohater, to nierównie słabszą, bledszą i dla głównego celu upośledzoną jest żona jego Tekla. Ma ona w powieści przedstawiać pierwiastek dobry w przeciwstawieniu do złęgo, uosobieniem którego jest Eleonora. Gdzie siły tak nierówne, tam i walka prędko skończyć się musi i rzeczywiście niebawem zacna Tekla umiera tragicznie. Gdyby na jój śmierci skończył autor opowiadanie, i artystyczna i realna strona zyskałyby wiele. Powieść bowiem sama pomijając już usterki w charakterach napisana jest znakomicie. Opowiadanie szybkie, malownicze i zajmujące, dyalog żywy, dowcipny i zręczny, ukształcone towarzystwo podolskie naszkicowane świetnie, typy plotkarek i potworne postacie rodziców Tekli przedstawione wyraziście: słowem, gdyby w tym punkcie, o jakim tylko cośmy wspomnieli, powieść się skończyła, musielibyśmy ją tylko chwalić. Nie-szczęściem, historia ciągnie się dalej. Eleonora przyprawiła o śmierć Teklę, z zemsty na panu Adamie ciągnąc go w swe sieci: ale wśród tych wszystkich zachodów pokochała go szczerze i teraz zrozpaczonemu po śmierci żony chce mu zdrowie i humor powrócić. Te jój usiłowania a przedewszystkiem miłość stanowią niefortunny, dalszy ciąg powieści. Sądzimy, że do szczerój miłości potrzeba koniecznie serca, a wszak w Eleonorze na wstępie zaraz autor brak jego wskazał i rozwojem wypadków twierdzenia tego dowiódł. Po cóż więc znowu wynajdywać cechy niewłaściwe tak świetnie zarysowanemu charakterowi i psuć efekt wywołany z początku. „Taką (to jest kokietką) będzie ona póty, póki jój twarz nie zacznie błyszczeć od mastyksów, póki bielidłem i różem nie zacznie zalepiać swych zmarszcz-

ków, a sznurami pereł zakrywać tych jam i rowów, jakie czas na szyj jej wyłobi.“ Tak mówi o Eleonorze autor i tak ją należało doprowadzić do końca.

Musimy tu jeszcze słów parę powiedzieć z tego powodu, że Korzeniowski powieść tę nazywa *opowiedzianym dramatem* i sam się w niej żali, że kiedy scena nie chce się gościnnie dla jego dramatów otworzyć, musi je w takiej szacie podawać czytelnikowi. To dało powód niektórym krytykom dramat opowiedziany uważać jako oddzielną, przez Korzeniowskiego stworzoną gałąź poezji. Za pospiesznie te utyskiwania osądzono i mylnie je rozumiano. Dramat opowiedziany, a powieść dramatyczna, czyż to nie wszystko jedno? zgodzi się zaś zapewne każdy nadto, że dramatyczność w powieści jest nie tylko wielką jej ozdobą, ale nawet warunkiem koniecznym. Nazwa zaś nowa, tutaj użyta, mogła mieć zamiar usprawiedliwienia szybkości akcji i rozwoju wypadków, ale nigdy nie można jej przypisywać jakichś nawatorskich planów w poetyce. Ofiara i sumienie nadto, pomimo żywości i tragiczności swojej niema właściwej cechy dramatycznej. Walka jaka się tu odbywa pomiędzy dobrym a złym pierwiastkiem jest tak słaba, strony walczące tak nierówno uposażone, że dramata na podobnych danych osnućby się nie dał, chyba, gdybyśmy wzmocnili, albo zupełnie zmienili typy dodatnie.

*Tadeusz bezimienny*. Niezawodnie żadna z dosyć licznych, wychodzących współcześnie powieści, nie zwróciła na siebie tyle uwagi, nie wywołała tyle rozlicznych zdań i sądów, co Tadeusz bezimienny. Cały czytający ogół zainteresowany był do nieskończoności *Gazetą Warszawską*, w której ta powieść wychodziła; wrywano sobie literalnie z ręki i mimo drażliwości przedmiotu Tadeusza, mówiono o nim wszędzie zarówno między mężczyznami jak i kobietami. Ten *vox populi* lepiej, aniżeli krytyka ocenił zasługę autora i wartość jego utworu i my też, łącząc się do ogólnego uznania powieści, że Tadeusz bezimienny, to prawdziwe arcydzieło powieściowe Korzeniowskiego. Jak z jednej strony przez scharakteryzowanie warunków miejscowych, przez wprowadzenie czysto swojskich typów stoi on na czysto narodowym gruncie; tak z drugiej przez zręczność i sztuczne powikłanie intrygi dorównywa najznakomitszym płodom powieściarstwa francuzkiego. Żywot bohatera rozpoczęty w kolebce, a doprowadzony aż do walecznej śmierci, nigdzie nie jest ani na chwilę nużącym i nienaturalnym. W dzieciństwie robi go zajmującym jego filuterya, zdrowie i poczciwe serce; w szkolnym okresie samodzielność, wyjątkowe położenie i rodząca się w sercu miłość; w końcu wreszcie gotowość do ofiary i śmierć bohaterska. Życiorys bohatera, przedstawiony w szczegółowym rozwoju od kolebki aż do grobu, używany jest w dwóch artystycznych celach: raz ma on wykazać, że taki a nie inny charakter musiał się wyrobić w danej jednostce, a drugi raz jest tylko ceniony za swą treść, jaką daje dla romansu. Pierwszy cel już jest potrzebą z góry usprawiedliwiony,

przez to więc łatwiejszy; drugi wyłącznie ma sam sobie wystarczać: dla tego samego jest już trudniejszy, a nieraz w praktyce użyty, często nuży i męczy, zamiast zajmować. Że Tadeusz wrażenie nie takie, ale wprost przeciwne wywołuje, przyczyną tego jest silne ciepło serdeczne, jakie natura jego wszędzie rozlewa. Otoczenie bohatera, a więc dom państwa Klemensów, stara hrabina P. i ideał rodzinny Korzeniowskiego państwa Karpińscy, wszystko to po mistrzowsku wykonane. Rysunki te nawet same w sobie mogłyby stanowić nieraz oddzielną całość i czasem za wiele światła ściągają na siebie; ale że ciągle, bądź węzłem uczucia, bądź tajemnicą rodzinną łączą się z bohaterem, przyczyniają się więc tylko do podniesienia całości. Figury brata Leona, Kozaka Maksyma, Owsikowskiego, Widalskiej, a nawet i Radłowskiego z bogacają znakomicie galerję typów, jaką Korzeniowski z rozmaitych warstw społecznych zgromadził. Nie możemy także pominąć wysoko artystycznego końca powieści. Bohaterska śmierć Tadeusza na łonie matki, pośród wspaniałej natury i świstu kul czerkieskich, jest tak wspaniale pomyślaną i wykonaną tak plastycznie, że zdaje się jakby Korzeniowski obraz ten nie z pojedynczych słów układał, ale do przedstawienia jego największym mistrzom pędzla cienie i kolory wykradł.

Uwielbienie jednak nasze dla Tadeusza bezimiennego nie jest bezwzględne. Jeżeli cenimy bardzo zewnętrzne wykonanie i artystyczne zalety, to natomiast wiele mamy przeciwko jego treści i niektórym osobom. Nie uważamy za złe autorowi, że podniósł do apoteozy, jak się wyrażali niektórzy recenzenci, nieprawość pochodzenia; owszem Tadeusz przez to właśnie najwięcej zajmuje, że jest bezimiennym, a koło towarzyskie, w jakim się obraca, szkoła w jakiej się kształci, podnoszą tylko dramatyczność przedmiotu. Idea także sama niemoralną nie jest. Społeczeństwo tu bowiem popełniło niesprawiedliwość, karząc zamiast rodziców, owoc ich błędu. Jeżeli więc autor, sięgając do tej ramy społecznej, w imię zasad ludzkości domaga się otrząśnienia z przesądu; to występuje w najszlachetniejszych zamiarach, bo jedynie restytucji praw niesłusznie potępionej jednostki się domaga. Nie widzimy więc niemoralności w treści Tadeusza, ale owszem szlachetne cele i prawdziwą zasługę. Wielką natomiast winę popełnił autor w przedstawieniu rodziców Tadeusza. Matka jego, owa piękna i dumna Rozalia jest osobistością wysoce niemoralną. Jeżeli bowiem kobieta w chwili zapomnienia dopuszcza się błędu, to świat ją zwykle występłą nazywa. Występek tu atoli jeszcze, że względu na rozmaite towarzyszące okoliczności, często bardzo na pobłażanie zasługuje. Jeżeli jednak kobieta, bądź dla przyczyn z jej temperamentu płynących, bądź co gorsza dla pieniędzy, stosunków i wpływów, winę, w którą chwilowo popadła, dalej prowadzi; jeżeli dla czczych form towarzyskich lub strachu z powodu zazdrości męża, grzechy swe starannie ukrywa i dla zachowania tajemnicy dzieci własne na największe nieszczęścia narażać

gotowa; wtedy przestaje być już występna, a jest po prostu nikczemną. Pani Klemensowa zaś niestety tak postępuje. Jeszcze jednak wprowadzeniu jój do powieści nie uważaliśmy za złe, bo wszak tu nie tylko dla samych aniołów miejsce; ale jeżeli autor dla mąk jój i cierpienie współczucie w nas obudzić usiłuje; jeżeli ją sympatją swoją i urokiem szlachetności okrywa; jeżeli jój męczennicą, w szlachetnym tego słowa znaczeniu, bezczelnie nazywać się pozwala: wtedy wina jego jest wielka, wtedy nie pomożę i to, że piękna Rozalia za pokutę czarną suknię zakonnice Santa Francesca Romana przywdziewa. Ta nieszlachetność idei spowodowała zaraz wielką wadę i w formalnej stronie. Cały bowiem początek powieści, aż do wyruszenia w świat Tadeuszka niema w sobie tych miękkich i ciepłych rysów, jakich zawsze wyglądamy od Korzeniowskiego. Samo podrzucenie dziecka jest zapewne dowodem wielkiej zrzeczności autorskiej, ale mimo to pozostanie ono zawsze tylko skandalem. Kto doktorów i pieniądze miał w ręku, temu nietrudno było czynu takiego dokonać, a autorowi nienależało się tak długo o tém rozpisywać.

Jeżeli zawinił ciężko Korzeniowski przez wybór matki swego bohatera, to wina jego stokroć większa, jeżeli się zwrócimy do ojca. Generał C. nie występuje nigdy z półcienia, ale mimoto zachowanie się jego wcale nie usprawiedliwia sympatyi autora. Korzeniowski miał szczególniejszą predylekcyą do wojskowych. Temu gustowi jego zawdzięczamy wprawdzie wiele niezrównanych typów starych żołnierzy, ale z tegoż samego źródła wyszła figura taka jak wzmiankowany Generał. Nie rozumiemy zupełnie dlaczego aż w tym stanie szukał Korzeniowski ojca dla Tadeusza, do znalezienia się bowiem w majestacie ojcostwa nie potrzeba szlif koniecznie. Ten wzgląd jednak byłby jeszcze mniejszego znaczenia, gdyby dodane okoliczności nie przyczyniały się do ponizenia téj postaci. Człowiek, który przez matkę Rozali, dając jako zapłatę stosunki swe i wpływy, kobiecie piękną chce posiadać; który później, korzystając z jój słabości, oszukuje męża, może być skończonym Lowelasem, ale nigdy zacnym ojcem, jak tego chce koniecznie Korzeniowski. Zachwalone to ojcostwo zresztą najlepiej wkońcu samo o sobie świadczy, kiedy się na słodki głosik włoskiej syreny w szatę najzimniejszej obojętności odziewa.

*Pan Stolnikowicz Wołyński.* W powieści téj odkrywa nam Korzeniowski zasłonę niedawno ubiegłej, zeszlówiekowej przeszłości i obznajmia z życiem, obyczajami i uczuciami naszych ojców. Chęć podobna ten jedyny raz tylko u niego się spotyka, nie bierzemy bowiem w rachunek podobnej treści dramatów i komedyj; tam bowiem węzeł dramatyczny, a nie strona obyczajowa w ubiegłe czasy go zwraca. Owo zboczenie z przyjętej drogi dziwi nas nie pomatu i dlatego pomimowoli wpływ jakiegoś zewnętrznego czynnika na autora przypuszczamy. I tak rzeczywiście było. Wpadły Korzeniow-

skiemu w ręce krążące wówczas w rękopiśmie po Wołyniu, pamiętniki Jana Duklaną Ochockiego i do napisania Stolnikowicza go skłoniły. Obraz obyczajów i zwyczajów ówczesnych, osobistości w tej epoce wybitniejsze, kontrakta dubińskie, stolica i domowe szczegóły prywatnego życia są prawie dosłownie z pamiętników zaczerpnięte. Ustawił je tylko Korzeniowski w pewien ład i porządek, i pięknym swoim językiem opowiedział. Podobnego korzystania dla powieści nietylko z rękopiśmiennych ale i ze znanych powszechnie źródeł, nie uważamy za złe. Owszem to talent artysty mocą intuicji obdarzony, wypełnia, rozjaśnia i szczegółowo rozwija pojedyncze fakta, nieraz w formie suchej notatki podane. Czy jednak Korzeniowski w swoim Stolnikowiczu dobrze się wywiązał z powziętego zamiaru? Niestety, musimy odpowiedzieć przecząco. Nie umiał się żyć z ludźmi tamtej epoki, nie pojął myśli, krążącej w wygolonej głowie i zmódnierzował serce pod lamowym bijące żupanem.

Wiek XVIII naszej przeszłości, jeżeli nie jasno przedstawia się w historii, to natomiast znany jest dokładnie ze strony obyczajowej, bo w szczególną kuratelę wzięła go powieść i poezja w ogóle. Przyczyną tego niezawodnie jest bogaty materiał dramatyczny, polegający na walce wciskających się nowych pojęć ze starymi obyczajami, przesądami i przekonaniem. Kontuszowe stronnictwo z niedowierzaniem i nienawiścią patrzące na perukarzy i fraczkowców, elegancki dwór Stanisława Augusta, palcami wskazujący zaśniedziałych szlachciców, zapewne to bogaty przedmiot dla powieści, a walki partyj, rozkład wewnętrzny, gwałtowne staczanie się w przepaść, to tragiczna strona obrazu. Jeżeli jednak obficie ze skarbnicy tej czerpała sztuka, to nie zawsze poszukiwania jej przyniosły pożytek dla potomnych. Każdy artysta znalazł się tu w trudnym położeniu. Nie wiedział której ze stron ofiarować swoje sympatye. Jeżeli go pociągało stronnictwo postępu, to odstręczała go ztamtąd francuzka niemoralność, jaką ci postępowcy do kraju przynieśli; jeżeli zwrócił oczy na patryarchalne cnoty wiejskiego zacisza, to raziła go tam, pozostała jako pamiątka po Sasach pijatyka i sejmikowe burdy. I po większej części wszyscy woleli stanąć przy narodowych cnotach, aniżeli hołdować nowym naleciałościom. Podnosząc jednak zalety, przyklaskiwano i wadom i ztądto tyle w naszej literaturze wyidealizowanych sejmików, odpustowych pijatyk i boćkowskich bizunów. Jeżeli nie można było na wskroś ich szlachetnemi uczynić, to przynajmniej nadano im miano tężyzny i przechwalano się z tém, że tamtowiekowy szlachcic beczkę wina odrazu wypija, łeb na ćwierci płata, lub sto batogów bez płaczu na kobiercu przyjmuje.

Krytyka współczesna pojawianiu się takich utworów podniosła swoje *veto* przeciwko podobnemu przedstawianiu przeszłości, ale wielbiciele dawnych wspomnień nazwali recenzentów demagogami i wrogami szlachetczyzny. Nie tu jednak był powód ich krzyku. Nie przesady

kastowe, ale obrażone uczucie estetyczne i sponiewierana niewłaściwymi, acz prawdziwymi czasem obrazami, przeszłość o pomstę przez ich usta wołała. Wszak z epoki, w której tyle było pojedynczego bohaterstwa, w której takie mądre powstawały ustawy, gdzie z takim pośpiechem zabierano się do naprawiania skołatanej nawy, mógł i powinien coś więcej wynieść autor, aniżeli obraz rubasznój wesołości i brzęk szerpentyn. Potrzeba było tylko wniknąć w ducha narodu, przysłuchać się bijącemu pulsowi jego życia, a nie rozrywać uwagi swęj małą znaczącymi, chociaż może bardzo jaskrawymi zwyczajami, nie należało brać zewnętrznej łupiny za samo jądro. Że Korzeniowski nie był także, znawcą przeszłości, dowiódł tego w swoim Stolnikowiczu. Uczucie, jakie w bohaterze swym dla podczaszanki przedstawił, nie może być odniesione do tamtęj epoki i jest to grzech chronologiczny; idealizowanie zaś nadużyte jest wielkim błędem estetycznym. Pan Stolnik, spity podczas wizyty podczaszego i w stanie tym wysypujący jedynemu synowi swojemu, a bohaterowi powieści dwadzieścia, odlewanych nahajów, bez żadnej wyraźnej racy, chyba tylko dla pędzszego wytrzeźwienia się, jest bardzo niesmaczną figurą i policzkiem, wymierzonym przeszłości. To też Korzeniowski czuł zapewne, że nie na swoje wkroczył pole i niezawodnie dlatego raptownie i niespodziewanie zakończył powieść właśnie wtedy, kiedy ona na bardzo interesujące wschodziła tory. Pisał bez przygotowania, nie obmyślał i nie rozważał istoty działających osób, zniechęcony więc urwał odrazu to, co w szerokich rozpozczął ramach.

Dziwnym i niewłaściwym także jest stan, w jakim Stolnikowicza poznajemy. Zabytek ten przeszłości, wspomnieniem tylko w nięm żyjący, oczom generacji dzisiejszęj przedstawia się jako pijak nałogowy i kto wie, może jeszcze gorsze przyzwyczajenia w naturze swęj nosi. Czyż nie mogą słusznie za to oburzyć się cienie naszych ojców, a w grobie zadrzeć ze zgrozy ich prochyl Jeżeli autor koniecznie chciał odpowiedzialność z wyboru przedmiotu zrzucić ze siebie i opowiadanie włożyć w usta człowieka tamtęj epoki, to przynajmniej godziło się w korzystniejszym przedstawić go światle.

*Wyprawa po żonę.* Wspominaliśmy już we wstępie do tęj naszęj pracy, że wybór żony, owo tak nazywane postanowienie życia w stanie średnim jest faktem wysokięj doniosłości. Ilety tam debatów, jeżli się strony wzajem ku sobie skłaniają, a cöz dopiero, jeżli serce, nie rozgorzawszy strzelistym afektem, da nad sobą przewagę rozumowi. Každy konkurent i aspirant do tego świętego staniczka, jak go Rej kiedyś nazywał, obok powagi, w jaką go ważność kroku przyobleka, ma jeszcze w sobie znakomitą dozę komizmu dla obojętnych widzów i przez to doskonale się nadaje do humorystycznęj powieści. Korzeniowski skorzystał z takiego kawalerskiego stosunku w wyprawie po żonę. Pan Ksawery Wymysłowski, zamożny obywatel ziemski, skłoniony namowami matki i ciotki wyjeżdża

w świat szukać sobie żony. Że zaś bardzo na chłodno bierze się do tego, spisuje więc najprzód wszystkie wymagania, jakich będzie żądał od swój przyszłej w formalny kodeks, na paragrafy podzielony, postanawiając sobie każdą kandydatkę do tych paragrafów przymierzać. Zapomniał nieborak, że taki poważny i rozsądny rozmysł w kwestyi ożenienia jest najlepszym na starego kawalera patentem. Doświadczenie nie omieszkalo go przekonać o tój prawdzie. W wędrowce swojej trafia na panny, które coś podobnego do uczucia w jego sercu budzą; ale ponieważ nie przypadają do paragrafu kodeksu, więc je opuszcza i jedzie dalej. W końcu jakby za karę, że sam człowiek ułomny szukał bezwzględnej doskonałości w ciele niewieściem, mściwa Nemezys sprowadza go z panną Kamillą, do której serce jego uczuwa niewytłumaczoną atrakcyę. Nie zważając na to, że kodeks krzyczy „nie można,“ prosi o jej rękę, ale... dostaje od kosza. Wraca więc strapiiony do domu, a nie chcąc nikogo później na podobne zawody narażać, arcy-mądry kodeks na spalenie skazuje.

Już jak z samego przytoczenia tój treści widać, Wyprawa po Żonę nie ma wielkich pretensyj i jedyną idea, jaką przeprowadza, jest praktyczna nauczka, aż nadto dobrze przez prosty, zdrowy rozum znana. To też o charakterach, o obrazie uczuć, o dramatycznych sytuacyach nie może tu być mowy. Konkurencyja pana Ksawerego z komicznej przedstawiona jest strony, a wszystkie opowiadania, które jako zupełnie oddzielne epizody połowę powieści stanowią, przez opisywanie rozmaitych małżeństw, w rozmaitych zawartych warunkach, do jednego celu dążą. Niektóre z epizodów tych, jak naprzykład opowiadanie pana Benedykta są prawdziwie dowcipne; inne znowu, jak Walusiowe dzieje, zanadto trywialne, ale całość, przez humor swobodny i lekkość treści, czyta się przyjemnie.

*Szczęście za górami.* Szczęściem tém ma być miłość. Młody entuzyasta Józef porzuca przygotowany mu przez rodziców troskliwie spokoj w zaciszy wiejskiej, wyrzeka się ręki przeznaczonój mu od dzieciństwa pięknej i dobrej, jak anioł Reginki i pędzi w świat daleki, bo tam go ciągną magnetycznie czarną oczy nieznajomój, spotkanej kiedyś przez niego w Kielcach kobiety. Ona stała się jedynem jego marzeniem, jedynym ideałem. W porównaniu do szczęścia, jakie z nią mieć może, wszystko jest małym. Ale to szczęście inaczej wygląda za górami a inaczej w rzeczywistości. Ów jego ideał, to ulubiona stolicy balleryna, kobieta, która z piękności zarówno, jak i z choreograficznego talentu umie ciągnąć zyski. Przytknęła ona i spragnionemu Józefowi do ust czarę rozkoszy, chociaż o tém domyślać się każe autor, scen bowiem podobnych malować nie lubi; ale szczęścia dać mu nie chciała, a co więcej nie mogła. Ze stosunku tego wychodzi bohater złamany na umyśle, zniszczony na ciele i jako srogi wyrzut za zmarnowane życie spotyka w powrocie swym do domu katafalk najlepszego ojca. Szczęście restytuować się nie da, to też wyrzeka się on przyszłości, jaką mu zgutowali rodzice i cały po-



grążony w ascetyzmie, przyobleka szatę zakonną. Taka treść Szczęścia za górami, której nie przytaczamy szczegółowo, bo jesteśmy ciągle tego przekonania, że Korzeniowskiego powieści znane są wszystkim dokładnie, przedstawia zapewne jeden z poważnych epizodów dziejów serca ludzkiego. Ale jak nie zgodzilibyśmy się, żeby prawdziwe szczęście dla człowieka zawierało się w ciasnym obrębie domowego zacisza, w rodzinie, w gospodarowaniu na kawałku ziemi, słowem w tém, co rodzice dzieciom swym w puściznie przekazać mogą; tak żadną miarą zgodzić się na to niemożna, żeby jedyną ucieczką dla skołatanego nieszczęściami ducha ludzkiego był habit i cela klasztorna. Nie zakładaliśmy opozycji, kiedy los podobny we Wdowcu spotkał Bronisę, bo to była kobieta; ale dla mężczyzny, czyż nie ma wyższej za błędy pokuty, jak biczowanie i pacierze w chórze. Kto, marnując swe życie, wyrządza szkodę społeczeństwu, ten resztę swych sił umysłowych i żywotnych na jego usługi poświęcić powinien. Bóg stwarza ludzi nie dla siebie, ale dla święta, modlitwa więc nie jest wystarczającą ekspijacją dla wynagrodzenia zmarnowanych darów, przeznaczonych dla pożytku ludzkiego.

Jeżeli sama idea powieści zarzuty na siebie ściągają musi, bez porównania więcej wypowiedzieć ich trzeba, kiedy zwrócimy uwagę na stronę zewnętrzną, na samo jéj wykonanie. Spotykamy tu wady, jakie się u Korzeniowskiego rzadko zdarzają. Największym grzechem jest zupełny brak symetrii. Dzieje bohatera zajmują zaledwie jedną czwartą powieści. Czwartą część bowiem poświęcona wcale nie interesującemu jego dzieciństwu, a większa połowa rodzicom jego i Reginki. Obudwu ojców autor wprowadza jeszcze w kawalerskim stanie, nudnie opowiada ich dziewczasz miłość, zaślubiny i narodziny liczne go potomstwa. Pan Zacharyasz i pan Cypryan są to wysłużeni napoleońscy żołnierze. Widzieliśmy już jak Korzeniowski postacie takie malowniczo szkicuje, ale figury podobne zajmujące są tam, gdzie przez swą rozmaitość typową nadają życie obrazom; obojętną zaś rzeczą jest pytanie czy oni służywali wojskowo czy nie, jeżeli nie żołnierskich nałogów, ale najzwyczajszych familijnych funkcji mamy się od nich spodziewać. Pan Zacharyasz nadto i pan Cypryan tak są do siebie podobni, a przez to tak nudni, że prawdziwa to trudność dla czytelnika doczekać się póki się oni poženią i póki właściwi bohaterowie na świat pokazać się raczą. Druga znowu właściwa Korzeniowskiemu chęć nie pozostawiania w nieszczęściu dusz zacnych, jeżeli je los uuieszcześliwił, wprowadza do powieści osobistość Marcellego. Reginka bowiem, kiedy jej narzeczony młodość swą i życie roztrwonik, została z raną w sercu i w staro-panieńskim stanie. Żeby tego nie dopuścić zjawia się Marcelli i tego jéj autor za męża przeznacza. Ale gdybyż to spotkać się odrazu z samym panem Marcellim. Gdzietam, Korzeniowski w niepomierném gadulstwie swoim przytacza wszystkie możliwe antecedensa. A więc opowiada o jego matce, o tém jak za pierwszym mężem była nieszczęśliwą, jak chowa

swogo syna, jak następnie poznaje dziwacznego oryginała pana Adama, jak od niego kupuje majątek, jak w sercu jej powstaje platoniczna miłość i jak wreszcie tego pana Adama zaślubia. Dla stanowczego zaś ukonsolidowania czytelnika wprowadza jeszcze autor teścia pani Anny, a dziadka Marcellego, którego gawędy są może czasem dowcipne, ale osobistość jego niepotrzebna wcale. Sama powieść poruszająca ważne kwestye, zajmująca jest bardzo, jest w niej wiele uczucia, rzewności, prawdy i szlachetnego, serdecznego ciepła; ale przed nią z dziejów ojcowskich zatoczył autor taki szaniec warowny, że przezeń rzadko który czytelnik do samego sanktuarium przedrzeć się zdoła.

*Krewni.* Choćbyśmy nie mieli własnoręcznej notatki Korzeniowskiego, w której nam czas powstawania swoich utworów przekazał, już samo przejrzanie Krewnych, nauczyłoby nas, że to późniejszych lat owoc. Naprózno byśmy tu już szukali owój swobody, lekkości, wesołego żartu, tworzenia dla samej tylko wewnętrznej potrzeby, bezwzględnie na wszelką celowość. Miłość która we wszystkich powieściach jest główną podstawą i odśrodkowym punktem wypadków, w Krewnych istnieje także i opowiadanie w jedną całość urabia; ale przestaje już tu być głównym celem, a jest tylko jednym z etapów, przez jakie przechodzi człowiek, zanim się zupełnie wyrobi i po walkach wewnętrznych prawdziwym człowiekiem zostanie. Ignacy i Eugeniusz Zabuzscy, dwaj bracia, dwa typy odmiennych charakterów odbywają przed nami pōchód od dzieciństwa aż do zupełnej dojrzałości. Wyjątkowość położenia, urodzenie i stan ubogi są przyczynami rozmaitych kolizyi, dostarczających przedmiotu powieści. Starszy Ignacy, młodzieniec surowy i pewny siebie, z siłą woli, stanowczością, nie zachwiawszy się ani na chwilę, kroczy naprzód; u drugiego natura więcéj wrażliwa, miękka, wpływami wychowania rozpieszczona: nie umie on zapanować nad sobą i często upada i jedynie tylko złożone w duszy poczciwe instynkta, oraz miłość rodzinna, przyszłość jego ratują. Właśnie z sympatyi, jaką autor w czytelniku dla Ignacego rozbudzić się stara, widać jasno, że powieść tę pisał człowiek, który poznał życie, i wie że w nim więcéj popłaca praktyczność aniżeli najpiękniejsze ideały. Eugeniusz i umysłem swoim i uczuciem jest o wiele wyższy od swego brata. Posiada on wrodzone poczucie piękna i poetyczne usposobienie, podnoszące go wyżej nad potrzeby doczesne. Ignacy zaś to wyidealizowany człowiek pospolity, jedna z tych pożądanych osobistości, jakich koniecznie potrzebuje machina społeczna, aby bieg swój prawidłowo i regularnie odbywać mogła. Artysta młody przełożyłby zalety jakimi się odznaczał Eugeniusz i jegoby wyżej postawił; Korzeniowski praktycznie zapatrując się na rzeczy, tamtemu pierwszeństwo naznaczył.

Jeżeli dotąd stale zarzucaliśmy Korzeniowskiemu niedokładności w charakterach męzkich, to zarzut ten nie może mieć miejsca przy Krewnych. Dwaj bracia wykończeni są z uwzględnieniem naj-

drobniejszych szczegółów. Są to postacie jakby z kamienia wykute, może czasem wprawdzie za zbyt ostre i mało artystyczne ich kontury, ale za to na drobiazgowości im nie zbywa. W epoce miłości którą przechodzą wybrane ich serca, panna Jadwiga i Julcia są zlekka i dość pobieżnie naszkicowane. Ale to nas nie razi zupełnie, miłość bowiem, jak już mówiliśmy wyżej, podrzędną tu odgrywa rolę. Wybór nadto kochanek dla rzemieślnika Ignasia na najwyższym pieterku Starego Miasta a dla poety Eugeniusza w złoconych ramach bogactwa jest bardzo stosowny i ułatwia wiele ekspozycyą powieści. Panna Jadwiga jest typem bardzo pięknym i powiedzielibyśmy nawet, że ma ona w sobie więcej pierwiastku poetycznego, aniżeli sam Eugeniusz. Ale może to jedynie dlatego, że życie nie daje jej takich szorstkich zetknięć, przez jakie przechodzić musi mężczyzna.

W Krewnych także zaszła okoliczność, jakiej dotąd nie mieliśmy sposobności dostrzedz w innych Korzeniowskiego utworach. Postawiono tu z góry tendencją i do niej dopasowano powieść. Myśl podniesienia rzemiosła i atak na kastowe przesady, pod owe czasy kiedy Korzeniowski Krewnych pisał, była jeszcze bardzo śmiałą. Nie wiele lat upłynęło od tej epoki, a jednak pojęcia się zmieniły wiele. Dziś nietylko szlachta herbowna, ale i najpierwszych imion w kraju dziedzice do rzemiosł się garną, a chociaż może powodem tego nie tyle jest idea postępu, ile żądza dobrobytu, jakie zajęcia te dają; to zawsze już dzisiaj walka z uprzedzeniami nie jest tak trudna i nie wymaga takiej zbroi i wojennego rynsztunku, jakim się musiał zaopatrzyć Korzeniowski. On szedł jeszcze na ostre i silne argumenta w zapasie mieć potrzebował. To też nic dziwnego, że oprócz samej poczciwości i prawości Ignasia, oprócz patryarchalnych cnót w rzemieślniczej braci, ma on jeszcze w odwodzie przesiąkniętego nowymi ideami hrabiego Adama, a obóz przeciwny, arystokratyczny mnóstwem wad i grzechów obarcza. Dla większego podniesienia jeszcze rzemieślniczego stanu, dotknięta i bankierska liga, cała zorganizowana już wówczas na silnej pieniężnej podstawie plutokracya warszawska. Na obrazie jej może zanadto silnie odbita, wrodzona Korzeniowskiemu narodowa nienawiść; ale ciemne barwy jakimi otoczył autor tę sferę, przyczyniają się wielce do osiągnięcia głównego celu. Wszystko to są cechy, jakie dla zacnej, obywatelskiej myśli i w świecie artystycznym muszą znaleźć uznanie. Wraz z nią jednak wciśnięto się do powieści wiele intruzów, wywierających wpływ zły i na stronę zewnętrzną. Zgodzi się bowiem na to każdy, że szczegółowe opisywanie warsztatów stolarskich, wyliczanie wszystkich piątek i herbów, drobnostkowe opowiadanie o ceremoniach zapisu i wyzwolin, ceremoniach w gruncie przestarzałych i śmiesznych, nie mają żadnej estetycznej wartości. Są one nagą prawdą i jako taka pozostaną zawsze wstrętem w krainie sztuki. Mimo ten brak jednak estetycznych pierwiastków w tych szczegółach, mieliśmy sami sposobność przekonać się z jaką radością, z jakim zajęciem czytali je ludzie

stolarskiego fachu. Widząc wrażenie, jakie powieścią swoją na nich Korzeniowski wywarł, zrozumieliśmy dopiero jak wielki zasób praktyczności posiadał i jak wiedział, którądy droga do serca prostaczków. Taki rezultat, szlachetną wywołany myślą, musi zamknąć usta wszelkiej krytyce i ze względu na nagłą potrzebę podobnego kierunku, skłonić do podniesienia zasługi autora.

Jeszcze jeden szczegół. Ku końcowi powieści ukazuje się obławowany bogactwem Wschodu Jelewski. On popycha Eugeniusza na drogę, która go do celu doprowadza; ale mimo to osobistość jego do powieści wcale nie potrzebna. Taki kierunek, objawiony już przez Korzeniowskiego w Tadeuszu bezimiennym, był przyczyną wielu przykrych przejść z krytyką dla autora, nawet go choroby nabawiły. Było i to jednak jego przekonanie i jako takie śmiało je wypowiadał. Korzeniowski był człowiek uczuciowy, ale nie lubiący walki i w każdym rozdwojeniu, z powodu złożonego w duszy swój poczucia ładu, starał się o porozumienie i zgodę. Wszędzie, gdzie go los postawił znajdował ciszę i zadowolenie wewnętrzne. Umiłowanie prawa i społecznego porządku było dla niego rzeczą najważniejszą, zdążył każde położenie, zbiegiem czasu za właściwe uznawał. Żyjąc dla społeczeństwa i kraju, powoli swoje indywidualne stanowisko na kraj cały przenosił.

Korzetiowski w powieściach swoich przeważnie studjuje kobiety, i to kobiety wyłącznie nasze. Pod względem sercowym dzieli je na trzy kategorie. „Do pierwszej należą istotki ładne i skaczące, strojne i płocze, bez myśli i serca; nie doznające ani radości ani bólu: tém samém przejęte uczuciem dla modnego kapelusza, jak dla strojnego kochanka, jednakowemi opłakujące łzami stratę męża, dziecka i bransoletki. Takich jest bardzo wiele. Do drugiej należą zwyczajne połowy rodzaju ludzkiego, mówiące paciérz rano i wieczór, ubierające się przystojnie dlatego, że mogą się podobać takiemu co się ożeni, wychodzące za mąż choćby bez miłości, dlatego że trzeba mieć dom i gospodarstwo; zresztą uczciwe żony, troskliwe matki, dobre gospodynie, gościnne i miłosierne kobiety: takich jest dzięki Bogu najwięcej. Do trzeciej, nielicznej wprawdzie, ale liczniejszej u nas niż gdzieindziej, należą wyborowe organizacje co do ciała, którego piękność zadziwia, wyższe istoty co do duszy, której moc zdaje się nie odpowiadać delikatności tkanki; w której zamknięta subtelność form, przez którą oczom się naszym objawia. Miłość, w całym wysokim znaczeniu tego słowa, jest treścią ich życia; każda z nich kochała raz tylko, serdecznie i głęboko; żadna nie była kochaną tak jak zasłużyła, ale żadna nie upadła pod tém nieszczęściem, o którym przekonana, że jest koniecznością i właściwym wyższości jój udziałem.“... (T. VII, str. 135). Dla dokompletowania specjalnych okazji tego podziatu i wprowadzenia większej rozma-

itości typów, dopomagają jeszcze powieści drobne. Takie są: *Jedynaczka*, *Scena na balu*, *Wtorek i Piątek*, *Spotkanie w Salzbrun*, *Podzieltowanie* i t. d. Inne z nich jak: *Dwa śluby*, *Panna postępową*, *Naróżna kamienica*, ubrane w szatę fantastyczności są moralnemi allegoryami. Pozostałe wreszcie, nie roszczące sobie pretensyi ani do zbyt oryginalnej treści, ani do nowości poglądu, są jedynie drobnemi, malowniczymi, nieraz bardzo udatnemi obrazkami. Rozumie się gdzie taka ich mnogość, tam muszą się znaleźć i słabsze rzeczy, ale i na takich nawet odbija się silnie talent Korzeniowskiego i cechy, jakieśmy w rozbieranych wyżej powieściach dostrzedz zdołali.

\* \* \*

Skończywszy tę mozolną i szczegółową wędrówkę, nie trudno już nam będzie zrobić sobie ogólny pogląd na powieściopisarski talent Korzeniowskiego, témbardziej, że do wypowiedzianych rzeczy nie wiele już nam dodać wypadnie.

Najzwyklejsze warunki i okoliczności życiowe, podniesione do godności ideału i ugrupowane około boskiego pierwiastku, istnienie którego w człowieku, Korzeniowski zawsze przyznaje, są głównym jego powieści przedmiotem. Rodzina, to jeden z zakresów, w jakim się dążność tego pierwiastku przejawia; świętość więc jej dla powieściopisarza naszego jest ową arką przymierza Izraelitów, przy której raczej paść trupem wszyscy powinni, zanimby ją kiedykolwiek opuścić mieli. Korzeniowski należy jeszcze do autorów, których szereg rozpoczyna się u nas od upadku politycznego bytu. Działalność jego literacka oparta na dawnych tradycjach, a opromieniona kierunkami nowemi, stoi na stanowisku, że je tak nazwiemy eklektycznym. Toż samo da się powiedzieć i o moralnym znaczeniu jego utworów. Wybrał z przeszłości co mu się zdawało największą wartość przedstawiać, a więc religijność, posłuch i porządek domowy. Idee te przeniósł w warunki dzisiejsze i objaśniwszy je przykładami, jako jedyny na dziś obowiązek, do wykonywania naznaczył. Jakkolwiek zaciasne to może szranki, témbardziej, że je czasem urzędowym swym na kraj poglądem ogranicza, mimoto przyznać im musimy wielkie znaczenie i czołem przed obywatelską zasługą autora uderzyć.

Porównywano często Korzeniowskiego z Kraszewskim. Porównanie takie ze względu cech zewnętrznych ostać się nie może, a témbardziej nie może mieć podstawy, jeżeli pod uwagę weźmiemy wewnętrzną ich utworów zawartość. Kraszewski w pełnej ustawicznego ruchu myśli swojej poruszał w powieściach najdrażliwsze strony, odkrywał najboleśniejsze rany społeczne, rzucał nieraz przed oczy czytelnika pytania, na jakie wieki dopiéro odpowiedzieć zdołają; Korzeniowski wybrał sobie jedyny przedmiot, o jakim mówiliśmy

dopiero, koło niego ustawicznie się poraż, na nim nieraz arcydzieła wytwarzał, ale do duszy swojej nie wpuszczał drażliwych kolizyj, bo spokój za najpierwszy warunek artystycznej twórczości uważał. Tendencje, które Kraszewski orlim swym wzrokiem dopatrzył i w powieściowej szacie czytelnikom podał, wydałyby się nieraz Korzeniowskiemu rewolucyjnymi. Jaskrawość raziła go zawsze i w danym przedmiocie przedewszystkiém piękna i estetycznych warunków dopatrywał. To też Korzeniowski daleko częściej jako prawdziwy przedstawia się artysta, forma u niego jeżeli nie przewyższa, to dorównywa treści. Kraszewskiego w powieściopisarstwie nazwać można romantykiem, Korzeniowskiego klasykiem. Nadto, kiedy Kraszewski zarówno wszystkie stany, wszystkich bliźnich sercem swém objął; Korzeniowski umiłował tylko stan jeden, zamożnych i wykształconych właścicieli ziemskich, a nawet przeważnie w jednej prowincyi kraju się zamknął. Umiął on przez to wynaleźć najprodukcyjniejszą dla powieści kopalnię, ale zarazem wyrobił to przekonanie, że tylko w dobrobycie serce silnie człowiekowi uderza i o swoje dopomina się prawa. Pewien ukraiński dowcipniś wyraził się, że po przeczytaniu którejkolwiek Korzeniowskiego powieści, zachciewa się mieć koniecznie dobry folwark w tłustej podolskiej glebie. Pominąwszy złośliwość podobnego sądu, trudno pewnej części prawdy w tém zdaniu zaprzeczyć. Ta jednak szkodliwa zkądinad wyłączość była źródłem jednéj wielkiéj zasługi. Oto Korzeniowski w zakresie twórczości swojéj wyczerpał prawie przedmiot. Taka tu szczegółowość rysunku, taka prawda w oddaniu, tyle dowodów głębokiéj i długiejj obserwacyi, że obrazy jego są miniaturowo dokładne. Pod względem charakterystyki możnaby go porównać jedynie z Balzakiem, którego jeśli nie przewyższa, to mu niezawodnie dorównywa. Ta zaleta, obok wielu już przytoczonych względów, wystarcza, aby go nazwać *par excellence* narodowym pisarzem. Nad jego postaciami już dziś możnaby porobić bardzo ciekawe społeczne studia, a dla przyszłości jakieżo nieoceniony materyał.

Od dzisiejszych powieściopisarzy wyróżnia się Korzeniowski wysoko idealnym na świat i jego stosunki poglądem. Nigdy on nie pęta po ziemi, ale i z najniższego punktu umie się podnieść do nieba. Najprozaiczniejsza, najzwyczajniejsza okoliczność, której się dotknie, pod wpływem jego talentu zmienia się natychmiast na odpowiedni dla sztuki przedmiot. To też powieści jego wśród ciężkich okoliczności zewnętrznych, wśród życiowego dyssonansu stanowią zawsze miłą dla ducha ucieczkę, bo harmonią swą artystyczną zdolne są ukołysać i najbardziej wzburzone umysły. Mają one z tego powodu dla rodziny, dla kształcenia serc młodych, dla poważnie nawet pracującego umysłu wielkie znaczenie. Pięknie to wyraził Szajnocha, dedykując Korzeniowskiemu jeden ze swych „Historycznych szkiców.“

Nie możemy także pominąć sposobu wywoływania efektów, jaki jest u Korzeniowskiego w zwykłym użyciu. Dziwnie zręczny dyalog, znakomicie podobierane sytuacje, pojedyncze, właściwe tylko wielkim dramatycznym geniuszom rzeczy, w których występujące osoby jednym ruchem, jednym słowem wykazać umieją całą głębię uczucia, to są środki, któremi posiłkuje się czasem. Zwykle najpospolitszego napozór używa stylu. Słowa u niego w spokojny, prawidłowy wiążą się okres; czystość języka posunięta do surowości, nigdzie zbytniego uniesienia, nigdzie by najmniejszego zboczenia z przyjętej drogi, a mimo to jakaż świetna całość? Najprostrzemi środkami, największe osiąga cele: to właśnie jedna z wydatnych cech prawdziwego talentu.

Summując to wszystko przyznać musimy, że Korzeniowski należy do rzędu najznakomitszych przedstawicieli naszego romansu. Wiele powieści jego tłumaczono, wiele się jeszcze dotąd tłumaczy na obce języki. Żechnąć to powinno naszą dumę narodową, kiedy się świat dowiadyuje, że dziki Sarmata i dobry romans napisać potrafi.

---

## O ZNACZENIU PRAW STATYSTYCZNYCH.

PRZEZ

*D-ra Karola Strasburgera.*

Podług doświadczeń poczynionych w Prusach od 1776 do 1852 roku, na 10,000 mężczyzn żonatych, którzy kończyli lat 40, 115 nie doczekiwało się skończenia lat 41. Prawdopodobieństwo więc śmierci dla każdego z nich wyrażało się przez ułamek 0,0115.

Quetelet ze spostrzeżeń swych nad liczbą związków małżeńskich zawieranych w miastach belgijskich, pomiędzy 1840 i 1845 r. wyprowadził wniosek na rok 1846, że prawdopodobieństwo ożenienia się w tym roku dla mężczyzny w wieku od 25 do 30 lat równało się 0,0884.

We Francyi pomiędzy r. 1826 a 1844 r. prawdopodobieństwo dla każdego z mieszkańców tego kraju, że zostanie oskarżony o przestępstwo i postawiony przed sąd wynosiło 0,0002186, prawdopodobieństwo, że zostanie skazany na karę 0,0001366, prawdopodobieństwo między r. 1835 a 1844, że sam sobie życie odbierze 0,000079.

Całe więc życie człowieka poddane jest pewnym stałym, niezmiennym prawom. W chwili kiedy przygnębiony nieszczęściami człowiek, postanawia targnąć się na własne życie, kiedy w bezprzytomnym prawie stanie przykłada pistolet do czoła, wtedy poddaje się tylko groźnemu prawu, które działa z równą koniecznością, jak prawo, podług którego woda ścina się w lód, gdy temperatura do oznaczonego, niezmiennego stopnia się obniży.

Jak długim był proces duchowy, który straszny ten czyn wywołał, ile walk człowiek ten ze sobą stoczył, ile namiętności nim miotało, nim spuścił kurek u rewolwera, który się stał dla niego zabójczym! A to wszystko uczynił dlatego, że inaczej postąpić nie mógł, że śmierć jego była potrzebną do dopełnienia liczby samobójstw, które w danym kraju, w danym czasie musiały być spełnionemi. Jakiś więc krwawy Moloch żąda ofiar od społeczeństwa. Znaleźć się one muszą, przyczyny nie dające się ująć pod stałe prawa, rozstrzygają tylko o tém, kto straszemu bożkowi poświęconym zostanie. „Wszystko zdaje się zależeć od przyczyn stałych—powiada Quetelet.—Tak corocznie się powtarza prawie ta sama ilość samobójstw, nie tylko wogóle, ale także rozróżniając płęć, wiek a nawet narzędzia użyte do zadania sobie śmierci. Jeden rok tak dokładnie wykazuje liczby roku poprzedniego, że przewidzieć można, co się zdarzy w roku następnym“<sup>1)</sup>.

Ale cóż znaczy w obec tych odkryć statystyki, czynienie kogós odpowiedzialnym za jego czyny? Jeżeli pewne dane warunki społeczne przymuszają daną liczbę ludzi do popełnienia przestępstw; jeżeli liczba przestępców z góry da się oznaczyć: to jakże może społeczeństwo z faryzeuszkowskim oburzeniem karać tych, których samo na nieprawą drogę wepchnęło?

„Doświadczenie wykazuje w rzeczy samój—mówi w inném miejscu Quetelet, z możliwą pewnością, prawdę, która w piérszwej chwili wydać się może paradoksem,—że społeczeństwo popycha do zbrodni i że winny jest tylko narzędziem, które jęj dokonywa<sup>2)</sup>).

Uczeni, ludzie praktyki, powieściopisarze, dali się uwieść tym wnioskami, który napozór słusznie wyprowadzonym został z prawdziwości wykrytej przez statystykę w uczynkach ludzkich.

Znaleźli się kryminaliści, którzy za podstawę swych systematów przyjęli zasadę, że morderca nie działa z większą wolnością niż dachówka spadająca z dachu i zabijająca przechodnia.

<sup>1)</sup> Statistique morale str. 35.

<sup>2)</sup> Sur l'homme t. II, str. 325.



„Między szpitalami, domami dla obłąkanych i więzieniami nie ma kardynalnej różnicy, powiedział jeden z delegowanych rządowych w r. 1872 na kongresie londyńskim do rozpatrzenia kwestyi więzień; w szpitalach znajdują przytułek chorzy na ciele, w domach dla obłąkanych chorzy na umyśle, więzienia mieszczą w sobie ludzi, których umysł jest w pewnym kierunku przyćmiony przez namiętność, nad którą nie byli w stanie zapanować.“

Ileż uroku wreszcie zdanie to ma dla powieściopisarzy, goniących za efektem! Wywraca to zwykłe wyobrażenia o odpowiedzialności; spycha winę na tych, którzy występują w roli sędziów. Jan Valjean w rozmyślaniach swoich nad karą, którą społeczeństwo na niego wyrzeka, dochodzi do przekonania, że nie jest ona wymiarem sprawiedliwości, ale pastwieniem się mocniejszego nad słabszym. Odpowiedzialności być nie może, gdyż niema wolnej woli, albo też przynajmniej dziedzina, w której się wolna wola objawia, jest bardzo ograniczoną. Quetelet porównywa prawidłowość uczynków ludzkich do koła nakreślonego krędą na gładkiej płaszczyźnie. Mały odcinek obwodu koła pod szkłem powiększającym wykaże cząsteczki kredy napozór bezładnie obok siebie leżące. Im bardziej oddalać się będziemy, tém bardziej łączyć się będą wszystkie te cząstki w jedną prawidłowo nakreśloną linią. Tak samo się dzieje z prawidłowością uczynków ludzkich; spostrzeżemy ją, jeżeli badania nasze rozciągniemy do większej ilości ludzi i do dłuższego czasu: każda pojedyncza jednostka wydawać się nam będzie istotą wolną, niepodlegającą żadnym ogólnym prawom.

A zatem przeświadczenie, które każdy w sobie nosi, że w danym wypadku byłby mógł powziąć dwa zupełnie sprzeczne postanowienia i wykonać je—jest tylko złudzeniem. Jesteśmy w położeniu owego obłąkanego, który biegał naokoło swój celi, sądząc, że odbywa podróż na księżyc. Podług Queteleta jest nam pozostawiona pewna sfera, w której swobodnie poruszać się możemy, ale złudzeniem jest, jeżeli sobie wystawiamy, że sfera ta nie zna żadnych granic.

Jeżeli Quetelet i jego zwolennicy zwracają przedewszystkiém uwagę na prawidłowość objawiającą się w uczynkach ludzkich, to statystycy niemieccy z Drobischem na czele, główny nacisk kładą na powody téj prawidłowości. Jednakowe przyczyny wywołują jednakowe skutki; ponieważ ludzie są do siebie w zbliżonych epokach podobni, więc w razie niesumienności przyczyn zewnętrznych, czyny ich są także do siebie podobne, powtarzają się one z większą lub mniejszą prawidłowością.

Ostateczny rezultat obu tych poglądów jest jednakowy; jeżeli tylko przyznamy, że każdy czyn człowieka co do istoty swój uwarunkowany jest całym szeregiem czynów i wypadków dawniejszych, tak że musi wypaść tak, jak tego wymagają przyczyny uprzednie, to o ile bądziemy konsekwentni, zaprzeczyć musimy wolnej woli. Znajdzie się ona w położeniu poety z Szyllerowskiego poematu, który zapóźno się zjawił przy podziale świata; tylko że niewolno jój, jak tamtemu, szu-

kać dziedziny dla siebie w niebie, gdyż kierować ma ona czynami ludzi na ziemi. Odepchnie ona też zakątek, jaki jej statystyk belgijski chciał zapewnić, gdyż łatwo zrozumie, że panowanie jej tam byłoby bardzo niepewne. Redukować wolną wolę do znaczenia przyczyny przypadkowej, zakłócającej prawidłowe panowanie przyczyn stałych, jest niekonsekwentnem. Przyczyny przypadkowe, to te, których działania spraw za pomocą środków naukowych, któremi obecnie rozporządzamy, wykryć nie potrafimy; przyznanie zatem wolnej woli w znaczeniu Queteleta, jest to wyznaczenie dla przesądów wyrobionych przez wieki, miejsca poza szaniami, których w danej chwili nauka zdobyć nie potrafi; przyszłe pokolenia zburzą te zapory i zawładną przestrzeniami, które my naprózno obronić staraliśmy się.

Czyż więc uznanie prawidłowości w uczynkach ludzkich, tak jak ją wykryła statystyka, znosi możliwość istnienia wolnej woli?

Odpowiadamy, że nie, o ile uznamy zasady, na których się opiera filozofia idealna.

Filozofia idealna twierdzi, że czas i przestrzeń są formami naszego umysłu, że zjawiska porządkujemy na mocy prawa przyczynowości, prawa, podług którego nic się nie dzieje bez dostatecznej przyczyny. Pojęcie prawa przyczynowości nie wyczerpiemy z doświadczenia, ale przeciwnie tworzymy doświadczenie, tworzymy świat zjawisk na mocy prawa przyczynowości, które jest w nas, podług którego myślimy, bez którego dojść do poznania świata zewnętrznego nie jesteśmy w stanie.

Świat zjawisk, który poznajemy na drodze doświadczenia, to nie cały świat myśli naszych; uznać możemy, a nawet umiemy świat rzeczy samych w sobie, lecz te nie znajdują się w czasie i przestrzeni; za pomocą doświadczenia, opartego na prawie przyczynowości, ich nie poznamy, a więc w ogóle poznanie ich jest niemożliwem, pomyśleć je tylko można.

Nie tu miejsce dowodzić prawdziwości tych podstaw filozofii idealnej, zaprowadziłoby to nas zbyt daleko, postaramy się tylko o wyjaśnienie myśli naszej na przykładzie.

Człowiek, w oku którego brak jest soczewki naturalnej, widzi światło, ale przedmiotów pojedynczych rozróżnić, poznać nie jest w stanie. Bierze do pomocy okulary, w których umieszczoną jest sztuczna soczewka i cały świat przedmiotów przed nim się roztacza: rozróżnia teraz człowiek ten kształty, kolory: powstaje świat, który przedtem dla niego nie istniał.

Te okulary z soczewką, to formy umysłu człowieka. Bez nich razi go światło, bijące od rzeczy samych w sobie, ale poznać ich nie jest w stanie; on jest przekonany, że rzeczy te istnieją, są one dla niego rzeczywistością, powinien też pamiętać o tém na każdym kroku, który czyni, ale rozróżnić ich nie może. Przy pomocy owych okularów, badając świat umysłem, tworzącym czas i przestrzeń, oznaczającym porządek konieczny zjawisk na mocy prawa przyczynowości, pojmuje to, co go otacza, jako szereg zjawisk, powiązanych ze sobą

łańcuchem niezbędności, postępujących jedno za drugim, jedno obok drugiego, w porządku, którego żadna siła zmienić nie jest w stanie.

Czy prawa podobne rządzą w owym świecie rzeczy samych w sobie? Każdy umysł krytyczny, t. j. umysł, który zbadał środki, jakimi rozporządza, który nie ludzi się, co do ich doniosłości, co do dziedzin przystępnych dla niego, odpowiedzieć musi: nie wiem. Wiem, że świat rzeczy samych w sobie istnieje, ale nic więcej o nim powiedzieć nie umiem, powiedzieć nie mogę, gdyż formy mojego umysłu mi na to nie pozwalają.

Jakże zastosujemy to, cośmy powyżej powiedzieli do kwestyi, która się stała punktem wyjścia dla nas, do kwestyi prawidłowości statystycznej, wykrytej w uczynkach ludzkich?

Człowiek, jego czyny posiadają zarówno ów podwójny charakter, jaki się rozróżnić da w każdym innym przedmiocie. Jest rzeczą samą w sobie i jest dla drugich przedmiotem poznania, zjawiskiem. Poznać człowieka inaczej, niż za pomocą tych samych form zmysłu, które mu służą odnośnie do każdego innego przedmiotu, jednostka druga nie może. Jego i jego czyny mieści w czasie, w przestrzeni, porządkuje na mocy prawa przyczynowości. Każdy uczynek, jako zjawisko, musi mieć przyczynę naturalną, która go wywołała, wywołała z niezbędnością nieuniknioną.

Łańcuch przyczynowości nigdzie i nigdy przerwany być nie może, gdyż wtenczas ustałaby dla nas w ogóle możność poznawania.

Ale gdy zagniemy badać siebie samego, już nie jako zjawisko, ale jako rzecz samą w sobie, wtenczas spadają nam z oczu owe okulary, przez które na świat patrzyliśmy; gdy popełniliśmy czyn zły, razi nas światło bijące od niego: odwrócić od niego oczu, za pomocą których na siebie spoglądamy, nie jesteśmy w stanie, bez względu na to, chociażbyśmy mogli strasznie znosić. Naprawdę wołamy, że inaczej postąpić nie mogliśmy, że fatalny bieg wypadków nas do tego doprowadził; takie zapatrywanie jest właściwe o tyle tylko, o ile pozostajemy w świecie zjawisk, ale nie wtedy gdy zejdziemy w głębie rzeczy samych w sobie. W tych dziedzinach prawo przyczynowości nie panuje. A więc czy nie ma tam praw żadnych? Czy rozstrzyga o zupełności wolna wola? Na to pytanie umysł krytyczny znów odpowiedzieć musi tak, jak powyżej: nie wiem, wiedzieć tego nie mogę.

Prawidłowość wykryta zatem na drodze doświadczenia, przez statystykę, w uczynkach ludzkich nie ma w sobie nic zadziwiającego. Przeciwnie inaczej być nie mogło.

Prawo przyczynowości stosuje się do uczynków ludzkich, o ile pozostaniemy w sferze zjawisk, tak samo jak do każdego innego przedmiotu poznania, a prawo przyczynowości znaczy, że każdy wypadek w czasie, jest następstwem wszystkiego, co go poprzedziło, że gdzie się znajdują te same przyczyny, wywołać one muszą te same skutki.

Summa warunków, w których żyje dane społeczeństwo nie zmienia się tak prędko, a zatem i wyniki ich, charakter czynów ludzkich

wśród tego społeczeństwa, ich ilość, będzie mniej więcej stałą. Dlatego w jednym roku wydarzyć się musi ta sama mniej więcej ilość zabójstw, samobójstw i t. d., co i w innym niezbyt od owego odległym.

Umysł ludzki nie jest w stanie inaczej pojąć czynów innych jednostek, społeczeństwa, które bada, jak tylko za pomocą form, które jego istotę stanowią, a więc nieinaczej jak w czasie, w przestrzeni, podług prawa przyczynowości. Przez to, że je w ten sposób bada, stają się one dla niego zjawiskami, poznaje je. Umysł ludzki wkłada zatem w ogół tych czynów porządek przyczynowy, wiąże je ze sobą łańcuchem praw niezmiennych; naturalną też jest rzeczą, że potem rezultaty jego badania ten porządek przyczynowy wykazują. Dziwiący się temu, czyni jak dziecko, które, gdy stanie przed lustrem i zobaczy w nim swój obraz, pojąc nie może, zkład się to zjawisko bierze, kiedy nikt za lustrem nie stoi.

Przyznajemy więc przyczynowe powiązanie ze sobą czynów ludzkich. Ale jakże może ten sam czyn być przyczynowo uwarunkowanym i zarazem prawu przyczynowości nie podlegać, jak może być zarazem zjawiskiem i rzeczą samą w sobie? On jest zjawiskiem, on podlega prawu przyczynowości, o ile go badamy, jako wypadek w czasie i przestrzeni; on jest rzeczą samą w sobie, on prawu przyczynowości, nie podlega, o ile pomyślimy go niezależnie od czasu i przestrzeni. Jak się godzi to przyczynowe powiązanie czynów i przyczyn poprzedzających je, jak się może złać harmonijnie dramat życiowy, rozwijający się z nieuniknioną koniecznością na scenie świata z wpływami innych sprężyn poza kulisami działających, które temu prawu przyczynowości nie podlegają; takie pytanie postawić może umysł ludzki, ale nie jest w stanie go rozwiązać. Nie jest w stanie, bo rozporządza tylko takimi formami, a nie innemi. Pozna wszystko, co jest zjawiskiem; pomyśleć może rzecz samą w sobie, ale do niej jego poznanie nie sięga; dochodzi do przekonania, że scena, na której dramat życiowy się rozgrywa, nie jest światem całym; wie, że wznoszą się kulisy, które mu dalsze niezmiernie przestrzenie zasłaniają; wie o tém, że poza tą sceną świata zjawisk prawo przyczynowości nie rządzi, ale nie wie, co tam na miejsce tego prawa występuje, jak te dwa światy zjawisk i rzeczy samych w sobie się ze sobą wiążą, harmonijnie zlewają.

Sądźmy, że jest to przekroczyć zapory, które nam formy naszego umysłu stawiają, jeżeli z Kantem i Schopenhauerem powiemy, że cały szereg czynów jednej jednostki podlega prawu przyczynowości, płynie z nieuniknioną koniecznością, z jej charakterem; ale sam ten charakter jest utworem wolnej woli jednostki; szereg czynów od chwili, gdy jednostka działać zacznie, aż póki życie w niej nie zagaśnie, ma być następstwem jednego czynu wolnej woli, który tamte wszystkie uprzedził, nadał im kierunek. Akt wolnej woli naszój, ma czyny nasze uprzedzać, a zatem być od nich wcześniejszym, spełnić się

dawniej, co do czasu; ale, sądzymy, ten czyn prawu przyczynowości nie podległy, ma się spełnić poza czasem, bez związku z czasem, a więc nie można powiedzieć, że on się spełnia raz, że się spełnia wcześniej lub później, bo to wszystko są rozróżnienia o czasie.

Tak jak nam się to pytanie przedstawia, ta niepodległość prawu przyczynowości, to wyłamanie się z pod niego, odnosi się do rzeczy samej w sobie, która stoi poza czasem. Kiedy się akt ten spełnia, tego nie wiemy, a nawet tak stawiać tego pytania nie można, bo ten akt pod kategorią czasu nie podchodzi.

Filozofia idealna nie potrafi rozwiązać pytania, jak czyn pewien może być rzeczą samą w sobie i zarazem zjawiskiem; ale umie uzasadnić, dlaczego odpowiedzieć na to nie jest w stanie. To stanowi wielką różnicę między filozofią idealną, czyli właściwiej krytyczną a dogmatyczną. I ta dochodzi do pytań, które stanowią dla niej ostatni kres, do jakiego dotrzeć może; lecz nie da odpowiedzi na to, z kąd się bierze siła, z kąd wyszedł pierwszy ruch, nie usprawiedliwi, dlaczego na te zapory natrafiła.

Staraliśmy się wyświecić jedną kwestyą ze stanowiska filozofii krytycznej i to jedną z najtrudniejszych kwestyj. Kilka słów jeszcze poświęcimy wykazaniu, w czem leży trudność tego właśnie pytania.

Człowiek potrafi się rozróżnić jako rzecz sama w sobie i jako zjawisko. W kwestyach natury ludzkiej dotyczących, najtrudniej też o zgodę, gdyż porozumienie jest niemożliwe, jeżeli jedna strona obraca się w sferze zjawisk, a druga w sferze rzeczy samych w sobie. W kwestyi nas obchodzącej na pierwszym stanowisku pozostając, twierdzić będziemy, że człowiek ulega prawom niezmiennym na równi z całą przyrodą, że z pod nich wyłamać się nie może, że zbrodniarz rzucający się na swojego bliźniego, by tego życia pozbawić, działa z równą koniecznością jak lawina z gór się zesuwałająca i zasypująca całe wsie. Gdy badać siebie będziemy tylko jako rzeczy same w sobie, nie podlegające prawu przyczynowości, dojdziemy do przekonania, że to prawo rządzi światem całym, ale że my z pod niego wyzwoleni jesteśmy, że dla świata ludzkiego niema ono żadnego znaczenia.

Tego, że cała przyroda nietylko jest światem zjawisk, ale i rzeczy samych w sobie, nie czujemy tak bezpośrednio, na drodze rozumowania dopiero do prawdy tej dochodzimy; przyrodę uważa za zjawisko ten nawet, co siebie w inną sferę przenosi: dlatego to wielu przyznaje rządy nieuniknionej konieczności dla wszystkiego, co poza światem ludzkim leży, ale nie przyznaje ich dla świata tego.

Filozofia krytyczna godzi oba te poglądy; przyznaje ona, że jest niekonsekwentnem przyjmować niezłomne prawa dla całej przyrody, a wyłamywać z pod nich człowieka; ale ogranicza znaczenie tych praw bez względu na to, czy się zastanawia nad przyrodą, czy nad człowiekiem, do zjawisk, utrzymując, że poza światem zjawisk istnieje świat rzeczy samych w sobie, do którego prawo przyczynowości się nie odnosi.

Człowiek wyjątkowego stanowiska w przyrodzie podług filozofii krytycznej nie zajmuje. Niejednego nie obeznanego z zasadami filozofii Kanta zdziwi może, gdy znajdzie u tego twórcy filozofii krytycznej na przeszło pół wieku przed pojawieniem się prac Darwina, zdanie następujące: „Porównanie żyjących istot i sprowadzenie ich do najprostszych pierwotnych kształtów wykazuje nam ich powinowactwo i wspólny początek. Dziedziny ożywionej przyrody zbliżają się do siebie, odkrywamy przejściowe formy z jednej do drugiej; jeden gatunek zwierząt zbliża się do drugiego jako stopnie rozwoju, ku górze aż do człowieka, ku dołowi aż do polipa, a dalej śledzić można formy przejściowe do niższych dziedzin przyrody, do mchów i porostów, wreszcie do możliwie najniższego stopnia w przyrodzie“<sup>1)</sup>.

Niemniej dobitnie wyraża Kant swoje zdanie w kwestyi obecnie specjalnie nas obchodzącej. „Można przyznać, mówi on<sup>2)</sup>, że gdybyśmy byli w stanie tak dokładnie poznać sposób myślenia pewnego człowieka, jak ono się objawia zarówno w czynach wewnętrznych jak i zewnętrznych, że znanaby nam była najślabsza nawet ich pobudka, a zarazem wewnętrzne wpływy odziaływujące na te pobudki, to możnaby obrachować z góry, jak w danym razie człowiek ten postąpi i to z równą pewnością jak przepowiadamy zaćmienie słońca lub księżycy.“

Filozofia krytyczna, tak jak ją Kant stworzył, bynajmniej nie przeczy, że światem rządzą prawa konieczne, oparte na prawie przyczynowości; wyraźnie uznaje, że podlega im także i świat ludzki; twierdzi, że poznanie nasze zasadza się na ich zbadaniu, że poza doświadczeniem niema poznania; ale utrzymuje zarazem, że to prawo przyczynowości odnosi się tylko do zjawisk, nie do rzeczy samych w sobie; że to powiązanie przyczynowe istnieje dla nas, ale nie wolno nam twierdzić, że podlegają mu rzeczy same w sobie t. j. rzeczy niezależne od naszego pojęcia o nich: gdy tracimy oczy, kolory przestają dla nas istnieć; gdy pozbawieni zostaniemy słuchu, nie będzie dźwięku dla nas; gdybyśmy mieli inne formy umysłu, aniżeli te, które posiadamy, świat inaczejby nam się przedstawiał.

Prawidłowość statystyczna, którą wykryliśmy w uczynkach ludzkich, nie jest dowodem ani za wolną wolą, ani przeciw niej. Jeżeli twierdzimy, że wolnej woli niema, gdyż corocznie powtarza się ta sama ilość przestępstw i t. d., postępujemy jak ten, który wszedłszy do zupełnie ciemnego pokoju i nie w nim nie widząc, twierdzi, że w nim nic niema: pokój ten może być pusty lub nie; jeżeli sąd nasz był błędnym, to powodem tego było, że chcieliśmy się w ciemności posiłkować wzrokiem; polegać na wzroku naszym możemy, ale tylko wtenczas, jeżeli się znajdujemy w warunkach odpowiednich do użycia tego zmysłu.

<sup>1)</sup> „Kritik der Urtheilskraft.“ Cz. II; oddz. II, § 80.

<sup>2)</sup> „Kritik der praktischen Vernunft“ str. 230, wydania Rosenkranza.

Dokładnie o tém wiedział Buckle, który największy może zrobić użytek z prawidłowości wykrytej w uczynkach ludzkich przez statystykę.

W odnośniku do rozdz. I swój Historii cywilizacji w Anglii, w którym przytacza pojęcie Kanta co do wolnej woli, powiada <sup>1)</sup>: „Ustępy te pokazują, że Kant wiedział o tém, iż wolna wola jako zjawisko nie istnieje; a ponieważ dzieło to jest badaniem praw rządzących zjawiskami, przeto jego transcendentalna filozofia nie dotyczy moich wywodów.“

## Podróże i odkrycia geograficzne

w roku 1872—1874.

PRZEZ

A. P.

### II.

Azja środkowa. — Wyprawa wojenna do Chiwy. — Chanat chiwiński. — Stolica — Meczety, szkoły. — Pałac chana i jego harem. — Ludność Chiwy pod względem pochodzenia, języka, zwyczajów. — Przemysł i handel. — Cywilizacja.

Ostatnie dwa lata, tyle ważne dla ziemioznawstwa z powodu ciekawych wypraw podbiegunowych, niemniej obfite przyniosły plony i na innych polach poszukiwań naukowych. Wnętrze Afryki i Australii w coraz pełniejszych przedstawia się zarysach, Azja także w skutek ożywionych prac podróżników w jaśniejszym ukazuje się świetle. Zwłaszcza pod względem znajomości środkowej Azji, w ciągu ostatnich dwu lat najwięcej zyskała nauka. Podróże Przewalskiego i Fedczyński w Turkiestanie wzbogaciły znakomicie naukę geograficzną. Sprawozdanie o nich, wymagające kreślenia map, przechodzi

<sup>1)</sup> History of civilization in England. T. I, str. 35.

nasze środki. Wspomniéć jednak możemy o innéj części środkowej Azji, o jednym z krajów turkiestańskich, który z powodu wojennéj wyprawy rossyjskiej, zwrócił na siebie uwagę całej Europy. Wyprawa wojenna do Chiwy zapewniła Rossyi nie tylko korzyści polityczne; przyniosła ona także dla nauki znaczne pożytki, rozszerzając nasze wiadomości o krajach, które kiedyś zwiedził ze swém wojskiem sławny zdobywca macedoński—Aleksander Wielki. Wiadome są przyczyny wojny, jaka się wszczęła między Rossyą a chanem chiwińskim w 1873 r. Powodem jéj było chwywanie i zatrzymywanie przez chana chiwińskiego niewolników rossyjskich. Było jednak tylko powód przygodny; istotną zaś przyczynę stanowiła chęć zaokrąglenia posiadłości w Turkiestanie i zabezpieczenia podboju, jakiego Rossya poprzednio już dokonała w środkowej Azji.

Pod względem handlowym środkowa Azja stanowi dla Rossyi nadzwyczaj ważny punkt zbytu, rynek nadzwyczaj korzystny, na którym Rossya sprzedaje swoje wyroby a zarazem i nader bogate źródło naturalne, z kąd czerpać można obszerne zasoby produktów ziemi. Podbicie Chiwy stanowiło ostatni krok na drodze polityki rossyjskiej w środkowej Azji. Zhołdowanie chana chiwińskiego nie przedstawiało żadnej trudności. Seid-Mehemmed-Rehim oczywiście żadnego poważnego oporu stawić nie mógł. Siły jego wojskowe złamać—byłoby rzeczą jednéj potyczki. Ale największą trudność stanowiło osiągnięcie nieprzyjaciela, którego broniła niedostępność miejsca, piaszczysta pustynia, bezdroża. Przeszkody te zwalczyło nieliczne wojsko, które na początku 1873 r. wysłane zostało w trzech kierunkach przeciwko Chiwie. Jednym oddziałem, który wyruszył z Taszkientu, dowodził generał Kaufmann. Oddział ten w ciągu trzech miesięcy przebył ogromną pustynię od brzegów Syr Darii do Amu-Darii i w czerwcu 1873 dotarłszy do Chiwy, łącznie z drugim oddziałem, który podążył od stron morza Kaspijskiego, dokonał dzieła zhołdowania chana chiwińskiego. Wyprawa z Taszkientu do Chiwy przedstawiała istotnie olbrzymie przeszkody. Od czasu Aleksandra W. nigdy jeszcze europejskie wojska nie przebywały téj bezludnéj pustyni. Upały dochodzą do niezwykłego stopnia natężenia. Zawieje piaskowe są tak gwałtowne i silne, że mogą zasypać karawanę jak w Saharzę. Drogi żadnej. Śladu istot ludzkich podobnież żadnego. Nigdzie kropli wody, którąby ugasić można zwiększające się wśród skwaru pragnienie. Wielbłądy, które kilka dni bez pojenia podrózować mogą, padały bez tchu z omdlenia. Z trzech tysięcy wielbłądów, które wyprawa z Taszkientu z sobą zabrała, zaledwie kilkaset stanęło u celu podróży. Dopiero kiedy wojsko przybyło do brzegów Amu-Darii, poprawiły się warunki wyprawy. Woda w obfitości orzeźwiła i ludzi i juczne zwierzęta. — Pomijamy, jako do sprawozdania geograficznego nienależące szczegóły zajęcia Chiwy i zhołdowania chana; podajemy natomiast kilka rysów, uwydatniających charakter kraju i stolicy chanatu chiwińskiego, korzystając z opisów



uczonych rosyjskich i zagranicznych, którzy w celach naukowych w tej wyprawie udział brali. Między innymi znajdował się przy wojsku rosyjskiem naturalista Stumm, wysłany przez rząd pruski, porucznik pułku huzarów westfalskich.

Chanat chiwiński przedstawia ogromną równinę między morzem Kaspijskiem i Aralskiem, od południa graniczącą z Persyą i Afganistanem. Stałych granic to państwo nie ma i jak zasy pyłkowe w pustyni, to się powiększa to znów zmniejsza. Rozległość całej przestrzeni wynosić może około 7 tysięcy mil kwadratowych. Z tych jednak tylko część dotykająca rzeki Amu-Daria, dawnego Oxus, jest zamieszkała. Z wyjątkiem tego pasu nadrzecznego, który z powodu żyznej ziemi nadaje się do uprawy, resztę stanowi step piaszczysty, dokoła otaczający stolicę i kraj chiwiński. Miejscami w pustyni spotykają się oazy, na których koczujące hordy pasterski żywot prowadzą. Od strony zachodniej, północnej i wschodniej nieprzebyte pustynie oddzielają Chiwę od posiadłości azyatyckich państwa rosyjskiego. Jezioro aralskie dawałoby pewien przystęp od północy, gdyby nie brzegi piaszczyste i zamulone, do których żaden statek przybić nie może. Tylko przy ujściu Amu-Darii do jeziora aralskiego dogodniejsze dla żeglugi przedstawiają się warunki, ale właśnie przed samą wyprawą na rozkaz chana ujście rzeki zupełnie zasypałem zostało. Chanat zatem chiwiński stanowi właściwie przestrzeń nad brzegiem Amu-Darii zamieszkałą a głównie okolice ujścia rzeki tej do jeziora aralskiego. Ludności niepodobna ściśle oznaczyć, zdaje się jednak, że dochodzi do dwóch milionów, łącznie z koczującymi w stepach hordami. Pod względem pochodzenia ludność nie jest jednorodna. Sam chan należy do szczepu panującego Usbeków, który wynosi około 100,000 głów. Obok tego szczepu wojowniczego, stanowiącego arystokracją w chanacie chiwińskim, spotykamy w takiejże liczbie szczep Tadżyków, przytém kilkadziesiąt tysięcy Persów i tyleż Karakałpaków czyli Mongołów. Wśród stepów koczują liczne hordy Turkmenów, dzielące się na rozmaite szczepy. Zostają one w zawisłości od chana, płacąc mu roczny haracz.

Głównem ogniskiem życia jest same miasto Chiwa wraz z przylegającymi osadami, które w żyznej okolicy, przerznętej mnogimi kanałami, w bardzo znacznej rozgałęziły się tu liczbie. Rolnictwo i ogrodnictwo kwitnie tak jak w żadnej z krain środkowej Azji. Handel ożywiony prowadzą mieszkańcy z karawanami perskimi i rosyjskimi. Miejscowy handel głównie rozwija się w samem mieście. Z dotychczasowych badań chanatu chiwińskiego najlepiej znaną jest sama stolica Chiwa. Z głównego miasta, jego charakteru musimy też o całym chanacie utworzyć sobie pojęcie. Kilka więc słów niech nam powieścić będzie wolno o stolicy.

Chiwa z daleka sprawia miłe na podróżniku wrażenie. Z poza gęstwiny zielonych drzew ukazują się bramy i wieże murów miej-

skich; nad niemi panują kopuły meczetów i minaretów. Z bliska niknie wszelki urok. Piękne gmachy, wyniosłą wieżę są rzadkością. Miasto składa się przeważnie z domów z gliny lepionych, niskich, krzywych i brudnych. Ulice są nadzwyczaj wąskie i kręte. Chodników kamiennych nie spotkasz, chyba niekształtne głązy tu i owdzie rozrzucone. Wszędzie w mieście zaduch niecznośny, bo nieczystości zostają na ulicach i dziedzińcach. Liczne cmentarze w obrębie murów miejskich nie dodają bynajmniej uroku. Różnego kształtu grobowiska, z nadgrobkami w kształcie kopuły z palonej i niepalonej cegły, mieszczą się tuż obok domów. Życie i śmierć pozostają tu w najbliższym obok siebie sąsiedztwie. Publicznych placów albo rynków, otoczonych prawidłowo gmachami nie masz, chyba tu i owdzie znaczne, puste przestrzenie, zapełnione głębokami po deszczu kałużami.

Podwójne mury otaczają Chiwę. Zewnętrzny, opasuje całe miasto, wewnętrzny w kształcie czworoboku, cytadelę. Pierwszy pierścień ma blisko milę obwodu, węższy zaś nie więcej nad dwie wiorsty. Wewnętrzny mur sięga dalekiej starożytności, o której nawet między ludnością pamięć zaginęła. Zewnętrzny wzniesiony został w r. 1842 przez chana Allah-Kili podczas wojny z sąsiednią Bucharą. Mury miejskie nie są w stanie obronić miasta przed działaniami wojsk europejskich. Nie są dostatecznie wysokie i grube, przytém zbudowane z materiału dość kruchego. W obrębie murów cytadeli znajduje się pałac chana, główny meczet i szkoła. Miasto liczy 1,200 domów, 17 meczetów i 22 szkół (medresech).

Najpiękniejszy gmach i zarazem najwspanialszą świątynię stanowi meczet Polwan-Ata, mieszczący się w południowej części cytadeli. Spoczywają tu zwłoki muzulmańskiego świętego Polwana, patrona miasta Chiwy i całego chanatu. Meczet ten zbudował w r. 1811 Machomet-Rahim, z palonej cegły. Kopułę zdobią zielone kafle. Na jej szczycie mieści się ogromny guz złoty. Meczet składa się z czterech obszernych sklepionych komnat, z których środkowa odznacza się najpiękniejszym wykończeniem. Na ścianach wśród niebieskich kafli widnieją zręczne rysunki. Główna sala w świątyni posiada szczególniejszego rodzaju resonans. Pobożni imani (duchowni) podczas nabożeństwa stają w kątach świątyni i kiwając się, odmawiają prędko modły z koranu. Sklepienie odbija głośy ich, a te—zmieszane razem wydają dziwną melodyą, która podnosi ducha pobożnego muzulmanina. Na środku sklepienia zawieszony jest kandelabr bronzowy, pochodzący z Astrachania; u spodu tegoż wisi jajo strusie, dar pielgrzymów wracających z Mekki. W jednej z sąsiednich komnat mieści się grób poprzedniego chana chiwińskiego. W drugiej stronie cytadeli znajduje się inny nowszy meczet o kształtach więcej prawidłowych. Wysokie gotyckie okna tego meczetu mają zamiast szyb, których w Chiwie zupełnie nie używają, żelazne kraty. Płaski dach pokrywa meczet. Minaret sterczy na 70 stóp nad szczytem w kształ-

cie cylindra zwązającego się u wierzchołka. W obrębie murów cytadeli mieści się téż szkoła najpiękniejsza i największa w liczbie innych miejskich. Jest to gmach czworoboczny, obejmujący w sobie obszerny brukowany dziedziniec ze studnią w pośrodku. Cele dla uczniów zbudowane są o dwóch piętrach bez okien, które zastępują drzwi, wychodzące na dziedziniec. Uczniowie w liczbie trzystu zostają pod dozorem i kierunkiem czterech nauczycieli. Każdy uczeń dostaje na rok około 5 korcy pszenicy, tyleż djugary i 5 do 6 tylli pieniędzy.

Pałac chana również w obrębie murów cytadeli się mieści, dookoła opasany oddzielnym wysokim murem. Wejścia strzeże warowna brama z wieżami. Przed pałacem spotykamy obszerny dziedziniec, na którego w przeciwległej od pałacu stronie wznosi się czółem ku pałacowi szkoła chana z mniejszą liczbą uczniów. Dziedziniec ten należy do najpiękniejszych placów w Chiwie. W pośrodku mieści się dół znacznej głębokości, do którego wrzucają przestępców, na śmierć przez poderżnięcie gardła skazanych. Egzekucya tego rodzaju odbywa się w święta uroczyste. Pałac chana podobnie jak wszystkie domy w Chiwie zbudowany jest z gliny. Składa się z części zamieszkałej przez urzędników oraz z części wyłącznie przeznaczonej na pobyt chana oraz jego dworu. We dworze chana są oddzielne pokoje dla mężczyzn, oddzielne zaś dla kobiet czyli haremu. Sala posłuchalna odznacza się wielką prostotą. Jest to rodzaj dziedzińca, na którym się wznosi taras ozdobiony różnokolorowemi kaffami. Tu chan przyjmuje podczas uroczystości swoich dworzan i poselstwa zagraniczne. Do haremu idzie się przez długie, ciemne, wązkie korytarze. W pośrodku jest dziedziniec, otoczony małemi kłatkami, które służą za mieszkanie kobietom haremowym. Kiedy wojska rosyjskie zajęły Chiwę oraz cytadelę, cały harem spiesznie porzucił siedlisko swoje, zostawiwszy większą część sprzętów i ruchomości, które na rzecz skarbu zabrane zostały. Urządzenie haremu, zajętego przez wojska w trzy godziny po ucieczce kobiet, jest nadzwyczaj oryginalne. Pojęcie o zbytku i wygodzie życia stanowi sprzeczność rażącą, w porównaniu z tém, co znajdujemy w tej mierze na Zachodzie w krajach ucywilizowanych. Ciemne i niepozorne pokoiki, gdzie się mieściły huryski chana, odznaczały się przedewszystkiem brakiem zupełnym mebli; natomiast podłogi wystane były wspaniałemi kobiercami perskiemi. Wątkowate poduszki miękkim puchem napełnione, pokryte aksamitem lub różnokolorowym atłasem, oraz złotem i srebrem haftowane kołdry dopełniały ubrania tych komnat kobiecych. Wszystkie te ozdoby na rzecz skarbu zabrano.

Znaleziono prócz tego mnóstwo ozdób kobiecych z drogich kamieni, złota i srebra. Niektóre tego rodzaju przedmioty wartości miały do 2,000 rubli. Bogactwo pałacu składało się jednak głównie z srebrnych naczyń, samowarów, czajników, filiżanek pochodzących bądź z Chin, bądź z Rosyi. Do rozrywki kobiet i rodziny chana

służyło mnóstwo większych i mniejszych tabakierok grających. Przedmioty te jako i inne do robótek kobiecych, igły, igielniczki, nożyczki, większej części pochodziły z fabryk rosyjskich, niemniej także zwierciadełka, bielidła i wonne olejki. Liczny dwór kobiety chana pochodzi ze wszystkich narodowości, które zamieszkują oazę chiwińską. Są tu Usbekinki, Kirgizki, Turkomanki, Persanki i Mongołki. Wszystkie razem wraz z dziećmi i nieprzeliczonym poczem niewolnic stanowią świat zupełnie w sobie zamknięty, murem od towarzystwa ludzkiego oddzielony, strzeżony przez wiernych rzeźców. Żadnemu obcemu tych progów przestąpić nie wolno, żaden obcy zająć nie może do tego gniazda próżniactwa, nudów, domowych swarów, nienawiści i zazdrości. W kilka dni po zajęciu pałacu przez wojska rosyjskie wróciły wraz z chanem wszystkie jego żony i znów rozpoczęły dawny żywot próżniaczy.

Do liczby gmachów publicznych w Chiwie należy także bazar czyli raczej karawanseraj, w tym już wieku wystawiony w rodzaju bazarów, jakie się powszechnie w środkowej Azji spotykają. Jest to obszerny dwupiętrowy gmach, w pośrodku obejmujący dziedziniec dość rozległy, na który wychodzą drzwi oddzielnych sklepów, gdzie się mieszczą towary bogatych kupców chiwińskich handlujących z Rosyją i ościennymi ludami azyatyckimi.

Ludność Chiwy wynosi zaledwie cztery tysiące głów; składa się przeważnie z urzędników, duchownych, kupców i rolników. Pod względem narodowości wyróżniają się Sartowie, właścicieli kraju mieszkający, Usbeki późniejsi zdobywcy i Turkomani obecni władcy chanatu. Niewolnicy w dość znacznej liczbie pochodzili z Persyi i Afganistanu, po zajęciu jednak Chiwy przez wojska rosyjskie niewola zniesioną została. Aż do lat ostatnich handel niewolnikami głównie odbywał się w Chiwie. Na pograniczu państwa rosyjskiego, zarówno na brzegach morza Kaspijskiego, chwymano rybaków, których publicznie sprzedawano. Największy kontyngens dostarczał Afganistan i Persya. Ponieważ Chiwijczycy należą do sekty mahometañskiej sunnitów, tój samój co i Afganowie, były więc pewne skrupuły religijne, przeszkadzające sprzedawaniu jako niewolników, Afganów. Chiwi przeto pieniędzy Turkomani obchodzili prawo kościelne, zmuszając gwałtem Afganów do przechodzenia na wiarę szyitów i tym sposobem rozwiązywali sobie ręce. Liczba usamowolnionych w r. 1873 niewolników dochodziła w chanacie chiwińskim do 40 tysięcy.

Ludność w Chiwie pod względem budowy ciała i języka zbliża się do ludności w Taszkencie, gdzie także panującą jest mowa usbekska, lubo z licznymi odmianami. Typy w Chiwie straciły z powodu krzyżowania się z Persami tę czystość, jaką się odznaczają w Taszkencie.

Pod względem ubioru różnią się Chiwijczycy od mieszkańców innych chanatów ubiorem głowy; zamiast bowiem zawojów noszą wysokie czapki z czarnych baranków nieuleżonych. Mężczyźni zimą

i latem nie zdejmują nigdy tego ciepłego ubrania głowy. Urzędnicy podobnie noszą wysokie stożkowe czapki, u góry ścięte, szerszą podstawą wznoszące się ku górze. Są to zwykle oznaki łaski i wyróżnienia rozdawane przez chana zasłużonym urzędnikom. Tych ciężkich barankowych czapek nigdy Chiwiczycykwie nie zdejmują, nawet gdy są u kogo w gościnie. Ponieważ zaś zawsze na uszy wciskają czapki, uszy odstają od głowy jak ucha od naczynia. Zawoje noszą tylko duchowne osoby, mufty, imami, i sędziowie—kadi, w ten jednak sposób że turban owijają około czapki barankowej, której szczyt sterczy nad zawojem.

Chałaty czyli długie suknie męskie w rodzaju szlafroków odznaczają się w Chiwie prostotą. Nie spotkasz tu pstroczyny, jaskrawych barw, jakich używają w innych chanatach. Bogatsi noszą chałaty jedwabne, średnia klasa półbawełniane i półjedwabne. Są to zwykle wyroby miejscowe. W materye zagraniczne stroją się kobiety. Ubiór kobiet technie również prostotą. Wyróżnia się od ubioru niewiast innych chanatów ubraniem głowy, które stanowi wysoka czapka, jaką zwykle noszą Kirgizki. Nadto osobliwością są ozdoby, które kobiety w Chiwie noszą u nosa, zawięszając srebrne pierścienie kamieniami drogiemi wysadzane.

Mieszkańcy Chiwy, lubo niezbyt zamożni, odznaczają się ochędóstwem w ubraniu. Nie spotkasz tu obdartusów ani żebraków w łachmanach. Oblicza mieszkańców nie mają w sobie nic pociągającego. Rysy twarzy grube, wyraz tępy, cera chorowita. Liczne choroby skórne trapią mieszkańców. Dziecinne twarze są nadobne, nieraz piękne, ale w późniejszym wieku niknie powab. Płeć żeńska zarówno jak i męzka prędko się starzeje. Wczesny zanik wdzięku u Chiwinek jak wogóle u wszystkich kobiet na Wschodzie przypisać należy wczesnemu za mąż wychodzeniu i ciężkiej pracy fizycznej, na jaką tu jest skazana kobieta.

Przemysł i handel w Chiwie kwitnie w średnim stopniu. Handel główne ma ognisko w mieście Nowy-Urgencz, leżącym o cztery mile na północo-wschód od Chiwy. Tam mieszkają najbogatsi kupcy chanatu, prowadzący handel z Rosyją, Bucharą i Persyją. W samej stolicy niewielkie znajdują się kapitały. Chiwa ma wprawdzie około 300 sklepów i kramów, ale towarów niewiele, które zresztą tylko dwa razy tygodniowo są na sprzedaż wystawiane.

W bazarach i kramach spotykamy surowe i suszone owoce, pszenicę, ryż, djugare, chléb, cukier rosyjski w małych 5-cio funtowych główkach, herbatę zieloną sprowadzaną z Buchary i z Rosyji, wyroby rosyjskie bawełniane i jedwabne, skórzane, samowary, herbatniki także z fabryk rosyjskich. Wogóle przywozowe towary pochodzą po większej części z Rosyji. Z angielskich wyrobów głównie przedmiot handlu stanowią płócienka oraz chustki szkockie z Glasgowa pochodzące.

Z płodów chiwińskich zasługują szczególnie na uwagę owoce, mianowicie suszone, które stanowią główny przedmiot handlu za-

miennego z Rosyją. Melony odznaczają się nadzwyczajną dobrocią. Całe pola pokryte są niemi. Dojrzewają już w połowie czerwca i służą dla ludności za pożywienie podczas całego lata. Brzoskwinie, jabłka, winogrona i figi doznają nadzwyczaj starannej uprawy w ogrodach zamiejskich. Z przemysłu kwitnie nadewszystko tkactwo. Atlas i aksamit, tkany w różne wzory, dorównywa europejskim tego rodzaju wyrobom. Jedwabne tkaniny gorsze są od bucharskich, ale bawełniane nie ustępują wyrabianym w Bucharze. Pod względem miar i wag spostrzegać się daje silny wpływ systematu rossyjskiego.

W ogóle cywilizacya w Chiwie stoi na niskim stopniu rozwoju. Oczywiście o wykształceniu w duchu europejskim mowy być nie może, choć istniejące szkoły przyczyniają się do tego, że wielu czyta i pisze po tatarsku i arabsku. Cała nauka polega na badaniu teologii muzułmańskiej i uczeniu się języka arabskiego; nie podnosi to jednak poziomu wykształcenia. Dzisiejsza Chiwa wstyd przynosi tym znakomitym filozofom jak Awicenna i Abulgasi, którzy kiedyś w jej murach gościli. W społeczeństwie panuje zupełna obojętność dla spraw publicznych. Nad duchem publicznym panuje sobkostwo i brudna chciwość grosza.

Spodziewać się należy, że z czasem naukowe badania rozciągną się na cały chanat chiwiński, że nie tylko stolica, jak obecnie, ale i kraj w ogóle w jaśniejszym świetle nauki się ukaże. Już też zrobiono początek w tym kierunku; z wiosną bowiem 1874 r. wyruszyła naukowa ekspedycyja rossyjska pod kierunkiem pułkownika Stolietowa, mająca na celu zbadanie południowych brzegów jeziora aralskiego oraz ujść rzeki Amu-Daryi.

Wracając do głównego wątku naszego sprawozdania geograficznego, zauważyć winniśmy, że w ostatnich dwóch latach poświęcili się badaniu Azji, podróżnicy różnych narodowości. Przeważnie z celami politycznemi łączyły się podobne wyprawy. Rząd angielski w Indyach, zaniepokojony posuwaniem się Rossyi w głąb Azji, zwrócił uwagę na kraje turkiestańskie i perskie, oddzielające posiadłości indyjskie od nowych granic państwa rossyjskiego. Skrzętnie więc badano przetrzenie Persyi i Afganistanu, dotykające od północy Chiwy i Turkiestanu. Jeden z angielskich podróżników, Goldsmid wraz z generałem Pollok w ciągu 1872 i 1873 r. zwiedzili i dokładnie opisali kraj Seistan między Persyją a Afganistanem położony. W Chinach dłuższy czas bawił niemiecki uczony, geolog Richthofen i obecnie, po powrocie, pracuje nad wykończeniem opisu zwiedzonych przez siebie krajów państwa niebieskiego. Podróże te zarówno angielskie jak i niemieckie wielkie dla nauki geograficznej mają znaczenie, dając niezmierną ilość nowych pod każdym niemal względem rezultatów. Nie nasuwamy jednak bliższych szczegółów uwadze czytelnika, chcąc ją raczej zwrócić na część świata i na podróże, nierównie ciekawsze. Mowa tu o środkowej Afryce, która

straciła wprawdzie znakomitego badacza w osobie Livingstona, nie przestaje jednak wabić ku sobie nowych zastępów nieulegających podróżników.

### III.

Afryka środkowa.—Podróże D-ra Nachtigala.—Bornu.—Wyprawa do Borku.—Państwo Baghirmi.—Ludy hołdownicze.—Opis krajów stanowiących państwo Baghirmi pod względem fauny i flory.—Ludność.—Zwyczaje.—Religia.—Uspołeczenie.—Państwo Wadai.—Wyprawa niemiecka pod kierunkiem G. Rohlfsa do pustyni libijskiej.—Oazy: Farafrah i Dachel.—Niepowodzenie wyprawy.

Biegun północny i środkowa Afryka, to są dziś dwa najwalej-sze cele, ku którym zmierzają nieustannie coraz nowe wyprawy naukowe. Wszystkie niemal narodowości Europy krzątają się około zbadania krajów podzwrotnikowej Afryki, źródeł Nilu, biegu rzeki Congo i t. d. W ostatnich jednak latach wyróżniają się w liczbie innych podróżników, Niemcy, którzy ze szczególniejszym zamiłowaniem i poświęceniem zapuszczają się w piaszczyste Libii pustynie, w nieznane kraje Sudanu, w podzwrotnikowe strony środkowej Afryki. Dr. Nachtigal zwiedził w ciągu czterech lat ostatnich państwa około jeziora Czad, znane dotychczas zaledwie z nazwy, Rohlfs bada pustynię libijską, nad rzeką Congo pracuje inna ekspedycja naukowa. Istotnie zdumiewające są w ogóle postępy, jakie uczyniło ziemioznawstwo w Afryce. Kto w ciągu ostatnich dwudziestu lub trzydziestu lat nie dopełniał wiadomości swoich, jakie nigdy posiadał o Afryce, tenby się już z tą częścią starego świata nie poznał.

Nachtigala podróże odsłoniły światu uczonemu kraje zupełnie nieznanne. Więc o nich słówko zbytecznym nie będzie. Gustaw Nachtigal (rodem z Pruss 1834 r.) miał sobie poruczone od króla pruskiego złożyć podarunki sułtanowi państewka Bornu na zachód od jeziora Czad, w dowód wdzięczności za okazaną kilkakrotnie pomoc niemieckim podróżnikom jak Barth, Overweg, Vogel, Beurmann, Rohlfs i inni. W lutym 1869 r. opuścił podróżnik Tripoli, dotarł wkrótce do Mursuk a ztąd dopiero po roku mógł puścić się do Kuki, stołecznego miasta państewka Bornu. Żeby nie trwonić czasu nadaremnie, postanowił Nachtigal skorzystać z mimowolnego osiedlenia się w Mursuk i z powodu bliskości miejsca zwiedzić Tibetsi, wschodni kraniec Sahary, dokąd żaden jeszcze z europejskich podróżników nie dotarł; ani Denham, Clapperton, Oudney, Barth, Beurman, Duveyrier, Rohlfs i inni. Była to podróż śmiała, połączona z niewymownymi niebezpieczeństwami. Zwróciwszy się znów na główną drogę, przybył Nachtigal do Kuki w początku lipca 1870 r., gdzie złożył na posłuchaniu sułtanowi podarki przysłane przez króla pruskiego, a mianowicie portrety rodziny królewskiej, złote zegarki,

broń odylicową i różne bogate materye. Oczekując karawany, z którąby mógł powrócić do Tripoli, podróżnik czas ten obrócił na zwiedzenie krajów na północo-wschód od jeziora Czad leżących, krajów, które podobnież zaledwie z nazwiska Europejczykom były znane. Podróż ta zajęła blisko rok czasu. Godna jest uwagi okoliczność, że Nachtigal pozbawiony był niemal zupełnie wszelkich środków pieniężnych. Puścił się jednak w drogę i zbadał kraj: Kanem, Egai, Bodele aż do Borku (10° dług. wschd. od Gr. 1 17 szer. półn.) i zebrał wiele materyału ważnego pod względem geografii, przyrody, etnografii i historii tych stron nieznanych. Między innymi zasługuje na uwagę wyjaśnienie dane przez Nachtigala co do Bahr el Ghasal, znacznej rzeki, co do której niepewne dotychczas utrzymywały się w nauce wiadomości. Wiedziano, że rzeka ta łączy się z jeziorem Czad, ale czy uchodzi do jeziora czy też z jeziora niekiedy przejmuje wodę, pytanie to wątpliwości podlegało. Wyświeca tę sprawę nowsze badanie. Nachtigal się przekonał, że Bahr el Ghasal nie uchodzi do jeziora, ale przeciwnie jezioro wylewa do jego koryta swoje wody, które na dalekie sięgają przestrzenie, bo aż do Borku, leżącego niżej niżeli poziom jeziora Czad. W północnych częściach Borku zwiedził Nachtigal góry, dochodzące do znacznej alpejskiej wysokości. Zdów wrócił podróżnik do państewka Bornu, do stołecznego miasta Kuki, żeby po otrzymaniu zasiłków pieniężnych w dalszą puścić się drogę.

Celem wycieczki były kraje dotykające północną granicą państewka Bornu, kraje należące do ogólnego zbioru państw sudańskich. Leżą one w podzwrotnikowej stronie środkowej Afryki między 12° — 10° szer. pół. i dotychczas nigdy w nich nie powstała stopa Europejczyka. Nazywają się Baghirmi od głównego kraju a obejmują cały szereg drobnych ludów pogańskich. Baghirmi zaś do niedawnego czasu zupełnie niezawisłe, uznaje obecnie zwierzchność sąsiedniego królestwa Wadai, rządzonego przez śmiałego i wojowniczego sułtana Abasydę Ali. Baghirmi, leżące w pośrodku sokołdowanych przez siebie krajów i pokoleń, datuje od niedawna, powstało bowiem przed 350 laty, kiedy ze Wschodu przybyli wędrowni władcy, którzy powoli narzucili swoje jarzmo miejscowym szczepom arabskim i fel-latskim. Wtedy właśnie powstała nazwa Baghirmii, obejmująca kraj i ludność tameczną. Zdobywcami było dwunastu braci, którzy w te strony przybyli ze swoją drużyną i założywszy osadę Kenga, z czasem drogą podboju rozszerzyli swoje panowanie. Wiele pokoleń przyjęło wiarę mahometańską, inne w pogaństwie pozostały. Państwo Baghirmi korzystając ze zwierzchnictwa, wzrosło powoli do znacznego stopnia bogactwa i potęgi. Podbite szczepy płacą haracz niewolnikami i kością słońcowa a z dwóch tych źródeł płyną dla państwa znaczne korzyści. Hołdujące Baghirmiczkom pokolenia dzielą się na różne szczepy, których nazwy po raz pierwszy objiają się o uszy Europejczyka. Do ważniejszych należą: Sokoro, Bua, Nyillem,



Sara, Miltu, Busso, Kuang, Massa, Somrai, Ndamu i Tummok. Szczegółowego opisu ich położenia geograficznego na tém miejscu podawać niepodobna; potrzebaby do tego, aby czytelnik miał pod ręką mapę środkowej Afryki z najnowszych czasów, o co u nas dość trudno. Nie chcąc jednak ukrywać ciekawych wiadomości, których dostarcza podróż Nachtigala, podamy kilka ważnych rysów rzucających światło na charakter i uspołecznienie tych nieznanych krajów i ludów.

Pod względem fauny zasługuje na uwagę ogromna obfitość słoń i nosorożców. Hyeny i dziki także się nierzadko spotykają. Krokodyle i konie wodne również w licznych znajdują się egzemplarzach. Mięso krokodyli jest wysoko cenione przez mieszkańców, skóry ich używają do różnych ozdób broni. Grubszy jednak zwierza mało bywa trzebiony, z powodu że ludność nie posiada do polowania dość odpowiedniej broni. Z domowych zwierząt w największem użyciu jest koń, rassa mała, wytrwała, do jazdy wierzchowej bardzo zaprawiona. W wielkiej obfitości znajdują się także psy, których mięso wszystkie szczepy jedzą. Królestwo roślin pod względem wspaniałości ustępuje okazom w południowych stronach Afryki. Lasy i bory stanowią jednak główny charakter krajobrazu. Bezleśnych stron bardzo mało. Osady i pola zwykle się mieszczą w miejscowościach wykarczowanych. W lasach spotykasz obszerne bujne błonia, licznymi poprzeryzane strumykami.

Pogańskie ludy Baghirmi, wyżej wymienione, drogą powolnego podboju dostały się pod panowanie głównego kraju, od którego ogólna nazwa Baghirmi początek bierze. Wszystki te pokolenia holdownicze należą do czarnoskórych, chociaż się między niemi znajdują i ludzie o czerwonej skórze. Wszyscy są wzrostu średniego, dobrze zbudowani. Chudych ludzi rzadko spotkasz, chociaż i otyli także nieczęsto się trafiają. Twarze nie odznaczają się wdziękiem, pięknnością, lubo i szpetność do wyjątków należy.

Mężczyźni i kobiety zarówno żadnej niemal nie używają odzieży. Wszyscy chodzą zupełnie nago, tylko wstydliwą część ciała pokrywa u jednej i drugiej płci przepaska mniej lub więcej szeroka, opasująca biodra. Kobiety noszą włosy krótko strzyżone, mężczyźni niekiedy w dłuższe splatają je warkocze. Płeć męzka i żeńska nie gardzi różnemi ozdobami. Mężczyźni u nóg powyżej kostki noszą cienkie żelazne obrączki, ściśle przystające do ciała, zakończone z tyłu w kształcie ostrogi i te ozdoby poniekąd ostrogę przy jeździe wierzchowej zastępują. Kobiety przekłuwają górną i dolną wargę ust, zawieszając w otworach rurki szklane a w braku tych — łodygi trawy. W niektórych okolicach, dalej na wschód posuniętych, kobiety obie wargi przekłuwają dość gęsto i zawieszają cały szereg podobnych ozdób szklanych. Tatuowanie czyli narzynanie naskórka i napszczenie farbami jest powszechne. Zwykle takie ozdoby w kształcie prostych linii widzieć się dają na czole lub na policzkach.

Niektóre szczepy dla upiększenia wyłamują zęby przednie: jedne dwa kły, inne po dwa kły z każdej szczęki. Inne znów za pomocą pilników nadają zębom ostre zakończenie.

Uzbrojenie jest wiele niedostateczne i niedokładne. Każdy wojownik nosi przy sobie kilka żelaznych siekierek w skórzanym kołczanie do miotania zdaleka w nieprzyjaciela. Rzadko jednak w starciu pozbawiają się téj broni, gdyż lubo w żelazną rudę obfitują ich ojczyste kraje, brak czuć się daje kowali i puszkarzy. Zwykłą broń wojowników stanowi długa dzida, oraz tarcza z grubej łożyny, wysokości człowieka, którą się całkowicie zastawić można. Niektóre wyżej stojące pokolenia z szczególniejszym zamiłowaniem używają krótkich sztyletów i w ręcznym starciu, zsiadłszy z koni, mężnie uderzają na nieprzyjaciela. Wojownicy innych znów ludów z tegoż związku Baghirmi opasują lewe ręce węższymi lub szerszemi kółkami z kości słoniowej, pokrywając niemi całe ramię i zasłaniając się taką tarczą twardą, wstrzymują ciosy nacierającego na nich nieprzyjaciela. Wielu używa strzał trzciniowych, ostro zakończonych; te jednak tylko lekką ranę ciału są w stanie zadać.

Mieszkania wszystkich szczepów Baghirmi uderzają starannością budowy domostw. Zwykle za parkanem uwitym ze słomy mieści się kilka chat pokrytych szczelnie przystającym dachem słomianym. Niekiedy i podłoga przedstawia twardą z gliny powierzchnią w rodzaju klepiska w naszych gumnach. Ogólna zamożność powstaje z rolnictwa, któremu się wszystkie szczepy gorliwie oddają i z bogatego plonu, jakim ziemia darzy. Narzędzia rolnicze są oczywiście bardzo niewykształcone. Do wżruszania ziemi przed siewem używają żelaznych drążków, ostro zakończonych; u niektórych pokoleń większy w téj mierze postęp spostrzegać się daje, gdyż miejsce pługa zastępuje żelazna motyka, dość podobna do naszych motyk. Z instrumentów muzycznych znany jest bęben i rogi, prócz tego rodzaj mandoliny. Pod względem sposobu żywienia się panuje dość znaczna różnaitość. Jedne szczepy smakują w mięsie psiém i końskim, inne go nie używają. Sól wprawdzie znają, ale dobywają ją w bardzo niedostatecznej ilości z popiołu palmy lub trzciny. Z napojów znany jest rodzaj piwa i miód. Do największych przysmaków zalicza się zucie tytoniu. Palenie fajki, których wyrób odznacza się wielkiem wykończeniem, jest także powszechnie znaném.

Co do charakteru i usposobienia, pogańskie ludy Baghirmi mają wspólnie z pierwotnymi ludami wszystkie wady. Dotrzymanie słowa i przysięgi jest nieznaną rzeczą. Porywczosć, chciwość, chęć zemsty panują powszechnie. Waleczność nie zrównana jednak, zwłaszcza gdy idzie o obronę ogniska domowego.

O Najwyższej Istności mają wszystkie szczepy pojęcie. Jako dówód istnienia téj wyższej siły przytaczali Nachtigalowi ci, z którymi o tém mówił, grzmot, jako głos Boga. Wyobrażają sobie, że Bóg panuje w obłokach. Nazwa bóstwa i grzmotu jest ta sama. Temu

Bogu przynoszą na ofiarę przy poświęcanym słupie łupy wojenne, kury i kozy. Słup zrobiony jest z drzewa habila zwanego, ma cztery stopy wysokości, obrany w kształtach prawidłowych z kory, mieści się zaś obok domu mieszkalnego w małej chacie, do której wstęp kobietom i dzieciom jest wzbroniony. Na słupie zawieszają ofiarę sprawujący skórę zdartą z nieprzyjaciela, skórę ze zwierzęcia, przy nim zabijają kury i kozy.

Dyabły i czarownicy odgrywają tu także ważną rolę i nieraz wiara w nich pobudza do czynów przerażającego barbarzyństwa. I tak np. śmierć znakomitego człowieka, a nawet pięknego konia przypisują czarom. Celem odszukania czarownika biorą na barki ciało nieboszczyka i wśród głośnych okrzyków biegają wzdłuż osady. Wedle pewnych wskazówek, których dostarcza niby nieboszczyk, zatrzymują się przed domem mniemanego czarownika, zabijają go, sprzedają żonę i dzieci, jako niewolników i na rzecz sułtana zabierają całą chudobę nieszczęsnemu, bo zwykle niewinnemu sprawcy złego.

Między wszystkimi szczepami panuje wielożeństwo. Kobięta stanowią bogactwo domowe. Żonę kupują za kilka tłuśtych psów, za konia lub kilku niewolników. Jeżeli jest niepłodną, znów ją mąż odprzedaje lub zatrzymuje w domu jako niewolnicę. W razie gdy wyda na świat pięcioro dzieci, uzyskuje wolność i może wrócić do domu rodzicielskiego.

O życiu pżagrobowem nie mają, oczywiście pogańskie ludy Baghirmi najmniejszego pojęcia, chowają jednak zmarłych z wielką starannością, zwłaszcza dostojników. Wodzów składają do obszernego grobu, do którego wstawiają naczynie napełnione miodem i ulubionym ich napojem—melisą. U niektórych pokoleń przechowuje się zwyczaj zagrzebywania wraz z ciałem wodza żywcem młodego niewolnika i młodej, dziewiczej niewolnicy w tym celu, aby nieboszczykowi miał kto podawać napój i opędzać muchy. Nad grobem usypują dość obszerną mogiłę.

W ogóle, pogańskie ludy Baghirmi pod względem fizycznym bogato wyposażone od natury, nizko bardzo stoją pod względem moralnym i umysłowym. Szczególniej ducha publicznego między nimi wcale nie wiele. Dowodzi tego brak łączności w obec wspólnego nieprzyjaciela panującego nad nimi, to jest Baghirmi. Handel niewolnikami podkopuje ich uspołecznienie: brat brata sprzedaje. Nadto jedno pokolenie z przyjemnością łupi i niszczy drugie na rozkaz sułtana, pali osady, dziesiątkuje sąsiadów.

Całe państwo Baghirmi nie przedstawia na przyszłość świetnych widoków. Dziś jest w zupełności zależnym od sąsiedniego państwa Wadai, i powoli stanie się tylko prowincją bez znaczenia politycznego. Wprawdzie posiadając znaczne zasoby w płodach ziemi, mając obfitość kości stoniowej, mogłoby prowadzić ożywiony handel; ale odcięte od morza, dziś ulegające czynnym i energicznym sułtanom z Wadai

zapewnie już do samoistnego bytu się nie wyniesie, zwłaszcza z powodu korzystniejszych warunków, wśród jakich się rozwija zwierzchnicze państwo Wadai.

Wadai, które tak ważne stanowisko polityczne zajmuje w środkowej Afryce, było dotychczas niedostępną dla Europejczyków, a więc niemal nieznaną krainą. Dzięki śmiałości Nachtigala, nauka obecnie dokładniejsze posiada o państwie Wadai wiadomości. Kiedy Nachtigal po swojej podróży po krajach pogańskich Baghirmi, wrócił do Bornu, daremnie wyczekując pieniędzy zasilków z Europy, postanowił przedostać się do Kordofanu nad górnym Nilem w nadziei, że tam znajdzie pomoc u konsulów zagranicznych. Po drodze leżało państwo Wadai i Dar-For. Udał się więc do stołecznego miasta Abeschr, śmiało i odważnie, nie zważając na to, że tam dwaj jego poprzednicy, D-r Vogel i Beurman śmierć znaleźli. Przyjęty uprzejmie przez sułtana wadaiskiego Ali, pozostał dłuższy czas, (a było to latem 1873 r.) w stołecznym mieście Abeschr; ztąd uczynił ucieczkę do Dar-Runga, kraju na południe leżącego, hołdującego sułtanowi z Wadai. Po powrocie trzeba było dalej ciągnąć przez Dar-For do Chaortum. Domowe zamieszki, w skutek których sąsiednie to państwo, zerwało z ościennym Wadai wszelkie stosunki, sprowadziły kilkomiesięczną zwłokę. Czas ten wyczekiwania bez korzyści nie upłynął, gdyż D-r Nachtigal, zjednawszy sobie serca mieszkańców bezpłatnym leczeniem chorych, miał sposobność zbierania wielu ciekawych szczegółów, odnoszących się do życia publicznego i prywatnego ludów pod berłem sułtana Ali zostających. Nareszcie w r. 1874 we wrześniu dostał się Nachtigal na ziemię egipską, z kąd może już w obecnej chwili wrócił po pięcioletniej nieobecności do kraju rodzinnego, przywożąc z sobą bogaty materiał naukowy z podróży, która go odrazu w rzędzie najgłośniejszych podróżników postawiła.

Uwagę świata naukowego zajmowała mocno w ostatnim roku ekspedycja pod kierunkiem znakomitego podróżnika Gerarda Rohlfsa, przedsięwzięta celem zwiedzenia pustyni libijskiej, w której od czasu Caillauda i Letorzeka, dwóch Francuzów, w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, żadna noga Europejczyka nie postała. O Rohlfsie była już nieraz mowa w naszych sprawozdaniach poprzednich. Rohlfs należy do rzędu tegoczesnych najśmielszych i najzasłużniejszych podróżników. Można go obok Livingstona postawić. Afryka jest główną dzielnicą jego poszukiwań naukowych. W 1862 r. odbywał podróż po Saharze Marokkańskiej i śmierć mu już w oczy zaglądała, bo po nieszczęsnym, zbójckim nań napadzie, leżał dwie doby ranny w pustyni bez pokarmu, bez opieki. Szczęśliwie uszedł niebezpieczeństwa i puścił się, ozdrowiawszy, w dalszą wycieczkę, która objęła całą przestrzeń od północy Afryki aż do jeziora Czad w krajach sudańskich. W 1868 r. brał udział w wyprawie wojennej abisyńskiej, a w następnym roku zwiedził północno-wschodni kąt Sahary. Dla ziemioznawstwa położył Rohlfs niepospolite zasługi: długi czas nosił się z myślą

zwiedzenia i zbadania pustyni libijskiej, która dotyka zachodniego brzegu Nilu, niejako północno-wschodnie przedłużenie Sahary stanowi; pozbawiony środków czekał daremnie sposobności urzeczywistnienia podróży, co do kierunku której ciała naukowe niemieckie i zagraniczne odzywały się pochlebnie. Nareszcie za pośrednictwem konsula niemieckiego p. Jasmunda, mieszkającego w Egipcie, umiał trafić do przekonania wice-króla egipskiego, który bliżej niż kto inny z europejskich mocarzy zainteresowany w sprawie zbadania sąsiedniej krainy, ofiarował swą pomoc pieniężną, wyznaczając z górą dwakroć sto tysięcy złp. na koszt podróży. W połowie grudnia 1873 r. już się całe grono uczonych znajdowało w Egipcie, mianowicie w mieście Siut nad Nilem, żeby stąd puścić się w nieznaną dla Europejczyków stronę. Ekspedycya, która przybrała miano niemieckiej, składała się głównie z naukowych sił niemieckich. Rohlfs był naczelnikiem wyprawy, w której nadto udział przyjęli D-r Zithel z uniwersytetu monachijskiego geolog, D-r Jordan professor instytutu politechnicznego z Carlsruhe, astronom D-r Ascherson z Berlina i Remelé fotograf. Khediwe zaopatrzył ekspedycyą we wszelką pomoc naukową i materyalną. Łożył pieniądze na zakupienie w Europie różnych przyrządów, dał liczny poczet przewodników i sług, zaopatrzył w wielbłądy i w żywność. Wielbłądów posiadała wyprawa sto, a całe grono podróżników wraz ze służbą niższą dziewięćdziesiąt głów wynosiło. Podróżnicy wyruszyli w drogę w drugiej połowie grudnia 1873 z zamiarem przedostania się w poprzek przez pustynię libijską, w kierunku południowo-zachodnim. Świetne nadzieje rokowali o sobie podróżnicy i sami świetnie karmili nadzieje. Skutek jednak okazał się mniej pomyślnym, niż z góry przypuszczano. Oto kilka szczegółów ciekawszych z tej wycieczki.

Podróż przez pustynię w ogóle przedstawia nieprzewyciężone niekiedy trudności. Brak wody dla ludzi i zwierząt staje się zabójczym. Wprawdzie wielbłądy są w stanie nieraz cały tydzień podróżować bez kropli wody, ale jeśli podróż trwa dłużej, a oazy ożywczej po drodze nie spotkasz, wtedy śmierć nieunikniona czeka śmiałych podróżników. Chcąc takiej smutnej ostateczności uniknąć, postanowił Rohlfs zaopatrzyć się w wodę. Jakoż w żelaznych skrzyniach większe zapasy wody wziął ze sobą, tyle jednak, ile udźwignąć są w stanie wielbłądy, które prócz tego były objuczone i żywnością dla siebie i dla całego grona. Pierwszą część podróży odbyto szczęśliwie. Po dziewięciu dniach uciążliwej drogi przez piaszczystą okolicę, pozbawioną wszelkiej roślinności, przybył Rohlfs do oazy Farafrah, którą już przed pięćdziesięciu laty (właściwie 1819 r.) wzmiankowani wyżej Francuzi zwiedzili. Farafrah jest prawdziwie w ścisłym tego słowa znaczeniu oazą w pustyni, odciętą zupełnie od związku z sąsiednimi krajami. Składa się z 50 małych chat, zgrupowanych około zamku, wzniesionego z gliny. Całą osadę otacza mur również z gliny ulepiony. Ludność dochodzi do 400 głów. Mylneby miał

pojęcie o oazie, ktoby sądził, że to jest wśród pustyni jakaś zielona wyspa, porośła trawą, ożywiona kryształową wodą. Farafrah tak się bynajmniej nie przedstawia. Nie ujrzysz tu zielonego kobierca, któryby większą jakąś przestrzeń pokrywał. Miejscami tylko wznoszą się mniej lub więcej gęste gaje palmowe, przedzielone od siebie piaszczystymi wydmami. Od jednej do drugiej grupy palm zielonych prowadzi droga przez gorący piasek, na którym żadna nie rośnie trawa. Około źródła, z którego tryska ciepła woda, mająca 25° C., nieco bujniejsza rozwija się wegetacja, tam zaś dokąd sięga źródłana woda za pomocą kanałów, znacznie słabsza utrzymuje się roślinność.

Mieszkańcy tej osady pustynnej żyją głównie daktylami. Nędzę widać na ich twarzy. Wielbłądów nie posiadają, ztąd też żadnych w pustynię przedsiębrać nie mogą wycieczek. Wyprawa niemiecka, która do Farafrah przybyła, nie powzięła żadnej od jej mieszkańców wiadomości o sąsiedniej okolicy, o dalszej drodze, o oazach blizkich. Puszczono się jednak w południowym kierunku do oazy Dachel, która przewodnikiem znaną była. Po czterech dniach podróży wśród wydm piaskowych, stanęła wyprawa u tymczasowego celu swego. W Dachel można się było pokrępić, odpocząć, zaopatrzyć w żywność, Dachel bowiem należy do bogatszych i żyzniejszych oaz w pustyni Libijskiej. Główne miasto czyli gród Kasr Dachel liczy z górą 6 tysięcy a cała oaza około 17 tysięcy mieszkańców. Wspaniałe ogrody palmowe, w których nierzadko widzieć się dają pomarańczowe, cytrynowe i oliwkowe drzewa, nadają miastu pozór nader miły i ożywiony. Woda tryska tu obficie niż w Farafrah, z górą bowiem czterdzieści naliczyć można źródeł, które znakomicie przyczyniają się do orzeźwienia ziemi a więc i zieloności. Pszenica w wielu miejscach nadzwyczaj bujnie porasta. Ze zwierząt domowych najlepiej się tu chowa osieł, budowy jednak niskiej i słaby. Koni na całej oazie niema może więcej nad dwadzieścia. Wielbłądów również jak i w Farafrah zupełnie nie hodują, gdyż latem podobno jakaś jadowita mucha istnieniu ich zagraża. Brak wielbłądów staje się przyczyną, że i w Dachel nie spotkano ani jednego człowieka, któryby mógł objaśnić podróżników, co istnieje poza oazą, w dalszym kierunku, czy są jakie inne na zachód położone oazy, do którychby się udać było można. Oaza Dachel jest świat, jak mówią, deskami zabity. Ludność w Farafrah i Dachel należy do szczepu Fellah, prawdziwych potomków starożytnych Egipcyan. Koczujących Arabów nie masz tu zupełnie. Jeszcze dziś spotyka w obu oazach podróżnik ślady prastarzej cywilizacji egipskiej. Ruiny staroegipskich osad, wspaniałe szczątki świątyń z piaskowca wzniesionych, liczne na nich napisy hieroglificzne, zasypane piaskiem studnie świadczą, że oazy niegdyś cieszyły się stanem kwitnącym pod panowaniem faraonów.

W połowie stycznia wyruszyła wyprawa z Dachel w kierunku zachodnim, puszczając się w niezbadane głębie pustyni Libijskiej. Zamierzano dotrzeć do oazy Kufra. Daremne były usiłowania. Po kil-

ku dniach podróży przekonał się Rohlfs, że pustynia Libijska jest morzem piasków nieprzebytym. „Od dnia 16 stycznia, pisze tenże podróżnik, do 21 lutego a więc w ciągu pięciu tygodni nie spotkaliśmy ani jednej studni ani jednego źródła. Najdłuższe przestrzenie bezwodne w Saharze, które kiedykolwiek przebywali Europejczycy, wynosiły najwięcej siedm dni drogi. My zaś brodziliśmy w piasku 35 dni, nigdzie kropli wody nie napotkawszy. Zrobiliśmy podróż, która wynosi tyle co droga z Bazylei do ujścia Renu.“ Trzeba było zmienić kierunek, odstąpić od zamiaru i zawrócić do oazy Siuah dawniej znanej pod nazwą Jowisza Amońskiego; ztąd już dogodniejsza do Aleksandryi prowadzi droga. Jakoż w końcu lutego 1874 r. stanęła wyprawa w Siuah, zktąd ostatnie doszły listy. I znów pogrzebane zostały śmiałe nadzieje, które tylokrotnie zawodząc, nie studzą jednak zapału w duszach gorąco oddanych sprawie nauki.

## Spis książek króla Zygmunta I.

W zeszyte październikowym z r. 1874 Biblioteki Warszawskiej, str. 137 podaną jest ciekawa wiadomość o *Modlitewniku króla Zygmunta I-go* przechowywanym w bibliotece uniwersytetu w Monachium, a wyalezionym przez dra. Józefa Kępkowskiego, podług wskazówek udzielonych przez Jakóba Caro, profesora uniwersytetu wrocławskiego. Wiece pożądanemby było, ażeby ważny ten ze wszech miar zabytek, dokładnie mógł być zbadany i opisany. Gdy jednak mowa jest o książce do nabożeństwa Zygmunta Starego, nie będzie może od rzeczy podać tutaj spis książek, które składały bibliotekę tego króla (lub część jęj przynajmniej) w 1510 roku. Spis ten znajduje się w rękopiśmie pod tytułem: *Registr pospolitych rzeczy skarbnych*, a spisany w języku ruskim w roku 1510, w dzień św. Stanisława.

W spisie tym znajdujemy wyszczególnienie szat, zbroi, sreber, „zbroi końskich“ aparatów kościelnych, dworskich, „postolnych rzeczy“ „zapon i konwerców“ rzeczy podróżnych, obrazów; wreszcie książek. O ile jednak wszystko szczegółowo i podrobnie jest tu opisane, przechowując w ten sposób ciekawe wiadomości nazw rozlicznych przedmiotów, ich przeznaczenia i kształtów, przedewszystkiem zaś wszelkich rodzajów zbroi, o tyle tytuły książek niedbale, i bezwątpienia wiele z nich mylnie jest zapisanych, tak że domyśleć się nawet nie można prawdziwego tytułu niektórych. Widocznie spisujący te rzeczy mniej cenił pergaminowe księgi, mszały, brewiarze, antyfonarze i psalterze, lub chociażby księgi praw i statutów, od szabli, kordów, samostrzałów, rohatyn, serpentyn, hakownic, kolczanów, proporców, hewerów,oczy-

tów, pawężów, pancerczów, przyłbic, blach, i t. d., najskrupulatniej opisywanych. W każdym atoli razie, spis ten choć niedokładny, przedstawić może pewne zajęcie, i dla każdego ciekawymi będą najdrobniejsze chociażby szczegóły wykazujące jakim był pokarm umysłowy takiego króla jak Zygmunt I.

### *Reieistr Latyńskich Knił.*

„Naperwey Antyfonyary 2 na Pargamine, odyu ot światny, a druhi nedelny, oba sopoľna (cafe).

Druhiia Antyfonyary 2 na Pargameni, odyu ot światny, a druhi nedelny, nedopisany oba.

Knihi prawa duchownoho<sup>1</sup>).

Knihi Statutu Koruny Polskaia<sup>2</sup>).

Knihi..... na imia Herbar<sup>3</sup>).

Druhiia knihi..... pisania.

Knihi Opteterskiiia (?)

Kniha bibliia pisania.

Mszał weliki Pargaminowy pisan.

Kniha Istereja Lebardynka (?).

Kniha..... Fastykuły.

Kniha objawlenia swętoie Brygidy<sup>4</sup>).

Knihi o Troicia (zapewne o Trójcy Św.).

Knihi Jezopus (Ezopus).

Knihi Oleksandreja<sup>5</sup>).

<sup>1</sup>) Jeżeli przy tytule nie dopisano że księga ta jest „pisana“ sądzimy że musiało to być dzieło drukowane. Jakie to było to „prawo duchowne“ trudno się domyśleć. U nas pod tę porę drukowane były pojedyncze tylko traktaty dotyczące prawa kościelnego: mogło to być atoli dzieło obce, jak np. *Mikołaja de Ausmo*: Prawo kościelne drukowane w Wenecyi 1474 rok.

<sup>2</sup>) Estreicher w Bibliografii XV—XVI wieku cytuje pod rokiem 1491, *Constitutiones et statuta seu sintagmata R. Pol. (Cracoviae? Lotter. Lipsiae przed rokiem 1489??)*

<sup>3</sup>) Niewątpliwie być to musiał autograf Długosza: *Banderia Cruciferorum in Prussia*. Wprawdzie autograf ten darowany był pierwotnie przez Długosza akademii Krakowskiej; wiomy przecieź, iż znajdował się potem pomiędzy księgami Zygmunta Augusta i razem z niemi darowany został po jego śmierci przez Annę Jagiellonkę akademii Wileńskiej. Jakim jednak sposobem dostał się do zbioru Zygmunta Augusta, nie wiadomo; być może że dany był w darze jeszcze Zygmuntoowi I przez akademię krakowską. Obecnie znajduje się w bibliotece kapituły krakowskiej.

<sup>4</sup>) Objawienia świętej Brygidy (ur. 1302 † 1373 a kanauizowanej przez papieża Bonifacego IX w 1391 roku), opisane przez dwóch cystersów jej spowiedników: Piotra de Alvastra, Macieja kanonika w Linköping, drukowane były po raz pierwszy w Lubece 1492 roku.

<sup>5</sup>) *Alex. Gallicus. Secunda pars doctrinalis per Glogos*. Lipsiae 1500, lub *Ezerc. sucunde partis doctrin per Glogov*. Crao. Haller, 1504, lub wreszcie *Doctrinale p. J. Glogov*. Crao. Ungler 1510.



Knihá Hororew <sup>1)</sup>.  
 Knihá Mahnus Olbertus <sup>2)</sup>.  
 Knihá Fizonomeja (?).  
 Druhaia (knihá o) Troici ot kniazia Hrehora <sup>3)</sup>.

*Reiestr knih szto Pan Jeho Milost w Petrykowe kupit.*

(zapewne w marcu 1509 lub w lutym 1510).

Cesarski Prawa 6 knih—Instytuta... Diest retus...  
 Diest novus (Digesta) Kodyks Inforcyatum Volumin <sup>4)</sup>.  
 Kazalnich knih dwoi <sup>5)</sup>.  
 Suma Anelika <sup>6)</sup>.  
 Psaltry z wykładom <sup>7)</sup>  
 Mszalik mały.  
 Brevitok <sup>8)</sup>.  
 Albmach <sup>9)</sup>.

<sup>1)</sup> Možo *Liber horarum canonicarum* wyd. u Hallera w Krakowie (1507—8).

<sup>2)</sup> Može: *Rudolphi Novomagiensis de Vita Alberti Magni libri tres* (Ed. Kolons. 1490) albo dzieła Albertusa w rękopiśmie, lub wreszcie edycye krakowskie z lat 1493 (*Liber de nat. animae Crac?*) 1504 (*De intellectu et intelligibili* Haller), 1508 (*Summa philos.* Haller i 1510 (*Philos. natur.* Haller).

<sup>3)</sup> Jaki to był ów kniaz Hrehory? Późniejszy hetman w. litewś. Hrehory Chodkiewicz nadto był młody, aby składał dary królowi. Može inny znów Hrehory Chodkiewicz Horodniozy Grodzieński w 1497 roku, a którego Niesiecki kładzie między kasztelanami wilońskimi pod rokiem 1480. W źródłach zapisany jest jeszcze kniaz Hrehory Hromyka poseł do Moskwy 1510 r.

<sup>4)</sup> Zbiór praw Justyniana Cesarza.

<sup>5)</sup> Powyższe kazania mogły być *Mart. Poloni Sermones* cytowane przez Estreichera pod r. 1480, 1484, 1486, 1488 lub *Nicol de Błonie Sermones super Evangelia Dominicalia* (Ed. Kolońś. 1493) albo z lat 1493, 1494, 1495 i 1498 (Ed. Argent).

<sup>6)</sup> *Summa Angelica* św. Tomasza z Akwinu, przezwanego Doctor Angelicus.

<sup>7)</sup> Psalter sledowanaiá Krak. Fiol. 1491.

<sup>8)</sup> Do roku 1510 były różne polskie edycye mszalów i brewiarzów, tém bardziej iż w początkach jeszcze XVI wieku drukowano brewiarze dla każdej dyecezyi osobno. Drukowano je także dla polskich dyecezyi za granicą, tak np. w Wenecyi w latach 1483, 1505, w Moguncyi 1484, 1487, 1492, w Norymberdze 1494, 1498 i t. d.

<sup>9)</sup> Z polskich kalendarzy Estreicher cytuje już pod r. 1474 *Calendarium tabl. s. l. et a.* (Crac. typis Zainerianis); inne z lat dalszych począwszy od 1490 r. Na rok 1508 oraz 1510—1517 układał Jakób z Ilży: *Judicium Cracoviense pronosticon.*

Sentenciarum 3 knihi <sup>1)</sup>.  
 Jezofus z Istoriami <sup>2)</sup>.  
 Sbukulum eksimplorum (speculum explarum).  
 Bartolomious (?), o własnosty reczey.  
 Kronika wseho sweta <sup>3)</sup>.  
 Herbar <sup>4)</sup>.  
 Mołot złostey.  
 Vita patrum.  
 Drewo bliskosty (?).

### *Regestr Czeskich Knih.*

Naperwey kniha Biblia.  
 Kniha Pokiia (?) serebrom okowana.  
 Kniha Swatoho Jana Zlatousa.  
 Kniha Aleksandreia Polskaia serebrom okowana.

### *Reiestr Knih Ruskich.*

Naperwey Trěfitok Pargamenowy.  
 Knihi na Pargameni Serbskoho jazika.  
 Jewangeli 2 na Papery, odno kryto seroiw o Lomaszkoiu a druhoie kryto  
 czerlenoiu odomaszkoiu.  
 Kniha Otia na papery pisana.  
 Kniha Letopisiec..... Kűewski.  
 Kniha Onűtarey (?).  
 Kniha o žytyi Janowa Kalisztyka (?).  
 Knihi po Woynę zbranoje a Praznicz—ich knih 4.  
 Kniha Trefetok a Trywodectweniia..... perwoho czołowięka Połuyca.  
 Kniha Proroka Jeremeia.  
 Kniha Swetoho Iwana Złotowusta a Czechowostoe (?).  
 Kniha Czestia, Psałtyrec.  
 Kniha Czestia a prywode posnaiee.  
 Kniha pouczenie posta a Psałtyra Prenoho (?).  
 Kniha Ukaz służyty a Psałtyra Kniżka czeteia.  
 Kniżka Posledowania psalmow.  
 Kniha Molitwy światoho Kupryana.“

Przedstawiwszy ten spis książek Zygmunta I, który bez wątpienia zwróci uwagę światłych czytelników „Biblioteki“ dodamy tu uwagę, iż była to zapewne część tylko księgozbioru Zygmunta Starego, nie znajdujemy tu bowiem dzieł, które pod tę porę zdobić musiały każdą bibliotekę, a mianowicie klasyków greckich i rzymskich, które w tysiącznych edycjach rozchodziły się podówczas z pod tłoczni gorli-

<sup>1)</sup> Czyż nie będzie to słynne dzieło Piotra Lombarda filozofa scholastycznego (około r. 1150) pod tytułem *Sententiarum libri IV*, które mu zjednalo nazwę *Magister Sententiarum*, a wyrazy *3 knihi* zapisane były przez pomylkę zamiast *4 knihi*. Znana nam jest tylko edycya z 1516 roku (folio Basileae) czy przed tém dzieła Piotra Lombarda drukowane już były, nie wiemy.

<sup>2)</sup> Jezofus-Jezopus-Ezopus?

<sup>3)</sup> Było to zapewne jakieś dzieło obce.

<sup>4)</sup> Może drugi odpis Długosza.

wie pracujących od pół wieku. Dzieła te mające nadać nowy kierunek naukowy czternastemu stuleciu, nie mogły być obce tak światłemu królowi i opiekunowi nauk, jakim był Zygmunt I. Nie znajdując zaś ich w obecnym spisie, sądzę iż zabrane tu książki były częścią liczniejszego zbioru. Nie wiemy także gdzie spis ten był sporządzony, przypuszczać jednak można iż w Wilnie, z tego względu, iż w języku ruskim.

Wreszcie co się tyczy podanych tu tytułów książek, powtarzamy, iż bez wątpienia wiele z nich mylnie jest zapisanych, a spisujący nie był bynajmniej znawcą w tych rzeczach. Niektóre z nich staraliśmy się wyjaśnić, nie mając jednak pod ręką odpowiednich dzieł bibliograficznych, upraszamy światłych czytelników „Biblioteki,“ którzyby chcieli tém się zająć, o bliższe objaśnienie, zwracając szczególną uwagę na książki ruskie, które tak licznie są tu przedstawione.

*Kazimierz Pułaski.*

## KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kurs profesora Chodźki, o historycznych tradycyach Bułgarów.—Wspomnienia Wiktora Pavie: Pobyt u Goethego z Davidem z Angers.—Spotkanie z Mickiewiczem i A. E. Odyńcem w Wejmarze.—Zbiór poezyi Franciszka Coppée, *Zeszyt czerwony*.—Uroczystość akademicka; przyjęcie Meziera, pochwała S-t Marc Girardin; mowa dyrektora akademii Rousset.—Prace erudyty greckiego Konstantego Satkas: Biblioteka kronik średniowiecznych.—Poemat Jana Coronajosa, o sławnym Kondottierze Mercurios Bonas.—Przedmowa Aleksandra Dumasa do *Manon Lescant*.—Sardou i Offenbach.—Upadek dramatu *Haine*.—*Kapitulacya*, farsa Wagnera.—*Les odeurs de Berlin* przez Leouon le Duo.—*Podróż do umarłych miast Zuydersee* p. Havard.—*Sylwetki miast*, Ludwika Dépres. Przegląd: *Rumunia współczesna*.—Prace etnograficzne Rumunów.—Pytania na kongres jeograficzny paryzki.—Katedry języka i literatury prowansalskiej.—Kollegium Stanisława.—Zbiory historyczne po Leonardzie Chodźko.—

Professor Aleksander Chodźko, tak w tym roku, jak i w poprzednim, wykłada z katedry kollegium francuzkiego, ponniki literatury bułgarskiej. Przedmiot to niewyczerpany. Zbiory Werkowicza,

o których wspominaliśmy przed rokiem, rosną w zadziwiający sposób. Niedawno zdumiewaliśmy się nad liczbą 80,000 wierszy spisanych z ust pasterzy Rodopu; dziś liczba ta wzrosła do 130,000 i ani wątpić, że powiększy się zczasem.

Pierwszy tom zbioru Werkowicza opuścił prasę p. t. *Weda słowiańska*, wraz z przekładem francuzkim Szafarzyka, dokonany bardzo niedbale. Tom ten obejmuje dwa wielkie cykle: jeden króla Sady, odnoszący się do czasu osiedlenia Słowian nad Dunajem, drugi cykl Orfeusza. Żaden lud, zdaniem profesora, nie przechował w poetycznych zbiorach swoich, tylu historycznych imion, jak lud bulgarski. Z pomiędzy tych pieśni, trzy na szczególną zasługują uwagę: jedna z nich opiewa wyprawę krwawego cara Kruma; dwie następne poświęcone dwom pierwszym władcom Bułgarii, nawróconym na chrześcijaństwo: carowi Borilowi i synowi jego Symeonowi. Każda z nich obejmuje przeszło po dwa tysiące wierszy.

Wykład tych poematów poprzedza professor krótkim zarysem historycznym, owęj mało znanęj epoki, aby tém lepiej porównać wypadki czysto-dziejowe z tradycją przechowaną w ustach ludu.

W przeglądzie francuzkim *l'Artiste*, znajdujemy ciekawe wspomnienie pana Wiktora Pavie z czasów jego młodości. Opisuje on chwile spędzone przed laty czterdziestu w Wejmarze, wraz ze sławnym rzeźbiarzem Davidem z Angers, podczas gdy ten wykonywał z natury popiersie Goethego. Ktokolwiek czytał listy czcigodnego Odyńca, pamięta młodego Francuza, towarzysza wielkiego artysty, w jego podróży do Niemiec.

I ów młody niegdys, a dziś posiwiaty Francuz, nie przepomniał także dwóch polskich poetów, i serdeczne poświęca im wspomnienie.

Nie mamy pod ręką Kroniki Rodzinnęj z 1870 roku, nie jesteśmy zatem pewni, o ile szczegóły z listów szanownego Odyńca, zgadzają się ze wspomnieniami pana Pavie. Przypuszczamy nawet, że te ostatnie, kreślone nieprędko po spotkaniu, mogły się nieco zatrzeć, pod wpływem pięćdziesięcioletnich blisko wrażeń i przygód; to jednak nie ulega wątpiwości, że pamięć serca dopisała zacnemu Francuzowi; każde słowo jego tchnie prawdziwem uczuciem.

Autor opisuje szczegółowo słynny dom Goethego, pełen arcydzieł sztuki włoskieję, zamieniony dzisiaj w muzeum; wypowiada wielkie wrażenie, jakie sprawił na nim genialny poeta niemiecki, w szarym surducie, z czerwoną wstążeczką u guzika, w białęj chustce na szyi. Owcześnie młodzież silnie przyjmowała wrażenia: *nil admirari*, nie stało się jeszcze jęj godłem. Pavie wspomina, jak w kilka miesięcy późnięj, powieściopisarz angielski Thekeray, o mało nie zemdlał, ude-

rzony widokiem Goethego.— I w oczach Francuza, Goethe lubo średniego wzrostu, fizycznie nawet wydawał się olbrzymem.

Po pierwszym powitaniu, David ofiarował pocie kilka medalionów swego dłuta, z wizerunkami Cousina, Wiktora Hugo, malarza Delacroix i Merimego. Ztąd wszczęła się rozmowa o ruchu literackim we Francyi. Wiktor Hugo przedstawiał krucyatę romantyczną, toczącą się zawzięcie w owych czasach. Goethe poglądał na te zapasy okiem bezstronnego krytyka. Uderzała go w Wiktora Hugo nadzwyczajna zuchwałość myśli, przybrana w śmiałą formę. Merimée lubo początkujący dopiero autor *Klary Gazul*, szczególnież przypadał do myśli Goethe-mu; rzuty jego ostrego pióra, zimne, sarkastyczne, obmyślane, odpowiadały zupełnie artystycznym jego pojęciom. Delacroix zato nie budził w nim zapału: ilustrowany przez niego Faust nie zadowolnił poety. Geniusz tego malarza pełen siły dramatycznej, uczucia i zapału, wcale nie umiał oddać, jak mówił Goethe szyderstwa i sceptycyzmu, które przemagają w Fauscie.

Drżącą od wzruszenia ręką, p. Pavié złożył także skromną dаниnę na ołtarzu Jowisza Wejmarskiego. Były to wiersze trzech młodych romantyków. Goethe pochwalił grzecznie dwa utwory, trzeci zbył pogardliwem milczeniem; niestety była to jego oda, pełna jak mówi apokaliptycznych uniesień i przesady.

Okoliczność ta odebrała mu wszelką swobodę w obec Goethego, i stała się powodem przykrój nostalgii, jakiej doświadczał w Wejmarze. „Język płał się w ustach moich, kiedy z nim rozmawiałem—wyznaje on z całą prostotą—gdy spojrział na mnie, nie byłem w stanie dokończyć zaczętego frazesu. Uśmiech Mefistofelesa, grający wciąż na jego ustach, był mi nadzwyczaj wstrętny!”

Młody Francuz dusił się w tej ciężkiej atmosferze. Rozerwał go wreszcie *kiermasz* wejmarski w końcu sierpnia. Opowiada jak David ściagał pilnie wzrokiem wieśniaków przybyłych z okolicy; jak wśród pospolitych i nieestetycznych typów niemieckich, spostrzegł smagłą cyganke, z ognistą źrenicą i pięknymi rysami; jak na widok jęj zawołał *Eureka!* Widok ten rozbudził twórczą iskrę w wyobraźni artysty. Znalazł prototyp do najcenniejszego utworu swego dłuta, do posągu Ś-tėj Cecylii, który zdobi katedrę w Angers.

Tego dnia czy nazajutrz, Pavié i David jedli obiad w hotelu pod Słoniem. Uczta zbliżała się do końca. Dym tytoniu wybiegający z długich cybuchów napełniał wielką salę. Przez owe kłęby dymu w tym tłumie obojętnych Niemców, Francuzi spostrzegli dwie dziwne sympatyczne im postacie: w mgnieniu oka nastąpiła znajomość. Zobaczmy jak Pavié opisuje tę chwilę.

„Naprzeciwko nas siedziało w milczeniu dwóch cudzoziemców. Z rysów i akcentu poznaliśmy wkrótce ich narodowość. Po pierwszych pokłonach i oznakach współczucia, rozmowa od polityki prze-

szała na literaturę. Tu dwie jeszcze zorze świeciły, na dwóch przeciwnych krańcach widnokregu. Obcy podróżni z zajęciem wypytywali o krucyatę poetyczną, silnie wtedy rozbudzoną u nas; mówili ze znajomością rzeczy o dziełach i autorach. Imiona koryfuszów naszych, śnać przebiegły za Wisłę. W odpowiedź na ich serdeczne słowa, wśród obłoków tytuniu, jałem wystawiać imię, które od niedawnego czasu odbrzmiewać zaczęło we Francyi, imię Adama Mickiewicza. Mam—rzekłem—w moim pokoju zawieszony na ścianie portret litewskiego poety, choć dotąd nie czytałem nic z jego tak sławionych utworów.”

— Portret nie musi być podobny—rzekł na to młodszy podróżnik ze znaczącym uśmiechem. Starszy tymczasem zarumienił się i zmieszał. Począłem przypatrywać się lepijé... Uderzyły mnie rysy i wyraz oblicza... Był to Adam Mickiewicz!... Nastąpiły wybuchy radości i uściski.

David równie był uszczęśliwiony.

— Dobrze żem cię złapał mój poeto—zawołał—nie ujdiesz mił.. muszę odtworzyć rysy twoje. I powstał co żywo od stołu, pobiegł do Mickiewicza, pociągnął go przez schody. My oba poszliśmy za nimi.

— Witajże pod namiotem moim—rzekł David—otwierając drzwi pokoju swego. Zaśpiewaj nam jedną z twych pieśni. Niech pierwsze echo Francyi z miejsc tych odpowie pieśni twojéj!

I ulegając gorącym naleganiom, Mickiewicz zasiadł w środku pokoju, pod sztucznie nagromadzoném światłem. Na marmurowej tabliczce leżała mała kulka woskowa. David jął rozplaszczać ją, rozciągać coraz szerzej; w kilka minut zaczęła przybierać kształty ludzkiej twarzy.

— „Niechże—zawoła mistrz—ten marmur wydobyty z naszych gór andegaweskich, przyniesie nam dziś szczęście. Młodzi... dalej za pióra... dobrze tak.. nie ruszaj się... mów... słucham!”...

„Wówczas to w sposób pełen niezrównanego wdzięku, ten który nigdy w życiu nie dotknął stopą ziemi francuzkiej, powtórzył w mowie naszej pierwsze zwrotki Farysa:

— *Sublime!*—zawołał David—korzystając z chwili kiedy sekretarze wołali *halte!*

— Mam cię—rzekł sam do siebie—choćbyś umarł i przepadł na ziemi, żyć będziesz poza grobem!

„Poeta ciągnął dalej. Strofy jego gorące jak płomień, czyste jak śnieg, dziewicze jak pustynia ludzką nie tkniętą stopą!

„I w téjże chwili, pod mimowolnym ruchem ręki mistrza, medalion dotąd nie widzialny obrócił się ku naszej stronie. To on! to jego skroń młoda jeszcze, a już zorana burzą. To dumne jego usta, jego błękitne oko, które zrazu wydawało się czarném; to ten wyraz zadumy, łączący w sobie natchnienie poetyczne z wiarą chrześcijanina.

„Szczęśliwy traf zbliżył do siebie dwa genjusze nieznanne sobie dotąd. W mgnieniu oka zbiegły się w jeden płomień!

„Wieczór zeszedł na swobodnej rozmowie. Bard milczący z natury odchyłał chwilowo zasłonę z życia swego. O wielkim rozgłosie dzieł własnych, o wpływie ich na naród, wpływie największym jaki objawił się gdziekolwiek w naszych czasach, nie wyrzekł ani słowa. Często bardzo jego niewyczerpany towarzysz dopełniał opuszczenia.

„Nazajutrz David ledwie ze snu zbudzony, spojrzął na promieniste rysy Mickiewicza, ulepione z czerwonego wosku. „Powrócę, rzece, do Paryża, śmiało z głową podniesioną. Nie próżno tu przybyłem!”

„Prosiłem—dodaje Pavié—aby za moją inicjatywę u stołu, Dawid darował mi ten woskowy oryginał, skoro go już odleje.

— „Najchętniej — odrzeczł mistrz — daruję ci go równie jak i wszystkie inne które wydobędziesz ze szpon mego kucharza. Ma zwyczaj pokrywać niemi dzbanek z kipiącą kawą: wosk rozplywa się w krople. Dziwny człowiek!”

P. Pavié wspomina ogólnikiem o spotkaniu z poetami polskimi w domu Goethego, lecz nie kreśli szczegółowo tego spotkania. Opowiada za to wspólną wycieczkę do Jeny. W kilku rzutach pióra, maluje sławne pobojuwisko.

„Uczucia wstrząsające nami — dodaje — malowały się nie tylko w słowach, ale bardziej w grze fizyognomii. Młode serca kipiły szczerym zapałem. David marzył o tych umarłych bez imienia, bez promyka chwały, bez grobowego nawet głązul Mickiewicz smętnie rozbięrał problemat téj krwi bratniej, stoczonej tak bezpłodnie a tak wspaśniałomyślnie. W téjże chwili szczególne dźwięki długie, drgające, przeciągłe, ozwały się opodal. Spójrzeliśmy wszyscy ku miastu. Niktło za siną mgłą oddalenia; dzwonnica tylko połyskała w promieniu słonecznym. Snadno zgadnąć, że tu było ognisko harmonii. W tych pełnych dźwiękach czuliśmy jakoby ciepłe tchnienie dusz, co ozywiały niegdyś owe ciała rozsiane po szerokiém pobojuwisku. Ton ich poważny, spokojny, nie kokysał bynajmniej do snu, ani téż jak trąba bojowa, nie wyzywał do nowych zapasów. Był to raczej jakoby hymn finalny, wszystkich dysonansów ziemskiego życia.”

W takiémto religijném usposobieniu, pożegnali się czterej towarzysze, którzy nie mieli już nigdy zejść się razem na ziemi. David z Angers i Pavié, utrzymywali z Mickiewiczem stosunki związane w Wejmarze. Czwarty towarzysz tylko znikł im z oczu, lubo żył w sercu ich i pamięci. W lat dwa potém Pavié spotkał w Paryżu wielkiego poetę naszego. Posłuchajmy co mówi o nim:

„Widywaliśmy często przy studenckim naszym ognisku, twórcę Konrada Walenroda. Słodki był i prosty jak dziecko; niekiedy zamysłony i ponury, czoło jego zginało się pod ciężarem. Cierpiał boleścią drugich, pragnąc ostodzić ich dolę; byłby oddał nie tylko życie ale nawet sławę swoją, gdyby ta sława miała dlań jakiś urok. Widziałem go

w salonie Wiktora Hugo, wszedł niepostrzeżony; w tłumie gości zniknął mi z oczu. Był to dla mnie prawdziwy typ abnegacyi. Wolny od wszelkiej próżności osobistej, kochał, czcił i podnosił drugich. Uczucie jego wprost wypływało z duszy. Prorok pomiędzy swemi, znalazł on i u nas szczerze uznanie. Słynne pióro <sup>1)</sup> zcharakteryzowało jego geniusz i nazaczyło mu właściwe stanowisko. Medalion wejmarski pod dłutem Davida z Angers, przybrał znaczne rozmiary popiersia marmurowego. Pod dachem tego szlachetnego przyjaciela, o kilka mil od Paryża w domu wiejskim, znalazł Mickiewicz słodką chwilę ulgi w ciężkich troskach, z powodu choroby żony zakończonej zbyt rychłą śmiercią. Poślubił on nieszczęście i boleść. Złamany tyłoma próbami, wpadł w niepojętą obłąd. Zstąpił z téj katedry, z której pełnym blasku wykładem umiał tryumfalnie pokonać trudności naszej mowy. Jakiś nowy Kagliostro pchnął w odmgł mistycyzmu religijną myśl wieszczą.

„Dnia jednego z albumem w ręku, wszedłem w jego progi, z prośbą o nakreślenie kilku wyrazów. *Zongler* był tam: szeptał nad tą szlachetną głową, jakieś słowa zakłęcia. Odszedłem smutny z otrzymanym autografem. Nie miałem nigdy odwagi sprawdzić co znaczyły wyrazy nakreślone w mej księdze, pomiędzy sonetem Ste. Beuva a szkicem Wiktora Hugo. Ale złote serce Mickiewicza, nie mogło wyżyć w oderwaniu od tradycyi zaczerpniętych dzieckiem w kołysce. Bóg powołał oczy jego do światła; odzyskał on wiarę naddziadów, ta wskazała mu drogę do niebieskiej ojczyzny!”

Na tém p. Pavié kończy wspomnienie o Mickiewiczu. Będzie obowiązkiem naszym, poznać zacnego autora, i odczytać w album jego słowa nakreślone ręką naszego wieszca, słowa których on nie miał odwagi odczytać do téj chwili!

Ulubiony poeta francuzki Franciszek Coppeé, wydał tomik ulotnych poezyi p. t. *Czerwony Zeszyt* (Le Cahier Rouge). Przeważają w nim obrazki z życia. Rodzaj to nowy; podnosić rzeczywistość do ideału stało się dziś zadaniem młodej szkoły, tak malarzy jak i poetów. Ten popęd wyszedł z Anglii; Francuzi poszli za nim. Droga to cokolwiek niebezpieczna, chwytając życie na gorącym uczynku, łatwo wpaść w realizm niegodny prawdziwej poezyi. Krytycy sarkają na taki zwrot: „Dość tego już!—wołają—czas wrócić do starożytnych wzorów; tam tylko piękno! tam ideał!”

Co do nas nie mamy serca gniewać się na poetę za tego rodzaju obrazki. Brak-że to ideału w życiu rodzinném? Ta chwila wytchnienia w niedziale na przednieściu, mówi nam o całotygodniowej pracy robotnika przy warsztacie, o trudach poczciwej matki przy ognisku domowym, o pieśni nad kołyską niemowląt.

<sup>1)</sup> Georges Sand i Michelet pisali o Mickiewiczu, nie wiemy kogo ma na myśli p. Pavié.



Akademia francuzka po długim wypoczynku porusza się żywo w tych czasach. Zapowiedziano na ten miesiąc wybór dwóch nowych członków, w zastępstwie Guizota i Juliusza Janin. Z trzech akademików wybranych w roku zeszłym, panów Mezieres, Dumas i Caro, pierwszy dopiero uroczyste przyjęty został. Byliśmy obecni na tej uroczystości w pałacu Mazariniego i z prawdziwem zadowoleniem posłyszeliśmy dwie piękne mowy. Pierwszą wyreczył nowy akademik na cześć poprzednika swego St. Marc Girardin; w drugiej dyrektor akademii Rousset wyliczył prace Meziera, najmłodszego dziś z grona akademików, lecz pełnego już zasług professora literatury zagranicznej w Sorbonie.

Mowa Meziera o zmarłym akademiku obmyślana zdrowo, wypowiedziana pięknie, już przez to samo musiała być zajmującą, że dotknęła chwili najważniejszej w literaturze XIX wieku. Saint Marc Girardin wystąpił na widownię w czasach najzaciętszych sporów na polu umysłowem. Z jednej strony zgrzybiały klasycyzm szmotał się jeszcze wspierany powagą akademii; z drugiej młodzieńczy romantyzm, istny tygrys wypuszczony z klatki, rzucał się szalenie na formy uświęcone tradycją wiekową: wszystko burzył, szarpał i niweczył, to nawet co uszanować należało. Młody podówczas Girardin, nie mógł być obojętnym widzem w tych gorących zapasach. Czuł on potrzebę odrodzenia, ale protestował przeciw gwałtom i bezrządowi, towarzyszącym wszelkiemu przewrotowi. Podczas kiedy romantycy wypisali na proporcje swoim paradoksalne godło: *brzydota piękniem* (le laid est le beau), on na chorągwi swojej wypisał złotemi zgłoskami: *piękno, dobro i prawda*. Pod tym godłem walczył przez lat czterdzieści.

Dopóki nowatorowie burzyli tylko w dramacie jednoś miejsca i czasu, Girardin przyklaskiwał im szczerze. Było mu rzeczą obojętną, czy dramat obejmuje dwadzieścia cztery godzin, czy dwadzieścia cztery lat życia człowieka; czy się odbywa w jednym i témże samém miejscu, czy też na stoniolowej przestrzeni; pozwalał on wbrew klasycznemu zasadom, przeplatać najpoważniejsze dialogi wesołym i dowcipnym żartem: słowem, pozwalał burzyć spleśniałe pęta, lecz nie pozwalał burzyć podstaw moralnych. Chłostał surowo wszelaką przesadę, wszelką potworność. Obraz namiętności rozpasanych do szału, budził w nim wstręt prawdziwy. Napróżno mówiono mu, że są istoty odrębne od tłumu śmiertelników, niezdolne nagiąć karku pod jarzmo zwykłych powinności; uśmiechał się na to: „Malujecie potwory—mówił - gdyż nie umiecie czytać w sercu człowieka. Dla szaleńców właściwem miejscem szpital, nie deski teatralne!“

Niecierpiał Girardin Bajronizmu, który za czasów jego młodości grasował tak samo we Francji, jak w całej Europie. Oceniając formę poetyczną Bajrona, oburzał się na jego naśladowców, szydził z nich bez litości. „Do widzenia za lat dziesięć!“—mawiał do błądych, przeklinających świat Child-Haroldów—, wyleczcie się z waszej choroby życiem

porządnym, pracą poważną i pożyteczną: dziś nie mam współczucia dla urojonych cierpień waszych.“

Nieprzyjacieli paradoksu patrzyli z oburzeniem na nowatorów, którzy szukając dróg nowych i nieutartych, gwałcili prawa moralności i burzyli sumienia. Kiedy publiczność przyklaskiwała z szaleństwem pierwszym dramatom Wiktora Hugo i Dumasa, Girardin wskazywał niebezpieczeństwo nowego zwrotu. Czuł on, że nie godzi się obsypywać kwiatami krasomówstwa, wielkich zbrodniarzy targających węzły społeczne; że nie godzi się, z poniżeniem cichej cnoty prostaczek, podnosić do ideału owych rozbitków społecznych, dla których namiętność jedynym prawem, fantazyą jedyną bussolą, samolubstwo jedynym celem. Czuł on że jedyna cnota Lukrecyi Borgia, macierzyńska jej miłość, nie okupi steku potworności i zbrodni. Gorzko też ubolewał nad skażeniem smaku powszechnego. „Dziś — wołał on ze zgrozą — występki uszlachetnione w bohaterach Bajrona, podnosi tryumfalnie głowę, porusza serca, budzi gorący poklask! Przypadły wam do smaku zwaliska tak w architekturze, jak w porządku moralnym. Przekładacie to, co upadło w połowie, nad to, co umiało wytrwać bez szkazy! Należy nam zapewne uszanować te okrzyszyny dobra, pozostałe w duszy skażonej, jako świadectwo godności człowieka; ale podziwiając ruinę, pamiętajmy że nad nią piękniejszy był stokroć gmach, póki czoło podnosił pod obłokiem!“

Nikt lepiej od Girardina nie skrytykował tego smutego prądu, który przed czterdziestu kilku laty pchnął literaturę francuską na bezdroża. Niebezpieczeństwo tego prądu odczuł niegdyś znakomity nasz krytyk Michał Grabowski, nazywając trafnie te czasy: *okresem literatury szalonej*.

Szał z literatury przeszedł w życie, koniecznym rzeczą następstwem. Przypomniał to Mezieres. „Społeczeństwo — rzekł on — które przyklaskuje takim bezrządom rozpasanej wyobraźni u pisarzy swoich, prędzej czy później zasłużoną odniesie karę. Ujrzy niebawem jak wyjdą z jego łona, z mieczem i głownią w rękę, praktyczni naśladowcy tych bohaterów, których zuchwałym teoryom przyklaskiwano niegdyś w powieści i dramacie!“

Głęboko w przeszłość zapuszcza Girardin wzrok badawczy. W ponętnych utopiach J. I. Rousseau, widzi on jeden z ważnych powodów chorobliwego stanu, z którego społeczeństwo nie może się dotąd wyleczyć. Naśladowcy mistrza — mówi on — równi mu pychą, ale nie równi geniuszem, dają nam rozwiązanie na wszelkie problemata, lekarstwo na wszelkie niemoce; poddają pod rozbiór wszystko co zbudowały wieki, co doświadczenie potwierdziło: słowem zwątpili o wszystkiém wyjąwszy o sobie samych. Utopie J. I. Rousseau zrodziły zarazę zgubniejszą dla Francji, niż stare jej przesady, tę chorobę *wygórowanego ja* (la maladie du moi), główne źródło klęsk i przewrotów! Ci wszyscy, którzy przyznają sobie więcej praw niż powinności, którzy wymagają uczuć nadzwyczajnych, którzy uważają siebie za istoty wybrane, wyjątkowe,

ci wszyscy pochodzą od autora „Nowej Heloizy.” Zaludnił on świat słońcem istot niezrozumianych, skłóconych ze społeczeństwem.

Saint Marc Girardin rozbiera krytycznie mrzonki słynnego sofisty, który widząc w cywilizacji główną przyczynę złego, radby wrócić człowieka do stanu pierwotnej dzikości. Wykazuje niemniej całą niepraktyczność pedagogicznych zasad, podjętych w *Emilu*. Z drugiej strony, jako sprawiedliwy sędzia, podnosi zalety najspirytualniejszego z filozofów XVIII wieku, pokazuje w nim dzielnego zapaśnika przeciwko materializmowi, pochłaniającemu wszystko w tej epoce.

Obszerne studium o J. I. Rousseau, przedmiot całorocznego kursu z katedry Sorbońskiej, przygotowane do druku po śmierci autora, ukazuje się wkrótce w dwóch tomach. Piękny ten pomnik przypomni Francji i światu imię i zasługi zmarłego.

Przypomniał mówca z kolei czterdziestoletnie prace dziennikarskie Girardina, ten szereg artykułów, rzucanych z dnia na dzień w kolumnach Debatów, na pastwę łaknącej publiczności. Girardin sprawiał wrażenie, ale go nie szukał; bądź co bądź, nie szarpał on nerwów czytelnikom, nie rzucał im w oczy bałaśliwych a pustych fajerwerków, lecz się poruszał serca do głębi. Pamiętają dotąd Heleni pełne zapału słowo, jakim młody publicysta przedstawiał światu ich bohaterskie wysiłki i podnosił ich prawa. Uczcili go też indygenatem i z miłością powtarzają do dziś dnia jego imię. Pamiętają w nim Rumuni gorącego rzecznika swego; objawili też wdzięczność manifestacją na cmentarzu, przy trumnie zmarłego przyjaciela.

Na rok przed skonem czekała go najboleśniejsza próba, jaka dotknąć mogła tak prawe serce. Głosem ludu powołany do Izby, z żoną jej wybranym został na członka komisji, której zadaniem było podpisać upokarzające warunki pokoju. Pod naciskiem wypadków, drżącą ręką podpisał przyzwolenie na stratę Alzacji! Odtąd porzucił pióro, porzucił je na zawsze. Umarł w rok potem. Żona nieutulona w żalu, umarła w kilka miesięcy po mężu.

Dyrektor akademii p. Rousset, piękną mową określił zasługi Mezieres'a. Rozbierając professorskie i krytyczne jego prace, udowodnił, że jeśli akademія powołała go do grona swego, to nie dlatego jedynie, jak głosiły dzienniki, że kolębką nowego akademika było miasto Metz, oderwane dziś od serca Francji. Mezieres położył nie małe zasługi, jako professor literatury zagranicznej w Sorbonie, od lat blisko 10-ciu. Kursa jego o Szekspirze, Petrarce i Goethem, tworzą trzy obszerne dzieła, pełne wartości. Wszystkie uwieńczone zostały przez akademię. Dwa z nich o Petrarce i Goethem rozbialiśmy szczegółowo w swoim czasie.

W ocenie krytycznej literatury niemieckiej, znalazł Mezieres współzawodników, w dwóch równie znakomitych professorach: Beaussert i Heinrichu; w krytycznym poglądzie na Szekspira, znalazł ich w Guizocie i Franciszku Hugo. Studium za to nad Petrarce uważane za koronę jego prac literackich, niema równego, ani we Francji, ani nawet

we Włoszech. Mezieres pokazał poetę w nowém zupełnie świetle, nie tylko jako śpiewaka Laury, ale co ważniejsza jako promotora nowéj epoki w literaturze europejskiej, jako twórcę klasycznego odrodzenia. Akademia florencka *della Crusca*, przysłała w nagrodę autorowi dyplom na członka swego; Padwa powołała go w roku zeszłym do przydziału na jubileuszowym obchodzie Petrarcki. Nie przyjął Mezieres tego zaszczytu: wezwany zarówno przez miasto Avignon, przewodniczył tam francuzkiej uroczystości.

Przed laty trzema podczas wojny, Mezieres przebywając chwilowo w rodzinnej Lotaryngii, nakreślił smutny obraz klęsk p. t. *Opowieści z czasów najazdu* (Recits de l'invasion). Pan Rousset zakończył mowę powtarzając pełne zapału słowa Lotaryńczyka, skreślone drżącą ręką, przy huku bomb, uderzających w jego ojczyste guiazdo. „Zaprzeszamy dziś—mówi on—kołysać się czczemi złudzeniami, bawić w szumno-brzmiaące wyrazy, jak to czyniliśmy zbyt długo, chwalać się wzajem, po nad zasługę naszą! Twarda nauka jaką odebraliśmy, niech nam posłuży do tém lepszego ocenienia rzeczy; niech nas wytrzeźwi z pychy narodowej, ustrzeże od zarozumienia, od łatwowierności w to wszystko co nam pochlebia, co głaszczé naszą miłość własną: jedném słowem niech nam da lepiej poznać siebie i drugih... Kto więc, może wyjdziemy z téj próby mocniej zahartowani, może téż, dzięki tym bolesnym wstrząśnieniom, odzyskamy naszą plemienną siłę i zdolność do spełnienia wielkich czynów.“

Słowa te charakteryzują wybornie nowego akademika. Są one wiernym wyrazem młodziej generacji francuzkiej, która na systematycznej pracy, na duchowém odrodzeniu jednostek, buduje przyszłość narodową.

Wspomnieliśmy już nieraz o ruchu literackim, rozbudzającym się coraz to żywiej pomiędzy Helenami. Chcą oni widocznie powetować czas stracony i sprostać innym ludom europejskim na drodze umysłowego rozwoju. Prassa peryodyczna kwitnie téż w nich w zadziwiający sposób. Przeglądy literackie drukują się co miesiąc, nie tylko w Atenach, ale niemniej w Konstantynopolu, Smyrnie, Salonice i innych podrzędniejszych nawet miastach. Liczne towarzystwa związane w celu krzewienia oświaty, zwłaszcza między Grekami pod panowaniem Turków, wydały już bujne owoce. Czytanie stało się ogólną potrzebą. Wprawdzie smak literacki nie wyrobiony jeszcze, nie wykształca go téż i prassa. Dostarcza ona bardzo wiele pokarmu, lecz jak utrzymują kompetentni sędziowie, idzie jój bardziej o zabawę niż o prawdziwy pożytek, spragnionój wiedzy publiczności. Heleni zrywając pełną ręką kwiaty literatury zagranicznej, mało zajmują się plonem wyrosłym niegdys tak bujno na ich gruncie. Zuają oni bohatérską przeszłość kraju swojego, lecz brak im cierpliwości do poważnych prac statystycznych,

archeologicznych i słownikarskich. Liczne pieśni i podania ludowe, zebrane były w Grecyi przez obcych podróżników. Stare prawa byzantyjskie i rytuały greckiego kościoła, lepiej znane uczonym na Zachodzie, aniżeli samymi Helenom.

Wśród tej obojętności powszechniej, znalazł się przecież uczony historyk, ożywiony myślą prawdziwie patryotyczną: jest nim Konstanty Sathas. Pod tytułem: *Bibliotheca Graeca Medii aevi*, wydaje on nieznanne dotąd dokumenta historyczne, dotyczące państwa byzantyjskiego i wogólności plemienia Hellenów. Bogate do tego materiały znalazł w bibliotekach paryzkich, jak niemniej w Londynie, Wiedniu, Wenecyi, Florencyi i Rzymie. Patryoci greccy za przykładem Jerzego Maurocordato, przyszli mu chętnie w pomoc, dostarczając zasobów pieniężnych na wielkie przedsięwzięcie. Wyszły właśnie z druku w Wenecyi cztery pierwsze tomy, rozpoczynające tę ważną publikację.

Pierwszy tom zawiera historyczne dokumenta z XIII-go wieku, z czasów Aleksego Komnena i Lascarysa, jak również opis poselstwa Symeona Metochity do króla serbskiego w 1298 roku. Dołączony tu także katalog biblioteki na górze Athos, i inną przy kościele Grobu Świętego w Konstantynopolu.

Tom drugi obejmuje ciekawe kroniki z czasów panowania Francuzów w Cyprze, pod dynastją Luzygnana 1192—1489 r. i z czasu rządów weneckich. Mnóstwo istnieje francuzkich kronik z tej epoki. Dwie świeżo wydane w zbiorze Sathasa, tém większą mają wagę, że wyszły z pod pióra pokonanych Greków.

Trzeci tom mieści w sobie dokumenta do historii patryarchatu konstantynopolitańskiego, od chwili podboju Ottomanów. W czwartym tomie zawarta historia cesarstwa byzantyjskiego, od r. 976 do 1077, napisana przez Michała Psellusa. Kronikarz ten, prawdziwy typ Byzantynczyka, wplątany w intrygi najprzewrotniejszego w świecie dworu, wier-nem jest odbiciem tak wieku jak i narodu swego.

W następujących tomach przygotowanych już do druku, Sathas pomieści dokumenta do historii Aten w średnich wiekach, jak niemniej dzieła podróżników greckich.

Nim słynny helenista zabrał się do tej sławnej publikacji, dał się już poznać nie jedną znakomitą pracą na polu historii i literatury. Naważniejszą z nich *Historya Grecyi pod panowaniem tureckim*; tu autor przypomina wielokrotne zabiegi Helenów w celu odzyskania dawniej niepodległości; zabiegi powtarzane bezustanku od r. 1451 do 1821. Napisał także Sathas ciekawą historją Żyda Nazi, który w XVI wieku został królem cypryjskim *in partibus*, utrzymywał dwór w Peru, i zamienił wreszcie tytuł królewski na skromniejszy tytuł księcia Cykladów. Oprócz tego odradzająca się literatura grecka, zawdzięcza niezmordowanemu erudycie, biograficzny zarys wszystkich Greków, którzy pisali od r. 1453. Wielki ten panteon liczy do 1200 mniej więcej głośnych imion,

Przeglądając od lat kilkunastu ogromne księgozbiory, uczony ten wydobył z niepamięci, dwa stare pomniki poetyczne i ogłosił je z komentarzami. Pierwszy z nich poemat Atanazego Skliroza opiewa wojnę Kreteńczyków: drugi Jana Kornajos opisuje wyprawę sławnego kondotiera XVI wieku, nazwiskiem *Mercurios Bonas*. Ostatni pomnik na szczególną zasługuje uwagę.

Bohatér poematu *Mercurios*, to zuchwały awanturник albański. Zaprawiony do boju w walkach domowych, gdy tych zabrakło, szuka przygód, złota i sławy, w służbie książąt i rzeczypospolitych Zachodu. Szermierz ten, jak go przedstawia poeta, pochodzi w prostej linii od owych sławnych kondotierów greckich, przed którymi w starożytności drżeli Egipcyanie i Persy, a później sami nawet Rzymianie. W ciągu całego poematu, bard grecki porównywa go do Ajaxa, Achileśa i Hektora, słowem do wszystkich bohaterów epoki homerycznej. Nie szukać tu historyi, poeta poświęca nieraz prawdę dziejową, by podnieść chwałę albańskiego wodza. *Mercurios* nosi jednak wybitne piętno swęj epoki. Gotów on walczyć coraz to w innej sprawie; dziś podejmuje sztandar, przeciw któremu występował wczoraj z całą zaciętością. Wycwiczony w wojskowym rzemiośle, pełen rycerskiego ducha, niezmordowany w boju, umie zarówno szermierzyć słowem jak i szablą; służy na cudzym żołdzie, służy raczej dla chwały niż dla złota; nie zdradzi nigdy przyjętych obowiązków, dopóki nie złoży chorągwi w ręce tego kto mu ją powierzył.

Idąc w ślad za poetą, widzimy jak śmiały zapaśnik grecki walczy przy Ferdynandzie katolickim przeciwko Maurom, jak po zwycięztwie w zamian za pochlebną oracyę królewską, zowie go królem *dyamentowym*, ze *sloniowej kosi*. Później zaciąga się w służbę Rzeczypospolitej weneckiej, podnosi oręż na króla Francyi Karola VIII i zadaną mu klęską przyprawia go o śmierć ze zgrzyoty. Następnie przerzuca się na żołd Ludwika XII, pierwszego, jak mówi króla na świecie. Pod jego chorągwią, z drużyną Macedończyków, na wiatronogich biegunach, z obosieczną szablą w ręku, wali pokosy ludzkich ciał, niby snopy na łąnie. Nakoniec *odstąpiony* przez Ludwika Maksymilianowi, wiedzcie zastęp bitnych Polikarsów na flamandzkie błonia, bije się pod Marignan przeciwko Franciszkowi I-mu; syty wreszcie chwały i złota, wraca na spoczynek w góry Albanii.

Poeta oprowadzając bohatera swego po całej Europie, kreśli obraz wszystkich królów i książąt współczesnych, maluje wszystkie dwory. Mimo że historia traktowana tu zbyt fantastycznie, ów poemat należy do najciekawszych pomników literatury XVI wieku.

---

Przyjęcie Aleksandra Dumasa do akademii ma się odbyć, jak zapewniają, w ciągu stycznia. Zaczém kronika nasza wyjdzie z druku,

będzie już zapewne po wszystkich. Gdy to piszemy, publiczność paryzka stara się na gwałt o bilety dające wstęp na uroczystość. Od pół roku już dyrekcya akademii zarzucona prośbami, nie wie jak uczynić zadosyć wszystkim żądaniom. Nie pierwszy to i nie ostatni kłopot, jaki ten niesforny syn (enfant terrible) przysposabia dostojnej matce, która go podjęła na łono i przybrała w zielone palmy. Oto i w tej chwili cały Paryż zatrzęsł się pod wrażeniem paradoksalnej przedmowy, którą Dumas pomieścił na czele nowej edycji *Manon Lescaut* Prevosta. Różni różnie tłumaczą tę przedmowę. Uprzedzeni widzą w niej sublimat niemoralności, apoteozę *pół światowych* bohaterów. Inni znów nienią autora wielkim moralistą współczesnym. I komuż tu zawierzyć? Przeczytaliśmy ją całą, lecz wyznajemy szczerze, iż mówić o niej trudno. Są rzeczy których w naszej polskiej mowie, nazwać po imieniu niepodobna! Zbędziemy więc rzecz ogólnikiem.

Ton sarkastyczny autora, wprowadza w błąd, tych szczególnie, którzy mają zwyczaj przerzucać kartki, chwytając z nich tylko liczne zdania. Dumas występuje tu przeciw w obronie porządku moralnego, ale występuje tak gwałtownie, że obraża smak i uszy czytelników oswojonych nawet z wszelkiego rodzaju skandalami. Najskuszniej też dowcipny jeden krytyk nazwał go podstarzałym dyabłem w habicie pustelnika, który nie może dotknąć wody święconej, bez szalonych wyskoków i kontorsyi. Sam autor tłumaczy się z cynizmu swego. „Ci—mówi on—którzy zechcą czytać tak książkę jak i moją przedmowę, wiedzą dobrze co czynią; dla nich nie potrzebuję obwijać nic w bawełnę”

Cała ta przedmowa powtarzamy, jest złośliwym sarkazmem. Dumas szydzi w niej i z wydawców, którzy marnują ogromny nakład na ilustracyą dzieł podobnego rodzaju, szydzi i z amatorów którzy gromadzą kosztowne edycye, nigdy do nich nie zaglądnące; szydzi zaś najbardziej z zepsutego społeczeństwa, które smakuje tylko w takiej literaturze: bohaterki z rodzaju *Manon Lescaut*, zowie żartocznym ptastwem, którego zadaniem oczyszczać ziemię z pasożytnych owadów.

„Nigdy ta wspaniała edycya—mówi z gorzką ironią—nie była tak na dobie jak w tej chwili. Dziś kiedy Francya buduje pomniki wielkim znakomitościom swoim, co kiedykolwiek przyczynili jój blasku, podobny hołd należy się i *Manon*, którą w obec dzisiejszych obyczajów nazwać musimy pierwszą mistrzynią szkoły francuzkiej! (*le chef de l'ecole française*).

Przedmowa Dumasa, to poprostu policzek wymierzony w twarz społeczeństwu. Jedni poznali się na tém, i krzyczą dotknięci do żywego; drudzy zarzucają nie bez słuszności, że kto chce karcie społeczeństwo w taki sposób, powinien mieć rękę bez skazy, powinien mieć powagę Bossueta lub Massiliona!

Dzienniki oznajmiły że nakładca nowego wydania książki o *Nasładowaniu Tomasza à Kempis*, prosił Dumasa o wstępne słowo do swój publikacyi. Głos powszechny zaprotestował przeciwko temu. Krytyk jeden wyrzekł trochę paradoksalnie: „Ten tylko ma prawo pisać wstęp

do dzieła, ktoby był w stanie utworzyć dzieło samo. P. Dumas mógłby niewątpliwie napisać Marion Lescaut, z równym talentem jak to uczynił Prevost, ale pytamy byłżeby w stanie napisać książkę o naśladowaniu Chrystusa?''

Paryż niecierpliwie oczekuje przyjęcia Dumasa do akademii. W przyszłej zapewne kronice, zdamy sprawę z téj uroczystości i z literackiej spowiedzi nowego akademika, równie jak z pochwał sypanych mu w oczy przez delegowanego z grona nieśmiertelnych. Kto będzie tym urzędowym panegirystą, nie wiadomo do téj chwili. Wiemy tylko że dzisiejszy dyrektor p. Bousset uchylił się od tego trudnego zadania. Oznajmił, że oddany wyłącznie historii, nie dosyć obznajmiony jest z dramatycznym ruchem obecnych czasów.

Teatralny widnokrąg francuzki rozpromienił się z początkiem roku; powodem tego inauguracja Wielkiej opery. Wszystkie pisma dość już mówiły o tém, cokolwiekbyśmy powiedzieli nie byłoby nowością. Zresztą opera dotąd dostępna tylko wybranym z powodu wygórowanej ceny miejsc nawet najskromniejszych. Wiadomo że na pierwsze przedstawienie płacono łoże po kilka i kilkanaście tysięcy franków.

Drugim wypadkiem świata dramatycznego, jest *flasco* wielkiego dramatu Wiktora Sardou, owéj *Nienawiści*, na którą tak gorączkowo oczekiwał cały Paryż. W zeszłej kronice rozbieraliśmy szczegółowo ten dramat i wbrew pochwałom sypanym przez dzienniki, nazwaliśmy go *anachronizmem* i *donkiszoteryą*. Ogół publiczności był, jak widać tegoż samego zdania: objawił niechęć w sposób dotkliwy tak dla autora, jak dla przedsięwzięcia, nie uczęszczając na zachwalone widowisko. Obrażony Sardou wycofał sztukę z repertoaru, nie czekając aż do reszty upadnie. *Nienawiść* znikła z afiszu.

Niełatwo jednak Sardou oddał rzecz za wygraną. Piórem maczaném w żółci, napisał on list do Offenbacha dyrektora teatru Gaité. List ten powtórzony przez dzienniki oburzył wszystkich, którzy umieją szanować artyzm, dla których zysk materyalny nie jest jedynym jego celem.

„Ktoby nam był powiedział—pisze Sardou, że sztuka utworzona tak starannie, z taką miłością i siłą przekonania!.. odegrana z takim zapałem!.. przedstawiona z taką okazałością!.. obsypana w pierwszym dniu oklaskami, nazajutrz zachwalona przez prassel!.. Ktoby nam był powiedział, że ta sztuka po dwudziestu pięciu przedstawieniach nie pokryje kosztów wystawy: niktby z nas nie uwierzył!.. a przecież tak się stało!

„Zbyt dumny jestem z dzieła swego, abym pozwolił mu wlec się dłużej w *nieodpowiednim dochodzie*. Proszę cię więc, skończ przed-



stawienia, i uspokój widzów, dla których ta tragedia nie jest dosyć zabawną, upewniając że innéj nie napiszę!"

Na ten list, nacechowany taką pychą i chciwością, Offenbach odpowiada z równym cynizmem: „Publiczność lubi artyzm, ale przede-wszystkiém artyzm wesoły. Za parę dni wrócę do Orfeusza!"

Korrespondencya ta, jak łatwo zgadnąć, poruszyła pióra krytyków. Najpoważniejsi z nich jeli rzucać gorzkie prawdy, tak autorowi, który chciał sztucznym fajerwerkiem otumanić widzów, jak i przedsięwzięci, który skaził smak publiczności szeregiem bezecnych utworów, w rodzaju *Pięknej Heleny*, *Orfeusza* i t. p. Najsilniéj wystąpił Caraquel w Debatach; słowa jego zasługują na powtórzenie, jako charakteryzujące zdrową część społeczeństwa francuzkiego.

„Jeżeli smak publiczności skażony?—pyta krytyk—czyjaż w tém wina? Odpowiedz na to panie kompozytorze, który przez długie lata przesycaliś ją błażenstwami, otaczałeś atmosferą zepsucia, bawiłeś szarlatanizmem? Jeżeli publiczność stała się dziś, jak mówisz, idyotą, niezdolnym ocenić piękna w sztuce, ty sam ją takim uczyniłeś. Dyrektor płaci za kompozytora. Offenbach grzeszył, niechże odbierze chłostę!"

„Byłby to słuszny odwet, dodaje krytyk, ale nieprawdą jest, aby publiczność zatracić miała zdrowy smak i pojęcie piękna. Dała tego świeży dowód, a obojętność jéj, godna raczéj pochwały niż nagany. Jeżeli nudził ją dramat p. Sardou, to nie dowodzi bynajmniej, że niezdolna ocenić prawdziwie pięknych utworów. A dla czegoż w tymże samym teatrze, przyklaskiwała tak gorąco rok temu *Dziewicy Orleańskiej*?"

Wystawa *Nienawiści* kosztowała 200,000 franków. Co tylko zachwycić może oko, otumanić zmysły, zastąpić affektem rzeczywistą wartość, tego wszystkiego nadużyto w tym chybionym utworze. Publiczność dowiodła, że jéj dziś już nie złudzić błyskotkami. Sądzimy że ta surowa przestroga, stanie się skazówką dla nowych autorów dramatycznych.

---

Nienawiść między Francją a Niemcami wzmaga się coraz bardziej: uczeni i artyści niemieccy rodmuchują bezustanku ten płomień, w sposób nieszlachetny, częstokroć nawet grubijański. Niedawno oto sławny kompozytor Ryszard Wagner, mszcząc się zapewne za fiasco swoich *Tanhauzerów*, napisał ohydną farsę pod tytułem: *Kapitulacya, komedya w rodzaju starożytnym*. Wybór przedmiotu oburza już sam przez się. Rzecz odbywa się w obłączonym Paryżu. Występuje najprzód Wiktor Hugo, plecie koszałki opałki. Chciał autor sparodyować szumną frazeologią poety, lecz nie znając właściwości języka francuzkiego, chybił zupełnie celu. Przychodzą inni, prawią niestworzone androny.

Lud szemrze, wydziera się gwałtem za okopy, woła o kanonadę. Jules Favres przemawia do tłumu, Jules Favres szlocha; Jules Simon pisze; Gambetta wylata balonem. Obywatele i obywatelki nalegają na dyrektora opery o muzykę i taniec. Nadbiega wtedy chmara szczurów; przemienia się w grono baletniczek; występuje wreszcie Offenbach: rozpoczynają balet. Po krótkiej przerwie Wiktor Hugo prawi znów dytyramby, młodzi dyplomaci wychodzą z budki suflera, zapełniają scenę, zalecają się najniezgrabniej do chórzystek i baletniczek. Znów kadryl i chóry, wreszcie zasłona spada.

Francuzi słusznie oburzeni. Nie ma nadziei, aby Paryż zobaczył prędko na scenie *Lohegrynów* lub *Nibelungów!*

Z literackiego obozu francuzów, wybiegają też w odwet ogniste bomby. Najdotkliwszą z nich dla Prusaków, jest niewątpliwie książka p. Leonron le Duc p. t. *Les Odeurs de Berlin*.

Pocisk to tém boleśniejszy, że uczony autor, tłumacz Kalewali, redaktor Constitutionella, nie jest wcale prostym pamphleciarzem. Opiera on się wreszcie na statystycznych cyfrach, wymowniejszych nad wszelkie rozprawy.

Któż nie pamięta deklamacyi niemieckich dzienników na zepsucie ludu francuzkiego, na Paryż, tę według nich nową Niniwę, nowy Babilon! Owe deklamacye miały na celu usprawiedliwić gwałty Prusaków, podczas zbrojnego najazdu na Francją. W własnym mniemaniu, byli oni biczem bożym, narzędziem sprawiedliwej kary niebios!

P. Léonron le Duc daje poznać tych bożych mścicieli w ich domu, tak w stolicy jak i po innych miastach. Nie szukać tu krasomówczych uniesień. Autor przetłumaczył poprostu dokument urzędowy, petycją podaną do Reichsratu, przez komitet centralny ewangelicki, w której wyraźnie powiedziano, że „niemoralność plugawi wszystkie szczeble, zapowietrza wszystkie sfery życia społecznego.” Następują potem ohydne obrazy, poparte statystycznymi cyframi. Piętnaście tysięcy znanych w kraju imion, podpisało tę petycją.

„Jeśli potrzebujemy lekcyi moralności, dodaje lakonicznie autor, nie należy nam teraz szukać jej poza Renem.”

W przedmowie znajdujemy opisy parodyi odgrywanych w teatrze, godnych utworu Wagnera, o którym mówiliśmy powyżej. Boleśniejszą nad te wszystkie parodye, była kalwakata zapustna, urządzona w Metz w roku zeszłym. Aby podnieść ciekawość w mieszkańcach, dano jej na afiszu tytuł *Grouly*. Jest to legendyczny zwierz z podań miejscowych. Pod kolumnami teatru, Prusak przebrany za papieża, błogostawił orszak pastorałem. Orszak wyobrażał Francją.

W karecie, na której położono napis: *Prezydent szalony*, mały człowieczek w okularach, szamotał się konwulsyjnie, jakby chciał uspokajać siedzącego obok towarzysza.

Daliej szedł osioł: trzymano przed nim mapkę. W innym powozie jechały postrojone małpy. W innym znów marszałek z wielkim nosem; na nosie kręcił się wiatrak; wychylał on butelkę po butelce: u stóp jego były worki pełne złota.

Na wielkim wozie leżał stos ogromnych worów z napisem: *milliardy*. Metzeńczyk jeden, przechodzący przypadkiem ulicą, rzucił z pogardą na wóz parę sztuk miedzi; podobnie jak Skarbek rzucił pierścień do skrzyni cesarza niemieckiego.

Na innym wozie zatknięto chorągiew Burbonów.

Alzacya i Lotaryngia przedstawione były w postaci dwóch kobiet: każda z nich niosła na ręku dziecię w śpiczastym kasku. Dla tém większego upokorzenia miasta, chór śpiewał tradycyjny hymn: „O Maryo! przybądź nam ku pomocy!”

W roku zeszłym podczas świąt Bożego Narodzenia, grano w *Viktoria Theater* w Berlinie czarodziejstwo pod tytułem: *Złote marzenia*. Rzecz dzieje się za Ludwika XIV, wkrótce po złączeniu Alzacyi z Francją. Dekoracya wyobraża katedrę Strasburską. Tu jakiś Francuz pijak i burda, znieważa mieszkańców, zowie ich bydłem, popija wino reńskie, zajada pasztet za pasztetem. Na to zbliża się stary Strasbureczyk; milczy z razu, gdyż grupa Francuzów otacza go zewsząd. Po chwili, gdy tłum ustąpił, rzuca przekleństwa i proroczym głosem przepowiada, że wybije godzina, w której Strasburg wróci do niemieckiej ojczyzny.

Teatr się wstrząsa od oklasków. Orkiestra wygrywa *Wacht an Rhein*. Katedra gorejąca ogniem bengalskim, wywołuje niesłychany zapał w publiczności.

---

Pod tytułem: *Voyage aux villes mortes de Zuydersee*, wyszła z druku w Paryżu, bardzo ciekawa książka p. Havard, ilustrowana według szkiców malarzy holenderskich. Dotąd znano w Holandyi miasta: Rotterdam, Amsterdam, Harlem, ale Fryzja pomijaną bywała w opisach podróżników; p. Havard nagradza to zaniedbanie, oprowadza czytelnika po tej części kraju, prawdziwie malowniczej i odrębnem nacechowanej piętnem; bada lud fryzoński, odmienny całkiem od innych ludów. Smutnem okiem pogląda autor na ten kraj, na tych ludzi, jak gdyby przewidywał w rychłej przyszłości powódź, która je tak pochłonie, jak wody oceanu pochłoneły niegdyś Atlantyde. „Piszę tę książkę—mówi on—aby kiedyś w dniu na zawsze przeklętym, gdyby imię wielkiego narodu miało być zatartém na mappie Europy, przez inny lud zwycięzki, aby świat zdumiony nie zapytał: „Azaliż istniała kiedy Neerlandya?”

Wśród opisów podróży zasługuje także na uwagę dzieło Ludwika Depres p. t. *Sylwetki miast*. Autor umie patrzeć i malować. Przebiega on Anglią, Belgią, Holandją, Austryą, Węgry i Czechy. Kreśli

fizyognomią miast, bada historyczne chwile ich powstania, rozkwitu i upadku, śledzi ducha, który je ożywiał. Z szczególném upodobaniem maluje autor Pragę, piękny gród Karola IV i Ottokara, pysznie rozsiadły nad Mołdawą, przedstawiający się po dziś dzień oczom podróżnika, jak olbrzymie widmo średnich wieków, pełne majestatu i powagi.

---

Od października wychodzi w Paryżu przegląd miesięczny pod tytułem *La Roumonie contemporaine, Revue de l'Europe Orientale* pod redakcją p. Damé. Przeznaczaniem tego pisma dać poznać Europie zachodniej obyczaje i literaturę ludu rumuńskiego, jak również innych ludów wschodniej Europy. Do francuzkich współpracowników należą znani pisarze: Laboulay, Littre Simon, do rumuńskich poeta Alessandri, Dora d'Istrya i inni. W przyszłej kronice powiemy obszerniej o tój publikacji.

Ruch literacki pomiędzy Rumunami wzmaga się w zadziwiający sposób. Młody historyk Teodorescu wydał ważne dzieło etnograficzne, o tradycjach i obyczajach ludu rumuńskiego. Poprzedza dzieło przedmowa znakomitego archeologa Odobescu. Ten uczony pełnem życia piórem porównywa zwyczaje starożytnych i nowożytnych Greków z rumuńskimi i przyznaje tym ostatnim charakter mistyczniejszy i więcej uduchowiony.

W Czerniowcach na Bukowinie, professor Marionu, ogłosił drugi tom pieśni ludu miejscowego, obejmujący *Doiny, Hory* i inne piosneczki miłosne. Piérwszy tom dawniej wydrukowany, zawierał bohaterskie rapsody i ballady, a raczej dunny historyczne.

---

Na kongres geograficzny, który ma się odbyć w początkach kwietnia w Paryżu, pan d'Avril, niegdyś gorliwy uczeń Mickiewicza, autor dzieła o Cyryliu i Metodyuszu, członek akademii w Bukareszcie, przygotował dwa pytania dotyczące Rumunii: 1) zkąd wyszły migracje galskie do Italii: czy z Galii centralnej, czy téż z doliny Dunaju? 2) do jakiej grupy ludów należą Dakowie? Akademia bukarestska przeznaczyła nagrodę konkursową, za odpowiedź na powyższe pytania, w ilości 1,200 lirów, podała także do konkursu trzecie pytanie: Jakie jest stanowisko i charakter etnograficzny Rumunów, osiadłych na półwyspie bałkańskim? Doktor Obednaru przedstawiać ma Rumunię na kongresie paryzkim.

---

W fakultecie literatury w Montpellier, ma być utworzona katedra języka prowansalskiego (langue d'Oc). Rzecz niesłychana że Francya tak zkądinąd postępową, tak gotową do wszelkiej inicjatywy nie zwró-

ciła uwagi dotąd na przedmiot takiej doniosłości jak język sławnych niegdyś Trubadurów. Trudno przypuścić, aby to było skutkiem prostego zapomnienia. Dzisiejsi poeci prowansalscy, zbyt żywo dopominają się praw swoich, aby mieli dać zapomnieć o sobie. Jestto raczej systematyczna walka centralistów, reprezentowanych przez uniwersytet sorboński, przeciwko wszelkiej prowincjonalnej odrębności. Walka to zacięta i groźniejsza niż się zdawać może na pozór. Widzieliśmy dowody powstałych ztąd niechęci w Awinionie podczas jubileuszu Petrarki.

Któż nie wie jak wielką rolę w świecie literackim odegrała poezja prowansalskich Trubadurów? Język, którym oni śpiewali niegdyś, nie zatartł się bynajmniej; żyje on pełnym życiem po obu stronach Pirenejów, tak w Langwedocyi jak i hiszpańskiej Katalonii, a żyje nietylko w ustach gminu, ale niemniej w pieśni wielkich poetów, nad którymi góruje Mistral, autor dwóch arcydzieł: *Mirelli* i *Kalendala*.

Jak wielką wagę świat naukowy przykładą do języka i literatury prowansalskiej, świadczy to, że w samych Niemczech istnieje trzynaście poświęconych im katedr: w Berlinie, Bonn, Giesen, Wrocławiu, Halli, Heidelbergu, Lipsku, Królewcu, Monachium, Münster, Rostoku, Tubindze i Strasburgu. W ostatniem z tych miast stworzono tę katedrę, po zreorganizowaniu wszechnicy przed laty dwoma. Professor Boehmer wykłada tu naprzemian dawne pieśni Trubadurów i nowy poemat Mistrala *Mireille*.

Szwajcaryja ma także cztery katedry języka i literatury prowansalskiej: w Bazylei, Fryburgu, Zurychu i Newszatelu; Włochy mają jedną w Medyolanie. W prowanckiej tylko kolébbe Trubadurów, nie wykładano dotąd ich pieśni!

---

W końcu zeszłego miesiąca byliśmy obecni na *zebraniu akademickiem* innego rodzaju niż to jakie się odbywa w pałacu Mazariniego, niemniej przecież poważnym i uroczystym. Mówimy tu o akademii złożonej z celujących uczniów, jednej z pierwszych szkół paryzkich: *Collège Stanislas*. Akademia ta złożona z prezydenta, dwóch sekretarzy i dziesięciu członków przyjętych przez głosowanie, rozdaje medale i nagrody, ma swoje statuta, odbywa posiedzenia publiczne, wobec zarządu szkolnego i zaproszonych gości. Celem jej utrzymać między uczniami szlachetne współzawodnictwo.

Uroczystość przeplatana muzyką i chórami, prawdziwie była zajmująca. Prezydent zagaił ją piękną mową; podnosił w niej zasługi trzech akademików, których wprowadzono potem do koła. Następnie sekretarz odczytał sprawozdanie z kilkunastu prac konkursowych. Surowy krytyk podnosił wysoko zalety, wykazywał niemniej każdą słabszą ich stronę. Nie wątpimy że za lat kilka zobaczymy imię p. Henryka Fourrier, owego sekretarza, błyszczące w odcinkach dziennikarskich. Po rozdaniu nagród, młodzi autorowie uwieńczyli roz-

praw, odczytali je przy poklasku powszechnym. Inni deklamowali wiersze tak łacińskie, jak i francuzkie własnego utworu; inni znów odegrali z talentem, komiczną scenę z *Bourgeois Gentilhomme* Moliera.

Muzyka chóralna zachwyciła wszystkich. Pod kierunkiem znakomitego mistrza, młodzież szkolna odśpiewała wybornie hymn Haendla i „Tyroliankę” Rossiniego. Modlitwa dziękczynna odśpiewana w kaplicy miejscowej, zakończyła całą uroczystość. Tu nad innemi panował sopranowy głos Aleksandra Chodźki, syna zasłużonego profesora.

Kolegium Stanisława liczy ósmset z górą uczniów. Założycielem jego był ksiądz Liantard w początkach bieżącego wieku. Ludwik XVIII, który miał drugie imię Stanisław, dopomógłszy założycielowi do téj fundacyi, położył za warunek, aby szkoła nosiła imię jego dziada, Stanisława Leszczyńskiego; żądał niemniej, aby herb króla Stanisława zamieszczony był w godłach szkolnych. Pomimo upadku Burbonów, kolegium zachowało dotąd nazwę swoją, zarówno jak i godła.

# PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*O Towarzystwach zarobkowych i gospodarczych, według Ustawy z dnia 9 kwietnia 1873 r., z uwzględnieniem ustaw w Niemczech obowiązujących.* Wykład systematyczny napisał D-r Leonard Piętaś, professor Uniwersytetu Lwowskiego. Lwów, 1874, w 8-ce, str. 235.

Dięko D-ra Piętaśa dobrze zaleca swego autora. Poznaliśmy w nim uczonego i gruntownego prawnika, który traktując przedmiot w prawniczej naszej literaturze prawie nietknięty, wyczerpał wszystko niemal, co o nim dotąd w Niemczech napisano, a przytęm pozostał samoistnym i zdołał utworzyć całość nietylko z nazwy, ale w rzeczy samej oryginalną. Odpowiednio tęj samoistności myśli, język wykładu, jakkolwiek pod względem poprawności pozostawiający do życzenia, jest swobodny, ma pierwszą i główną w naszych oczach zaletę: rusza się i żyje. Nie są to polskie wyrazy naciągnięte na myśl obcą, tak sztywne jak płótno wyteżone na blejtramic, nad częm, czytając prace dawniejszych prawników galicyjskich nieraz ubolewaliśmy, ale jest to język świeży, jasny, do przedmiotu zastosowany; szkoda tylko że często niedość poprawny.

Wiadomo, że spółki zwane w Niemczech zarobkowe i gospodarcze, w Anglii spółdziaławcze, a we Francyi z trafnyęm uchwyceniem ich charakterystycznej cechy prawnej, nazwane spółkami o kapitale zmiennym, stały się od lat kilkunastu, w skutek upowszechnienia się tego rodzaju stowarzyszeń, (do których należą i głośne spółki zaliczkowe Szultze-Delitscha) przedmiotem licznych ustaw. Ważniejsze z ustaw wydanych w Niemczech, posiadamy w tłumaczeniu. Przekład ustawy pruskiej z dnia 27 marca 1867 r., dopełniony przez autora niniejszego artykułu, zamieszczony został w *Ekonomiście* za rok 1868, półrocze I, str. 67—84. Gdy ustawa pruska z pewnymi zmianami stała się prawem północnego Związku niemieckiego z d. 4 lipca 1868 r., przekład

tęj przejrzanęj ustawy wydał p. Łyskowski, w dziełku swoim p. t.: „Przewodnik dla spółek spożywczych.“ Toruń, 1870 r., str. 28—42.

Ustawa wydana dla północnego Związku niemieckiego, została w moc konstytucyi z d. 15 listopada 1870 r. rozciągniętą i do Niemiec południowych, z wyjątkiem Bawaryi, wchodząc w wykonanie od d. 1 stycznia 1871 r. Nieco później Bawarya sama zaprowadziła tę ustawę u siebie, mocą obowiązującą od dnia 1 sierpnia 1873 r., znosząc własną swoją ustawę wydaną w roku 1869. Tak więc w całych Niemczech obowiązuje obecnie jedna ustawa o Towarzystwach zarobkowych i gospodarczych.

Państwo Austriacko-Węgierskie, dawniej w części do Związku Niemieckiego należące, wykluczone zostało jak wiadomo z tego Związku skutkiem wypadków 1866 roku. Część tego państwa, którego organem prawodawczym jest Rada państwa wiedeńska, czyli tak zwana Cisleitania, posiadając uprzednio w przedmiocie spółek gospodarczych i zarobkowych nader ogółowe i niedostateczne przepisy prawne (patrz Piętaś str. 17—20), uchwaliła dla siebie w roku 1873 osobną ustawę obowiązującą od 1 lipca t. r. Wykład systematyczny przepisów tej ustawy jest właśnie przedmiotem dzieła p. Piętaś.

Twórcy ustawy Austriacko-Cisleitańskiej, przy jęj ułożeniu zapatrywali się głównie na przepisy ustawy niemieckiej i w znacznej części dosłownie te przepisy w swęj ustawie zamieścili. Dostrzegając się daje przytęm w rzeczoney ustawie wpływ ustawy bawarskiej, wóczas jeszcze mającej moc obowiązującą. W niektórych względach znowu, ustawodawcy odstąpili od przepisów tak ogólnó niemieckich, jak i bawarskich. Powstał ztąd utwór dość mieszanęj barwy, którego po szczególe czytelnikom Biblioteki przedstawiać nie zamierzamy, gdy w wzorowy sposób dopełnił już tego D-r Piętaś, do którego dzieła odsyłamy specjalnie tym przedmiotem interesujących się czytelników. Zajmiemy się rozbiorem pracy profesora Piętaś, nie ze względu na treść ustawy, którą systematycznie wyłożył zamierzył, ale ze względu na sposób, w jaki swe przedsięwzięcie wykonał.

W krótkiej przedmowie autor skreśla pobudki, jakie zachęciły go do zajęcia się ogłoszoną obecnie pracą; zwraca mianowicie uwagę swoich czytelników na ważność towarzystw zarobkowych i gospodarczych, jako środka do podniesienia bytu materialnego klass roboczych, i na potrzebę wyjaśnienia wątpliwości, jakie ustawa w roku 1873 w wykładzie swoim nastęrcza, wątpliwości, które autor przypisuje w części wadliwęj redakcyi samęj ustawy, w części zaś nieobeznaniu się prawników z instytucyą towarzystw zarobkowych i gospodarczych. „Głębokie przejęcie się pewną instytucyą, mówi D-r Piętaś, jest pierwszym warunkiem trafnego zastosowania odnośnego prawa.“ Ztąd tęż obok wykładu samęj ustawy i wyjaśnienia jęj wątpliwości, D-r Piętaś zamierzył „wykazać związek poszczególnych przepisów z istotą samychże towarzystw.“



Złote są to słowa. D-r Piętał określił stanowisko swoje w sposób dowodzący, iż dobrze pojął, czego największej części traktatów prawnych brakowało i brakuje. Prawnicy skłonni są zajmować się zbyt wyłącznie logicznym wywodem zasad prawa i wniosków z nich wypływających, a niezawsze starają się obeznać, nie zawsze przynajmniej dość zwracają uwagę na stosunki rzeczywiste, których przepisy prawne podają lub podawać zamierzają normę obowiązującą. Podzielamy najzupetniej stanowisko D-ra Piętała; zdaniem naszym nie można dość mocnego nacisku położyć na stawiony przez niego warunek trafego stosowania prawa, znajomość stosunków, do których przepisy prawne się odnoszą.

Wychodząc z tego stanowiska, D-r Piętał poświęcił znacznie-szą część wstępu do swojego dzieła (str. 1—16) skreśleniu przyczyn powstania towarzystw zarobkowych i gospodarczych, ich celów i pojedynczych ich rodzajów. Czuł on, że niedosyć mu być prawnikiem, że powinien jeszcze okazać, iż ekonomia polityczna, jakkolwiek będąca dla niego tylko nauką pomocniczą, nie jest mu obcą. Nie podnosząc zbyt wysoko skali naszych wymagań, nie możemy przecież zadowolnić się tą częścią pracy D-ra Piętała. Przyznaliśmy mu samoistność myśli; ale wiedzę swoją, jak to z małemi wyjątkami cechuje pisarzy galicyjskich, czerpie on przeważnie, prawie wyłącznie ze źródeł niemieckich; ztąd zostaje w zbytnej od tych źródeł zależności. Resztę Europy zdaje się znać o tyle tylko, o ile się o nią z niemieckich autorów dowiedział. Dlatego obraz, jaki przed nami roztacza początku, rozwoju i celu spółek gospodarczych i zarobkowych, jest z wielu miar chybiony.

Dr. Piętał mówi nam o zmianach, jakie zaszły szczególnie w toku bieżącego stulecia na polu produkcji przemysłowej i rolniczej, wskazuje, że przemysł większy spycha drobnych przemysłowców ze stanowiska gospodarczej samodzielności; że podobnie konkurencya gospodarstw większych usuwa w głąb małych rolników; mniema, że z przewagi kapitału wynikła rozterka społeczna i uważa to za zasługę myślicieli naszych czasów, że skojarzeniu słabych sił pojedynczych nadali formę stowarzyszeń na polu przemysłu i rolnictwa. Jako siłę nadającą popęd towarzystwom gospodarczym i zarobkowym, dr. Piętał uważa nacisk, jaki skupione w większych massach kapitały wywierają na stosunki ekonomiczne, a jako pole ich rozwoju wyznacza dziedzinę przemysłu i rolnictwa.

Rzuciwszy przecież okiem na stan towarzystw zarobkowych i gospodarczych w Europie, łatwo spostrzeżemy, że ani walka z nagromadzonym kapitałem nie jest ich zadaniem, ani téż przemysł i rolnictwo nie są głównym polem ich rozwoju.

Kolębką towarzystw zarobkowych i gospodarczych, mówi p. Piętał (str. 5) jest Anglia. Przypatrzmy się zatem, jaką rolę rzeczono towarzystwa odgrywają w Anglii.

Według rozgłośnego artykułu członka parlamentu i znanego ekonomisty p. Fawcett zamieszczonego w *Fortnightly Review* (luty 1874 r.) pod napisem: *The position and prospects of cooperation*, dziewięć dziesiątych wszystkich spółek tego rodzaju w Anglii trudni się zwykłym detalicznym handlem (*ordinary retail business*). Spółki te nie spółzawodniczą z wielkimi kapitałami na polu przemysłu i rolnictwa, co według p. Piętaka miało powołać ten rodzaj spółek do bytu, ale w istocie robią silną konkurencyą kramarzom wszelkiego rodzaju.

Na kongresie spółdzielczym w Halifax, odbytym w kwietniu 1874 r., inny członek parlamentu i znakomity przedsiębiorca p. Brassey, autor dzieła *Work and Wages*, wydanego w Londynie 1872 roku, stwierdził postępy kooperacji, lecz tylko w spółkach spożywczych (gospodarczych); a pan Goldwin Smith, znany ekonomista, przemawiając na tymże kongresie, zapowiedział nawet, wobec wzmagającej się kooperacji, zupełny upadek handlarzy detalicznych (*retail traders*) i sądził że zasłużony los ich spotyka, gdy zdaniem jego zawód ich jest próżniaczy, gdy dla własnego utrzymania się muszą pobierać nadmierne zyski i gdy prowadzą interesa na kredyt.

Dziennik Times (7 kwietnia t. r.) przyznając, że kooperacja wzmacnia się w Anglii (*is gaining ground*) polemizuje jednakże z panem Goldwin Smith.

Powodzenie swoje na polu detalicznego handlu, na którym się głównie dotąd w Anglii rozwinęły spółki spółdzielcze zawdzięczają, według powołanego artykułu p. Fawcett, przedewszystkiém sposobowi w jaki swoje interesa prowadzą. Sposób ten polega na sprzedaży artykułów handlu tylko za gotowiznę, ze ścisłym wyłączeniem wszelkiego kredytu. P. Fawcett wykazuje zalety tego systematu w uniknięciu strat na udzielanych kredytach, w szybkim obrocie kapitału i w możności kupienia za gotowiznę. Słusznie powiedziano—dodaje p. Fawcett—że kredyt jest największą plagą klass roboczych. Pan Fawcett radzi nawet drobnym handlarzom w ogóle iść za tym przykładem <sup>1)</sup>.

Dopiero po uzbieraniu znaczniejszego kapitału z zysków na handlu detalicznym, towarzystwo spółdzielcze w Rochdale założyło han-

<sup>1)</sup> W oryginale uwagi p. Fawcett brzmią:

„The business is strictly a ready money one. Under no circumstances whatever is any credit given. The strict coherence to this rule has doubtless contributed more than other circumstances, to the remarkable success of these stores.“

„It is to be observed that when no credit is given, no credit need be received“ (str. 191).

„Credit, it has been truly said, is the great bane of the working classes“ (stron. 192).

del hurtowy (*wholesale society*), którego współwłaścicielami stały się i inne spółki spółdzielcze. Siedzibę tego zakładu handlowego przeniesiono w roku 1863 do Manchester i założono filie (*branches*) w Londynie i New-Castel. Zakład robi interes na przeszło dwa miliony rocznie, jest dostarczycielem wyłącznie samych spółek spółdzielczych. Kredyt daje tylko siedmiodniowy od dnia listu frachtowego.

Zastosowanie zasady spółdzielczej do przemysłu, jest według p. Fawcett w Anglii drugorzędny dotąd spółek na téj zasadzie opartych, zadaniem. W Rochdale wzięto się do fabryk dopiero w r. 1855, założono przędzalnię, warsztaty szewskie w Leicester; suchary zaczęto wypiekać w Manchester.

P. Fawcett zwraca uwagę, że spółki spółdzielcze w Anglii nie są wierne swojej zasadzie. Osiągane bowiem zyski ze sprzedaży artykułów handlu lub wyrobów fabrycznych nie idą zwykle na korzyść pracujących w sklepie lub fabryce, ale rozdzielane są między spółników, o ile ci robią zakupy w sklepie, lub o ile mają udział w własności fabryki. Spółki stały się stowarzyszeniami drobnych kapitalistów, któremi po największej części są robotnicy; lecz zyski z przedsięwzięć nie płyną na rzecz robotników jako takich. Dlatego też robotnicy w fabrykach towarzystw np. w przędzalni w Rochdale, chociaż tam mają pewien udział w zyskach, bywają z przedsiębiorcami fabryki w sporze tak dobrze jak robotnicy w prywatnych zakładach <sup>1)</sup>. Pan Brassey w mowie swojej przywodzi nawet bezrobocie (*strike*) robotników w fabryce machin w Ouseburne należącej do spółki spółdzielczej.

Gdy tak zastosowania zasady spółdzielczej do przemysłu z rozmaitem powodzeniem (*a varying amount of success*) próbowano, zastosowanie téj zasady do rolnictwa, co p. Fawcett za mogące przynieść wielki pożytek uważa, dotąd w Anglii nie nastąpiło. P. Fawcett przywodzi tylko niejaki w tym kierunku usiłowania p. Brand.

Zastosowanie zasady spółdzielczej do przedsięwzięć bankowych napotkało w Anglii wielkie przeszkody w odnośnych przepisach prawnych, które po wielkich zachodach obojętń nakoniec zdołano. P. Fawcett wymienia dwa banki dotąd na podstawie spółdzielczej założone. Jeden z nich powstał w New-Castle on Tyne za staraniem dr. Rutherford w roku 1871 i dotąd ma dobre powodzenie, lecz liczy także i uczestników prywatnych; drugi jest w związku z hurtowym zakładem, o którym wspomnieliśmy powyżej.

Taki jest najświeższy obraz ruchu spółdzielczego w Anglii. Widzimy, że co do tego kraju rzecz w inném przedstawia się świetle niż nam podaje dr. Pięta. Spółki spółdzielcze ani nie rozwijają

<sup>1)</sup> Antagonism of interest thus arose in every respect similar to that, which unhappily so widely prevails between employers and employed.

się na polu przemysłu i rolnictwa, jakie im dr. Piętak wyznacza, ani też nie współzawodniczą z wielkimi kapitalistami. Natomiast stanęły w silnej konkurencji z drobnym handlem prywatnym, tak że nawet był tego ostatniego jest gdzieniegdzie zachwianym.

Przechodząc z Anglii do Niemiec, spostrzegamy jako najwydatniejszy objaw ruchu spółdzielawczego, spółki zaliczkowe, do których dał popęd p. Schulze-Delitsch. O tych spółkach tém krótszą w tém miejscu uczynimy wzmiankę, gdy już poświęciliśmy im oddzielny artykuł (Bibl. Warsz. 1870 r., listopad) i po raz drugi dotknęliśmy tego przedmiotu (tamże, 1873 r. wrzesień, str. 464—5).

Spółki te rozwijają się na polu kredytowym należącym do dziedziny handlu w obszerniejszém znaczeniu. Spółki zaliczkowe jak każda instytucja pieniężna, sprzedają drożej, jak się wyraził p. Zyskowski tanio otrzymany kredyt, czyli trudnią się handlem. Szybkie upowszechnienie ich w Niemczech przypisać należy małemu rozwinięciu się w tym kraju systemu bankowego. Z instytucjami bankowymi stanąć na równi nie są w stanie, jak to przyznaje sam Schulze-Delitsch. Są to banki założone dla tych, którzy w bankach dotąd istniejących kredytu nie znaleźli; przypuszczeni zostali do korzystania z kredytu, lecz płacą za niego drożej niż sprzedaje się w bankach zwyczajnych. Współzawodnictwo istnieje tu nie z bankami na wielkim kapitale opartymi, lecz z drobną lichwą, która jest kramarstwem kredytowym.

Nadmieniam, że spółki Deliczowskie, jakkolwiek ciągle jeszcze mnożące się, doznały w latach 1873 i 1874 dość licznych niepowodzeń. Instytucja zaś mająca być ich zjednoczeniem, centralbank für *Genossenschaften*, która dała za rok 1872, 14% dywidendy, a na rok 1873, zero, zwiniełą została na skutek uchwały ogólnego zebrania współwłaścicieli z d. 2 lipca 1874 r., rozporządzającej likwidacją.

Zdarzyły się też i znaczniejsze straty skutkiem nadużyć i przezwierzenia zarządzających. Znany jest wypadek z podobną spółką (niemiecką) w Poznaniu, gdzie strata wyniosła 80,000 talarów. Inne stowarzyszenie będące próbą zastosowania zasady spółdzielawczej do kredytu rolniczego, *Norddeutscher landwirthschaftlicher Bankverein*, pod firmą *Helbig, Scharff und Genossen*, nie tylko straciło cały swój kapitał 330,000 talarów, ale jeszcze każdy ze stowarzyszonych, jak przynajmniej przewidywano w maju 1874 r., musiał dopłacić po kilkaset talarów.

Takie częściowe niepowodzenia nie zmniejszają uznaniej powszechnie doniosłości ekonomicznej spółek zaliczkowych, zwłaszcza że wydarzyły się w latach ogólnego przesilenia finansowego. Aby przecieżyć tę doniosłość należy ocenić, aby uchronić się od zawodów powodujących ostygnięcie sympatyj otaczającej z początku spółki zaliczkowe, należy dokładnie zbadać warunki i zakres zastosowania zasady spółdzielawczej, na której te spółki są oparte. Nie znamy zasad, dopóki przestajemy na znajomości dosłownego ich brzmienia; posiadamy ich znajomość wówczas dopiero, gdy wiemy, gdzie i jak należy zasadę sto-

sować. Na niewiele się przyda rolnikowi wiadomość, że koniczyna albo łubin są użyteczne rośliny, jeżeli przytém nie wie, gdzie je siać z korzyścią, można i jak je uprawiać należy.

Wstęp D-ra Piętaka pod tym właśnie względem jest niedostateczny; autor ograniczył się na zachwaleniu spółek zarobkowych i gospodarczych, lecz nie wskazał chociażby tylko w najogólniejszym rysie, zakresu i warunków ich zastosowania.

Drobne to jest przecież uchybienie obok istotnych zalet dzieła, którego przedmiotem głównym jest systematyczny wykład ustawy o spółkach zarobkowych i gospodarczych w Galicyi obowiązującej. Przedmiot swój opracował Dr. Piętak starannie i trafnie. Podzielając po największej części jego zapatrywanie się, ośmielimy się jednak uczynić kilka uwag, chociażby tylko na dowód, żeśmy piękną pracę D-ra Piętaka w całości z zajęciem odczytali.

Doktor Piętak jest widocznie zakłopotany jednym przepisem rozbieraną przez siebie ustawy. Ustawa w paragrafie 88 zagraża karą i to dosyć wysoką, członkom Towarzystwa, którzyby wzięli udział bądź w rozciągnięciu działalności Towarzystwa na inne niż wymienione w paragrafie pierwszym ustawy przedmioty, bądź nawet w rozprawach przekraczających zakres działalności Towarzystwa. Tłumacząc ściśle ten przepis, Dr. Piętak wywodzi z niego wniosek, że użycie zysków Towarzystwa na cele dobroczynne, a nawet rozprawy o tém walnego zgromadzenia, są czynnościami i rozprawami, które jako wychodzące poza zakres naznaczony w paragrafie pierwszym ustawy działalności Towarzystwa, ściągają na członków Towarzystwa zagrożoną w paragrafie 88 karę. „Razącój téj konsekwencji wynikającój z wyraźnego brzmienia paragrafu 88“, mówi Dr. Piętak (str. 48 przyp. 71): „nie możemy negocwać, jakkolwiek przed nią się wzdrygamy.“

Zdaje mi się, że Dr. Piętak robi sobie kłopot dość niepotrzebny. Żaden sąd roztropnie stosując prawo, nie uzna za przestępstwo, jeżeli w razie jakiej kłęski ogólnej, zamożne Towarzystwo uchwali dać składkę np. na pogorzalców. Prawnym powodem uniewinniającego w tym razie orzeczenia sądowego, będzie mojem zdaniem, że Towarzystwo już przez sam fakt swego istnienia upoważnione jest do wydatków na zarząd, że wydatki te w miarę zamożności Towarzystwa obejmują, jeżeli nie z konieczności, to z przyzwyczajenia pewne pozycye, które jakkolwiek nie odnoszą się do przedmiotu działalności Towarzystwa, przecież jako wydatki na zarząd, za karygodne przekroczenie sfery działalności Towarzystwa uważane być nie mogą. Gdybyśmy nie przyjęli takiego pojmovania ustawy w jej całości i na sam tylko przepis paragrafu 88 zwrócili uwagę, wynikłoby ztąd takie nawet absurdum, że gdyby Towarzystwo dla przyozdobienia np. izby swoich posiedzeń uchwaliło sprawić portret władzcy lub rządcy kraju, prokurator rządowy musiałby o to wytoczyć członkom Towarzystwa proces i domagać się ich ukarania, a sąd karę winienby wymierzyć!

Uchylając nie zupełnie właściwe stosowanie zakazu ustawy do uchwał i rozpraw odnoszących się do wydatków na zarząd, nie przeczę jednak, iż Towarzystwa winny być w uchwaleniu takich wydatków nader oględne. Poddane są one dyskrecyonalnemu uznaniu sądów, w kwestyi, czy wydatek nie odnoszący się ściśle do sfery działalności Towarzystwa, uważany być może za wydatek na zarząd.

Drugą uwagę pod względem czysto prawnym nastęrcza mi twierdzenie D-ra Piętaka (str. 185), że w Towarzystwach z ograniczoną odpowiedzialnością członków, w razie ogłoszonej upadłości (konkursu), obliczenie dopłat ściąga się tylko do kwot, które członkowie Towarzystwa są Towarzystwu dłużni, a nie chodzi przytém jak w Towarzystwach z nieograniczoną odpowiedzialnością, o pokrycie niedoboru przez rozkład na pojedynczych członków. Mniemam jednakże, że jeżeli niedobór jest mniejszy od summy kwot, należnych Towarzystwu od członków, co przecież także wydarzyć się może, kwoty te w całkowitości ściągane być nie potrzebują, a żąd repartycja niedoboru skuteczną być winna.

Jako usterki pióra uważam nakoniec wyrzeczenie na str. 103, iż ustawa handlowa nie jest prawem dla osobnego stanu kupieckiego; w sprzeczności z tém na str. 105 czytamy, że w księdze piérwszej ustawy handlowej zawarte są osobne instytucje prawne dla stanu kupieckiego. Na str. 31 w przypisku 29 powiedziano, iż kredyt jest tylko środkiem do celów gospodarczych; na str. zaś 38 towarzystwa zaliczkowe i kredytowe wyliczone są pomiędzy Towarzystwami wspierającymi produkcją, czyli odniesione zostają do celów zarobkowych, a nie do gospodarczych.

Rozbiór niniejszy nie odpowiedziałby w zupełności swojemu zadaniu, gdybym w nim pominął względ na terminologią przez autora przyjętą. Właściwość terminologii dla samego wyrozumienia ustaw nie jest obojętną; jój ujednostajnienie jest dla nas przedmiotem nader ważnym, który winien być miany na względzie przez wszystkich naszych prawników.

Doktor Piętak spółki urządzone ustawą przez siebie wyłożoną, nazywa Towarzystwami zarobkowemi i gospodarczemi. Przyjęliśmy to samo wyrażenie w przekładzie ustawy pruskiej z roku 1867 z tą różnicą, że spółki nazwaliśmy stowarzyszeniami a nie Towarzystwami. Chętnie przecież przystępujemy do terminologii przyjętej przez D-ra Piętaka w tym punkcie, z powodów przez niego wskazanych.

Nazwa „towarzystwa zarobkowe” odpowiada niemieckiemu *Erwerbs genossenschaften*. Lecz jeśli Dr. Piętak tłumaczy właściwie *Erwerb* przez zarobek, to wyraz zarobkowanie użyty przez niego na oddanie niemieckiego *Gewerbe*, pociąga za sobą pewne niedogodności. *Erwerb* i *Gewerbe* są po niemiecku dwa wyrazy różne: w polskim zarobkowanie jest wyrazem pochodnym od zarobku; w zarobkowaniu przebija się względ na zarobek, czyli chęć zysku; względu takiego nie ma w wyrazie *Gewerbe*, a przynajmniej nie jest tak wyraźny. Kiedy

zatem Dr. Piętaś na poparcie swego wywodu (str. 88) czyni uwagę, iż zarobkowanie bez chęci zysku jest *contradictio in adiecto*, uwaga ta ma zasadę tylko w przekładzie polskim, ale nie w tekście niemieckim. Doktor, który darmo leczy chorych, adwokat, który darmo broni klientów nie mają w tym sposobu zarobkowania, ale pomimo to wykonywać mogą swój zawód jako zwykłe zatrudnienie. Dr. Piętaś przytacza wprawdzie, że na konferencji norymberskiej uznano, iż w zawodzie handlowym chęć zysku rozumie się sama przez się, ale skoro właśnie dlatego przy określeniu czynności handlowych tej ich cechy osobno nie podniesiono, jak to sam Dr. Piętaś zaznacza, tłumacz dodawać jej nie miał prawa.

Wyrażenie *gewerbmässig* w artykule 4-ym ustawy handlowej austriackiej dołączonym do ustawy o Towarzystwach zarobkowych, jest użyte dla oddania tego samego określenia co wyrażenie *profession habituelle* w artykule 1-ym kodeksu handlowego francuzkiego, będącego w tym razie źródłem ustawy austriackiej. Kodeks francuzki znalazł u nas licznych tłumaczy. Z nich Majewski i Zawadzki oddają *profession habituelle* przez zwykłe zatrudnienie, Rzeziński przez powołanie, Heylman przez sposób zarobkowania. Do przekładu tego ostatniego najbliższemu przystępuje Dr. Piętaś różniąc się od niego formą wyrażenia, ale nie osnową. Wszystkie te wyrażenia polskie należą jednak do języka książkowego. Linde w słowniku swoim przywodzi jako wyrazy odpowiednie *professya*, *professyonista*, wyrażenia, które były niegdyś w powszechnym użyciu, a które lubo jeszcze nieraz słyszeć je można, widocznie się starzeją. W Warszawie były też i są w użyciu na oznaczenie *professyi*, *professyonisty*, wyrazy *proceder*, *procederent*, z których ostatniego Linde nie zna, a pierwszy przez postępowanie *Verfahren* tłumaczy. Miałyby podane przez nas znaczenie *procederu* dopiero po napisaniu słownika Lindego się pojawić? Nie śmiem ani tego twierdzić, ani temu przeczyć. Powaga słownika Lindego pod względem znaczenia wyrazów w potocznym użyciu nie jest taką, aby na niej bezpiecznie oprzeć się można. Przytoczyć możemy jeszcze z wyrażen o podobnym znaczeniu wyraz zawód, mający pewien odcień szlachetności zajęcia. Mówimy zawód obrończy, lecz nikt jeszcze nie słyszał o zawodzie szynkarskim.

Chwiejny jest, jak widzimy, w tym punkcie stan dzisiejszy naszej mowy. Ustalić go, nie może być zadaniem tłumacza obcej ustawy. Czyni on tylko mniej lub więcej trafny wybór w zapasie wyrazów, jakich mu mowa dostarcza. Wybór tłumacza, w tym razie, może winien był wypaść na użyte przez Zawadzkiego, dziś u nas najwięcej wziętego tłumacza prawa francuzkiego wyrażenie: „zwykłe zatrudnienie.“ Jest ono nieco za blade, lecz właśnie dlatego odpowiada najlepiej stanowi społecznemu, w którym rozmaite zawody życia straciły cechę swojej odrębności. *Professya* w naszych czasach stała się prawie już tylko zatrudnieniem.

Dr. Piętaś tłumaczy wyrażenie w oryginale użyte na określenie liczby członków w Towarzystwie, *geschlossen, nicht geschlossen*, przez liczbę członków zwartą lub nie zwartą. Wątpię, czyli to wyrażenie przekładu upowszechnić się zdoła. Zwartość odnosi się raczej do stanu skupienia niż do ilości, która może być stałą lub zmienną.

Kilka wyrażen u nas w powszechne użycie weszłych mógł być z korzyścią zdaniem naszym, Dr. Piętaś do dzieła swego przejąć, np. ujawnić, zamiast uwidocznić i t. p.

Kończąc na tém zbyt może szczegółowe uwagi nasze nad dziełem D-ra Piętaśa, polecamy to dzieło prawniczej publiczności naszej, jako pracę gruntowną i samoistną w przedmiocie nowym i ważnym.

F. Z.

*La Poésie latine en Pologne par René Lavollée Docteur és lettres. Paris. 1873, str. 50.*

Zawstydżają nas cudzoziemcy. Przedmiot tak z treści obszerny, w szczegóły świetne obfity, a z tylu stron zajmujący, jak uprawa poezji łacińskiej w literaturze polskiej, nie ma dotąd u nas swęj monografii. Nawet pod piórem historyków naszej literatury, (których liczba zkadinań tak jest nieszczupła), gałąź ta krótko zwykle i lekko bywa zbywana. Tylko Michał Wiszniewski w swęj: Historii literatury, jak w każdej innej gałęzi tak i w tej zebrał był i przedstawił pod każdą epoką skarbice faktów, przytaczając nietylko nazwiska poetów po łacinie piszących i ich prac, ale też z nich wyciągi i zdania o wartości, a po nim przedmiot ten ze szczególną miłością powtórzył i nawet w części rozwinął w swych „Dziejach Literatury” Kondratowicz. Oba te jednak dzieła kończą opowiadanie swe początkiem XVII stulecia i w obu rzecz o poezji łacińskiej jest w rozproszeniu. Obecnie mamy przed sobą dziełko w języku francuzkim, nieobszerne wprawdzie, ale napisane porządnie, i treść którego właśnie owemu przedmiotowi wyłącznie jest poświęcona. Autor tego dziełka p. René Lavollée przedmiot ten obrał był najprzód za treść rozprawy łacińskiej, która zjednała mu stopień doktora *és lettres* w uniwersytecie Paryzkim (rozprawa ta pod napisem *De poetis latino-polonis* etc., drukowana w r. 1869 u Didier w Paryżu), obecnie zaś umieścił artykuł w tymże przedmiocie w N-ach 1 lipca i 13 sierpnia r. z. w dzienniku *Le Contemporain* i tego to właśnie artykułu osobne odbicie stanowi powyższe dziełko. Dziełko to powiedzmy to z góry, nie jest to żadne studyum bibliograficzne, a nawet szczegółowo krytyczne nad poetami o których mówi; jest to po największej części wyciąg tylko i zbliżenie rozproszonych wiadomości o poezji polsko-łacińskiej z Historii lite-



ratury polskiej Wiszniewskiego, którą téż nieraz przytacza; dodane tu jednak zarazem rzeczy o Sarbiewskim, obszerniejsze oceny kilku poetów głównych, oraz oznaczenie stosunku ich prac do swéj gałęzi, t. j. do poezyi łacińskiej w innych krajach Europy, której autor zdaje się być znawcą specjalnym.

W zaczęciu swéj rozprawy p. René Lavolée wyraża, iż we Francyi trzeba dziś pewnej odwagi, aby mówić o rzeczach polskich, (które, jak dodaje, z łaski dziś trochę wypadły) i o przedmiocie tak potępionym, jak są studia klasyczne; jakoż w ciągu rozprawy miał wzgląd, jak się zdaje, na jedno i drugie, jakkolwiek poświęcił rozprawę klasycyzmowi, nie omieszkął go także w końcu w części potępić; co zaś do względu pierwszego, jakkolwiek pochlebnie dla kraju, o którym miał pisać wyraża: „iż nie jest bez interesu badać, jak owe nauki klasyczne wpłynęły na cywilizacyą jednego z pierwszych ludów w Europie” („ceque ces études ont fait pour la civilisation de l'un des premiers peuples de l'Europe”), w rozwinięciu jednak przedmiotu nie myślał wcale o powściągnięciu się w surowości sądów, i rzecz prawie można, iż dziełko obecne tém jest dla poetów naszych łacińskich, czém niegdyś było *Judicium* Dawida Brauna dla historyków polskich.

Przytaczamy tu w krótkich słowach treść dziełka, z zachowaniem, po największej części, i własnych wyrażań autora.

Miłość poezyi i pieśni była wczesnie udziałem ludu polskiego, jak w ogóle Słowian. Śpiewano tam przy weselach, i śpiewano przy pogrzebach i t. p., a pieśni te w części przechowały się dotąd, częścią wcielone zostały do kronik w przekładach łacińskich. Miłość śpiewu i pieśni rytmicznych były powszechne w kraju, wstrzymywano się tylko od nich w razie żałoby publicznej. Jakaż była wartość tych pieśni? „jeżeli, mówi autor, mamy o tém sądzić z urywków, jakie nam przechowali kronikarze w przekładach łacińskich, wykazują one w twórcach niewiadomość i zupełny brak uczucia poetycznego; styl jest płaski, częste repetycye, tak jak we wszystkich żalach, jakie śpiewano ówczesnie w Europie całej; wiersze są twarde, mylne (*fauz*) i tak niepoprawne, iż możnaby je wziąć za prozę, gdyby nie rymy po kilkakroć powtarzane” (str. 3). Dla przykładu przytacza autor w przekładzie francuzkim <sup>1)</sup> wiersz na śmierć Bolesława z Kroniki Galla. W XIII wieku ukazały się już w Polsce przedstawienia teatralne; dawano je nawet po kościołach, co powściągnięte dopiero zostało osobną bullą Inocentego III. Ogólny zwyczaj przedstawień trwał ciągle, a po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego panowie polscy przedstawili mieli allegoryczny dramat, do którego weszły radość, smutek, swoboda, sprawiedliwość i roztropność, tekst którego przechował Kadłubek w swéj Kronice. Autor przytacza tu parę pierwszych strof z tego

<sup>1)</sup> Wszystkie bez wyjątku przytoczenia w ciągu książki czynione są w przekładzie francuzkim prozą.

wiersza i zwróciwszy uwagę, iż główną tu zaletę stanowią antytezy słów i obrazów, dodaje: „takie dziecinady zapełniają seciny wierszy, wszystkie na jedną miarę, i rymując z sobą, ale tak barbarzyńskim stylem i składnią, że zaledwie można uchwycić sens jakiś, a nieprzerwaną jest tylko nuda nieśmiertelna.” (8). Autor przytacza dalej przekład wiersza łącińskiego z r. 1410 o bitwie pod Grunwaldem i wzmiankuje w ogólnych zdaniach o poezjach Stanisława *Ciolka*, Adama *Świniki*, *Grzegorza* z Sanoka, *S. Kazimierza*, *Kotwicza*, *Jana* z *Oświęcima* i i., i dodaje: „poezya polska jak to widzimy, miała po swém nastaniu charakter z gruntu historyczny.”

Wiekiem rozwinienia i blasku poezyi łącińskiej w Polsce był wiek XVI. Rozpoczął go *Paweł z Krosna*, mistrz poezyi w akademii Krakowskiej; uczniami jego byli: *Jan z Wiślicy*, *Krzycki*, *Hussovianus* i *Jan z Gdańska (Dantiscus)*. Poeci ci wszyscy byli poetami niewielkiej wartości, ale zabłysnął wkrótce nad innych *Klemens Janicki*. „Poeta ten nie opiewał w swych rytmach, jak większa część spółczesnych mu poetów, mniemanych nieszczęść urojonego bohatera, ale cierpienia istotne, swoją przedwczesną starość i śmierć niechybną... ztąd też poczyta jego miała zbyt więcej niż innych, słowa trafnego, natchnienia wzniosłego i rzeczywistego pociągu” (18). Autor przytacza obszerniejsze wyjątki z kilku elegij i dodaje: „Styl Janickiego jest płynny, chociaż niekiedy trochę pretensjonalny i ciemny, jego wiersze są trafne (justes) i dobrze zbudowane, i wreszcie (wyjątkowo pochlebnie dodaje autor), patrząc na tę naturalną strojność, która ich cechą, możnaby rzec, iż sądziłem nie skromnego wieśniaka polskiego, lecz Patrycyusza Wenecyi i Florencyi pełnego *rzymskiej* gracyi, słodczyz nieba *włoskiego*, a spoufalonego z poezją przez stałe obcowanie z muzą *grecką*” (21). Naśladowcami Janickiego byli: *Grzegorz z Samborza*, *Andrzej Trzycieski*, *Jan Kochanowski*. *J. Kochanowski* „liczony do najlepszych poetów polskich, pierwój nim zaczął pisać po polsku, pisał elegie i liryki po łacinie, w których nie bez powodzenia naśladował Tybulla i Horacego. W niektórych naśladował Petrarke. Śpiewając miłość nie zapominał też jednak i o kraju, który już sławił, już bronik. Tu autor wspomina między innymi i o odpowiedzi Kochanowskiego na paszkwil *Desporta* i z odpowiedzi tej (mającej napis *Gallo crocitanti*) bezstronnie najzjadliwsze miejsce przytacza <sup>1)</sup>. „Poufałym (?) przyjacielem Kochanowskiego był *Klonowicz*,

<sup>1)</sup> Jakby przez odwet jednak autor przytacza tu zarazem w przypisku cały ów paszkwil *Desporta* ze zbioru jego poezyi. W literaturze naszej paszkwil ten (poety *erotycznego*, który do Polski przybył był razem z Henrykiem Walezyuszem i razem z nim uszedł); nieraz z okoliczności poezyi Kochanowskiego był wspomniany, tu jednak po raz piérwszy oglądamy go w jego osłości. Wiersz ten mający napis *Adieu à la Pologne* ma sześciowierszowych strof dziewięć; jest on gładki, dówcipny, cechuje go jednak wyrażnie jakaś

pisal on po łacinie i po polsku, już satyry na obyczaje swego kraju, już jego pochwały." Ten ostatni przedmiot ma jego *Roxolania* czyli śpiew pochwalny ziemi czerwonoruskiej. „Jest to pewnym, powiada autor, iż w poemacie tym wpada niejednokrotnie Klonowicz w powszedniość i błażostki, ale daleko więcej przedstawia się, jako poeta zdolny i dzielny." Przytoczona tu treść Roxolanii i wstęp o Fedorze. Poemat satyryczny *Victoria Deorum* napisał był najprzód autor po polsku (?), następnie po łacinie, „ale mimo całą staranność brak temu dziełu natchnienia poetycznego i życia; jest to tylko rodzaj scholastycznej dySSERTACJI o prawem szlachectwie, pisanéj stylem zimnym i ciężkim," „Klonowicz miał umysł otwarty i łatwy, zadziwiający zapał do pracy, styl jasny i czysty, jakkolwiek wiersz jego był powolny i monotony. Gdyby był pisał mniej, a bardziej starannie, gdyby się był nie lenił więcej ścieśniać swe myśli i oglądać styl, należałyby bezwątpienia do pierwszego rzędu poetów polsko-łacińskich" (30). Klonowicz i Kochanowski zyskali przy początku XVII wieku potężnego rywala w osobie Szymona Szymonowicza, który został przezwany Pindarem polskim. Dzieła jego są liczne i w wyjątkowy sposób doszły do nas wszystkie. „Nie będę, mówi autor, ani je zbyt pochwalał, ani im zbyt przyganiał, niepodobna brwiem poccie nie przyznać krasomówstwa i werwy, ale zarazem nie uczynić zarzutu, iż był ciągłym, i że tak rzec można, niepoprawnym naśladowcą." Jego prorok *Joel* cały jest wzięty z Biblii, jego *Herkules Prodicens* jest prawie literalnym przekładem z Ksenofonta, jego tragedia *Pentesilea* jest jakby dyktowaniem Quintusa ze Smyrny i wreszcie jego *Castus Joseph* jest kompilacją Biblii, Hippolita Eurypidesa. Wchodząc w bliższy rozbiór tej sztuki, autor

---

osobistość i stronna złośliwość. Poeta między innymi tu woła: „Ludu dziki, arrogancki, hardy, wietrzny i paplający, który za jedyną rozkosz masz kufel, i albo z nim chrapiasz u stołu lub usypiasz na ziemi, nie wasze to lance i skrzydła sprawiają, żeście niezwalczeni,

(Ce ne sont pas vos grandes lances creusées  
 Vos peaux de loup, vos armes deguisées,  
 Ou maint plumage et maint aile s'étend,  
 Vos bras charnus ni vos traits redoutables  
 Lourds Polonais qui vous rend indomptables).

ubóstwo to tylko was broni. Miłsza jest Ottomanowi ciepła Kandia, a Niemcom bogata Flandrya, niż wasze ziemie." Poeta *Desportes* nie był oczywiście wieszczem; Byczyna i Chocim dowiodły, że ani Ottoman, ani Niemcy nie myśleli bynajmniej o wzdargdziej chłodnej ziemi. Lecy i w samém już wyrażeniu *indomptable* była *contra dictio in adjecto*; przymiotnik niezwalczony pochodzi od *walka*, a walki pochodzą od chęci wygrania ich.

przycacza scenę między *Jempsar* (żoną Putyfara) i jej *Karmicielką*, wymowną boleść tej pierwszej nad swém uczuciem i dodaje: „Dotąd same pochwały należą się Szymonowiczowi, idzie on śladem Eurypidesa i jest jak on wymowny i ożywiony prawdziwym ogniem traicznym; lecz im więcej wypada nam go podziwiać, tém więcej bolęć nad jego wadami. W chwili, w której zapanował nad publicznością, wzruszoną i przerażoną, kiedy nie ma nikogo, któryby nie zapłakał nad uczuciem Jempsar i nie pozalił się jej losu, Jempsar zaczyna dySSERTACJĘ o początku i rozwoju miłości, i co gorzej powtarza ową sławną filipikę przeciw kobietom, którą Eurypides lepiej natchnięty włożył w usta Hippolita oburzonego na passę Fedry; jest tu już nie Fedra Eurypidesa tak piękna nawet w swym upadku, ale Fedra Seneki prosta i wstrętna.” „Styl Szymonowicza jest zwykłe łatwy, ozdobny w porównania dowcipne i piękne figury, wiersze zbudowane porządnie i nader czystą łaciną, i słowem był on nietyle poetycznie natchnionym, ile erudytą, którego styl wart nieraz więcej, niż jego idee” (37).

W tym czasie, opowiada autor dalej, pisanie w Polsce rytmów łacińskich tak było powszechne i modne, iż nie było tam prawie pisarzy jakiegokolwiek gałęzi, którzyby zarazem i rytmów łacińskich nie układali; pisali je np. między innymi: filozof *Jan z Głogowa*, astronom Mikołaj *Kopernik*, kardynał *Hosiusz*; historycy: *Kromer*, *Bielski*, *Sarnicki*; lekarze: *Oczko*, *Struś* i t. p. Wszakże w pośród tych wszystkich, odróżnił się i na szczególne zasługuje wspomnienie poeta *Maciej Sarbiewski*. „Nazywano go, mówi autor, Horacym Polskim i zasługiwałby, dodaje, na to miano, gdyby Horacyusz pisał tylko ody.” Forma wierszy, styl, przedmioty (?), okazują ciągłą staranność o naśladowanie Horacego „(w Hymnie do N. Panny użył np. tychże miar i strof, jak Horacy w swój odzie do Apollina i Dyanny).” Jest tradycja, iż przeczytał 60 razy Eneidę, a po 10 razy innych poetów rzymskich, a tym sposobem wcielił, rzecz można, w siebie substancję i w pewien sposób kwiat istotnego latynizmu tak dobrze, że przez elegancją i czystość bez skaży swego stylu, przez poprawność i harmonię wersyfikacji, zasłużył on na miejsce okok najlepszych poetów łacińskich z czasów nowych: *Sannazera*, *Politienu*, *Santeuila* i prawie na stopień śród poetów dawnych.” „Nie znaleźć u niego wyrażen w wątpliwego albo przestarzałego (suranné)? latynizmu, niemitych uchu brzmień, błędów iloczasu i składni. Jedyne zarzut, jakiby mu można uczynić, jest to wada spólna jego wiekowi nadużywania pieścizliwości, wyrazów zdrobniałych, staranność o affektacją, która każe przenosić małe sztuczki retoryki nad czystą i dojrzałą prostotę sztuki rzetelnej.” Hymnom religijnym autor zarzuca, iż ucieka się w nich poeta nieraz do fałszywych błysków i *conchetti*; pochwała zaś śród nich główne naśladowanie *Bogarodziey* i przycacza przykład. Nad hymny religijne przynosi filozoficzne, a nad te, treści politycznej, i przycacza za przykład odę V ks. IV (O obronie granic przeciw Tatarom). „Ody Sarbiewskiego zdały się

być ostatnim wysiłkiem, i jakby śpiewem łabędzim poezyi łacińskiej w Polsce.

Po skreśleniu w ten sposób obrazu, autor dołącza kilka uwag ogólnych o poezyi polsko-łacińskiej i nadmienia między innymi iż wśród pisarzy polskich, jedni winszują swemu krajowi iż zacząwszy pisać po łacinie przeniósł odrazu do kraju cywilizację rzymską; drudzy zaś czynią mu z tego powodu zarzut, fakt ten bowiem przytkumił w kraju rozwinięcie w kierunku narodowym. Zdaniem autora słuszność zupełną mają pierwsi, drudzy zaś o tyle, iż panowanie łaciny, raz zaszczerpiwszy cywilizację dawną, było za długie, iż kraj żałować ma prawo że tyle świetnych umysłów z XVI i XVII-go wieku uciekło się do mowy obcej i dodaje uwagę trafną: że zarzut ten możnaby słusznie odnieść i do całej Europy. W czasach ogólnej ciemnoty, wzajemnych nienawiści i wojen, język i literatura łacińska stawała się jedynym środkiem jednoczenia krajów, tak że w końcu Europa cała stała się była jakby jedną rzesząpospolitą, córką nietylko Rzymu nowego lecz i dawnego. Wszakże po utwierdzeniu się stałym oświaty w ludach, język łaciński powinien był ustąpić, jak to czyni mistrz dziecka, gdy wychowaniec jego dochodzi do pełnoletności. Nieszczęściem jednak tak się nie stało. W skutek reformacji w XVI wieku u wielu ludów język krajowy użytym został za język religijny, przez naturalną więc reakcję ludy pozostające przy katolicyzmie tém gorliwiej przywiązaniem się stały do kultury łacińskiej. Jakoż wieki XVI i XVII dla poezyi łacińskiej najprzyjaźniejszymi się okazały. Poeci tym językiem piszący ukazali się nietylko u ludów pochodzenia łacińskiego, lecz w całej ucywilizowanej Europie, aż do krain dotykających do *Ultima Thule* i prawie do bieguna. Autor wylicza głównych we wszystkich krajach z ich ocenieniem i dodaje: „Śród tych wszystkich najbardziej odznaczonymi się okazali *włoscy i polscy*; uzdolnieni do władania łaciną, pierwsi, wskutek spólności rasy, drudzy tradycyi świeckiej” (46).

Taką jest treść dziełka p. René Lavollée. Literatura polska winną jest autorowi temu wdzięczność istotną, iż z tak bogatą jej gałęzią jaką jest poezya łacińsko-polska, zaznajomił we Francyi i świat uczony i przez kanał peryodycznego pisma ogólniejszą powszechność, wdzięczność zaś ta (dodajemy to z całą szczerością) tém musi być żywszą, iż autor, jak to widzieć możemy, nietylko z brzmienia nazwiska, ale i ze szczegółów pisma nie jest polskim krajowcem. Aby bowiem dać obraz bezstronny dziełka o którym mówimy, wspomnieć też trzeba iż jego zajmujące zawarcie nie jest bez swych ujemności, a do ich liczby należy: iż autor co chwila się zdradza już niezajomością języka i literatury polskiej, już dziejów. Iż autorowi dziełka obce są elementarne szczegóły dziejów polskich, to może widzieć czytelnik prawie co kartę. Tak np. wzmiankowaną u Galla żałobę kraju po śmierci Bolesława Chrobrego zowie żałobą „po śmierci Popiela“ (str. 3.) Wspomina dalej o nastalym „ucisku i bezrządzie w kraju za Chrobrego“ (str. 5) (co miało znaczyć za Gnuśnego); dalej iż „śmierć Kazimierza

Sprawiedliwego nastąpiła w r. 1404“ str. 7 (zamiast r. 1194), iż Symonowicz był sekretarzem sławnego hetmana Stefana Batorego: „Tomasza Zamoyskiego“ (str. 30), iż Klonowicz w swój Roksolanii przeniósł Ruś „nad Mazowsze, Litwę, Galicyą“ str. 25 i t. p. Za dowód nieznamościami języka i literatury polskiej uważać musimy, gdy spotykamy takie omyłki w nazwiskach polskich, iż te nie mogą być odniesione na karb zecera, np. gdy nazwisko *Trzycieski* raz pisane *Trzysziewski*, drugi raz *Trzyskiewski*, oda Kochanowskiego na *Zjazd Siężycki* nazwana „Ode au congrés de *Pukniejski*“ (str. 22) i t. p. Na str. 8-ój znajdujemy przekład wiersza z r. 1410 przytoczonego przez Wiszniewskiego, na bitwę pod Grunwaldem, zarazem zaś objaśnienie, iż wiersz ten Władysław Jagiełło kazał być wryć na zamku krakowskim, wnieść można iż to jest nie zrozumienie Wiszniewskiego; wiersz ów bowiem (wiersz 50) przytoczył Wiszniewski z rękopismu znajdującego się w akademii krakowskiej; w przypisku zaś dodaje iż według *Voigta* w tajnym archiwum królewskim znaleźć się wierszowany napis, który Władysław Jagiełło kazał być wryć o porażce pod Grunwaldem na zamku. Za dowód tegoż braku bliżej znajomości języka przeczytać też musimy, gdy np. autor wzmiankuje iż Janicki był uczniem Pawła z Kroiny, iż wszystkie poezye Dantyszka spalone zostały przez Gdańszczan i zaginęły i t. p. Janicki był uczniem nie akademii krakowskiej, ale padewskiej, zbiór poezyi Dantyszka (przechowany przez Hozynusa) wyszedł w r. 1764 w Lipsku, o czém wszystkiém wzmiankuje Wiszniewski, którego autor jak wspomnieliśmy nieraz przytacza.

Jest też również dowodem nieznamościami literatury polskiej, gdy autor np. nadmienia iż Jan Kochanowski pierwszy zaczął pisać językiem polskim, i że Sarbiewski był dlatego ostatnim poetą łacińskim, iż *odtąd* zaczęto w niej we wszystkich gałęziach pisać po polsku <sup>1)</sup>, (wiek Sarbiewskiego był owszem jak wiadomo wiekiem zakończenia okresu złotego literatury *polskiej*). Co do szczegółów krytyki autora, o te nie mamy wiele pola do spierania się, jeżeli bowiem z jednej strony rozprawa p. René Lavollée nie jest to wogóle, jak już wzmiankowaliśmy, studjum bibliograficzne, lecz jestto tylko zbliżenie tych szczegółów które są rozrzucone w historii literatury polskiej, Wiszniewskiego, z powtórzeniem przytoczonych przezeń wyjątków i zdań o pisarzach; tedy znowu w szczegółowej krytyce tych kilku poetów, których prace autor studyował w oddzielnych wydaniach (jak *Janickiego*, *Klonowicza*, *Symonowicza* i *Sarbiewskiego*), nie znajdujemy bliższych ocenień ich szczególnych utworów albo sprawdzenia przyznawanych zalet lub wad ich sztuce rytmicznej, ale tylko ogólne, pobieżne zdania, które grunt mają w

<sup>1)</sup> Nie znamy wzmiankowanej wyżej rozprawy autora łacińskiej, sądząmy jednak że jeśli podobne ujemności mieści rozprawa późniejsza, tém więcej nie mogła być od nich wolną rozprawa dawniejsza.

właściwym każdemu smaku. Co do zdań tych zaprotestowalibyśmy jednak co do nas, przeciw opiniom autora o poezji Kadłubka i poezjach Symonowicza.

Wspominaliśmy wyżej iż p. René Lavollée przytoczywszy parę strof z dyalogu Kadłubka, dodał uwagę: „iż takie dziecinady zapełniają seciny wierszy“ nie jest to jednak wcale wierne określenie poetycznych cech przytoczonego pisarza. Iż Kadłubek był rzetelnym poetą, iż był nawet znakomitszym poeto-filozofem niż kronikarzem, iż była to umysłowość wyjątkowa, świetnemi tego rodzaju zaletami nad wiek swój zabłyскуюjąca, jest to pomnik który nawet i przez niezycliwych literaturze polskiej krytyków niemieckich dziś został przyznany (*Zeusberg* i inni). Jakoż i co do *dyalogu* o którym mowa, charakterystyka w jakiej przedstawił go autor nie jest wcale właściwą; iż dyalog ten w niektórych szczegółach, wyrażen swoich jest ciemny, na to jest sągoda (ciemność ta była zapewne przyczyną iż ani *Wiszniewski* ani *Kondratowicz* który przekładał wszystko, nie dołączyli jego przekładu, przekład zaś tłumaczy krakowskich lubo kształtny jest w znacznej części wolny, ale ciemność w poezyi nie jest wcale dowodem braku poezyi. P. René Lavollée idąc za omyłką powszechną naszych historyków literatury, i biorąc dyalog ów za przedstawienie teatralne, z tego zapewne stanowiska patrzył głównie na jego zawarcie, lecz punkt ten sągdu był mylny. Kadłubek który historyczne opowiadania swoje co chwila przeplatał to jakimś spekulacyjnym rozumowaniem, to wymową, to poczyą, wspomniawszy w kronice swój o wypadku tój wagi jak śmierć głównego jój bohatera, puścił wodze wzruszonej fantazy swojej, i w lirykę szczególnych odcieni myśli i szczególnej formy, ją rozwinął. Przedstawia on obraz pomieszanych *uczuc* na wieść o nagłej śmierci króla, w części zasmuconego, w części rozbawionego, w części zatrwozzonego kraju, i kreśli to w dyalogu który prowadzi *smutek*, *wesołość*, *swobodę*, i t. p.; jedne z nich chcą swą boleść odznaczyć żałobą, inne zapijają kielichami, a spór ten godzi *pojednanie* czyli (jak w innych kodeksach), *Sprawiedliwość*, uwagę; iż najlepszym uczczeniem zmarłego króla będzie połączyć się zgodą ogólną i święcić ofiary Bogu. Dyalog ten rozpoczyna *Wesołość* mówiąc do *Smutku*:

Nie wstydzę się ja boleści, ale boleję nad wstydem

Tych, którzy ży chcą utaić!

Smutna, oskarżam smutek, że mi moje weselne kwiaty

Na grobowce przemienił.

Był on mi więcj niż królem, ten któregom kochała, któregom

Nad królów tysiące. [przenosiła

Tekst Kadłubka tak brzmi (*Jucunditas ad Merorem*):

Non est pudor pro dolore, sed est dolor pro pudore

Niti acrimonia.

Merens queror de merore, qui de meo statim flore  
Nectit tam funebria.

Eram nupta plus quam Regi, quem praefovi quem prealegi  
Regum super millia etc.

Uważać tu można iż rytm łaciński Kadłubka nie jest podobny do rytmów starożytnych, a nawet do leoninów współczesnych w kronikach innych krajów; ale oddycha stopą i miarą pieśni domowych wiejskich. Poeta od zabawek z dźwiękami i tu i w innych swych rytmach nie był zapewne wolny; lecz jeśli to są dziecinady, nie są to dziecinady większe, jak stopy, miary, rymy i inne pomysły sztuki zewnętrznej rytmicznej, nam współczesnej.

Co do Szymona Szymonowicza wcale nie możemy się zgodzić, iżby umysł tego poety był biernym tylko i naśladowczym. Dla czytelnika polskiego wiadomym jest, iż był on twórcą z gruntu nowego słowa oraz nowej treści w poezji naszej; lecz i w jego utworach łacińskich cechą ich nie było owe „wieczne naśladownictwo.” W czémże ono np. jest widne w utworach, które mu społecznie pierwszy i główny rozgłos zjednały, jak *Flagellum livoris*, *Aelinopean*, a o których p. René Lavolleé nawet nie wzmiankuje? Iż treść dramatu *Pentesilea* wzięta jest z poematu *Kwintą Kalabra*; *Joela* i *Castus Joseph* z Biblii, iż w tym ostatnim są nadto ustępy naśladowane z *Klaudyana*, *Eurypidesa*, i i., są to szczegóły, które w utworach i najoryginalniejszych poetów się spotykają; czyż tytuł „wiecznego naśladowcy“ byłby właściwym np. Rasynowi dlatego że pisał: *Atalię*, *Estere*, *Andromachę*, *Fedre* i t. p. a w tej ostatniej żywcem nie jedno wyrażenie i prawie całkowite sceny z tragedji *Eurypidesa* przenosił? Nie zgodzilibyśmy się podobnie i na szczegółową krytykę scen. Autor np. przywiódłszy słowa namiętne *Jempsar* i mówiąc o uwięzieniu następnie Józefa, dodaje: dwie więc osoby obudzają litość, są tu dwie akcje co jest przeciw regułom sztuki („Joseph jeté dans les fers.. de'tourne ainsí *contre les règles de l'art* de Jempsar sur lui-même toute la pitié de spectateur“ 25). Możnaż kłaść za winę poecie, iż właśnie główny bohater jego, bohater od którego imienia jest sztuka, obudza litość?

Zbliżyliśmy tu i wykazali ujemne strony broszurki, ujemne przynajmniej według nas, aby dać obraz bezstronny; wielką większość jej cech jest jednak przeciwnie na wielką zaletę książeczki. Całość poezji łacińsko-polskiej złączona w jedność, jest nowością nawet dla czytelnika polskiego, dla obcych jest siurpryzą zapewne i pozyskanym materiałem równie dla dziejów belletrystyki jak i dla naukowości poważnej. Wykład autora prowadzony jest z tą jasnością, harmonią, umiejętnością zainteresowania czytelnika i pewnym stopniem dowcipu, które są tak przeważną cechą i prawie wyłączną własnością, we wszystkich rodzajach utworów, pisarzy francuzkich. Ożywia też wykład pamięć na różnostronność stosowań przy rozbiorze utworów. Przekłady przytaczanych wyjątków są wszędzie wierne i wdzięczne. Ogólny



wniosek jaki zdaje się wypływać ze zdań autora, iż wśród utworów poetów polskich po łacinie piszących wiele było dzieł świetnej piękności, ale żadnego któreby było genialnym, jest wnioskiem słusznym, ale wniosek ten odniesionym być winien i do całej poezyi łacińskiej wieków nowych. Poeci tym językiem piszący pisali nie dla ludu, lecz erudytów; nie dla serc poetycznych, lecz dla retorów; a warunkiem pochwały tych był nie stopień dostrzeżonej różnicy w danym utworze, lecz owszem stopień bliższego podobieństwa tego utworu w słowie, składzie i treści do utworów dawnych. X.

---

*W. Wundt, Ueber die Aufgabe der Philosophie in der Gegenwart.* Leipzig 1874 r. str. 21.

Professor uniwersytetu Heidelbergskiego *Wilhelm Wundt*, znany światu uczonemu ze swych gruntownych prac z dziedziny fizjologii i psychologii, powołany został na katedrę filozofii uniwersytetu w Zurychu. Przy objęciu tego nowego stanowiska, Wundt dnia 31 października z. r. miał mowę *O zadaniu filozofii wobec nauki tegoczesnej*, która pod powyższym napisem na widok publiczny wydana została. Mowa ta może służyć za nader pocieszający dowód tej niewątpliwiej prawdy, że żaden głębszy umysł nie może się na długo ograniczyć szczupłym zakresem specjalnych naukowych badań; lecz prędzej czy później, poczuwa w sobie dążność do wytwarzania pojęć ogólnych, do połączenia nieskończonej mnogości empirycznego materiału w jednolitą całość, w jeden ogólny filozoficzny pogląd na świat. O prawdzie tej zapomnieli prawie zupełnie niektórzy z nowszych autorów filozoficznych, którzy wyrzekli się niby raz na zawsze wszelkiej dążności, mających na celu poznanie *istoty* rzeczy, wytworzenie ogólnego na świat poglądu. Wundt, z którego już dawno chciano zrobić pozytywistę, a nieraz nawet i materialistę, wykazuje obecnie w mowie swojej jak najdobitniej, że bez filozofii, bez dążności do poznania *istoty* zjawisk i wytworzenia ogólnego na świat poglądu, nauki specjalne same przez się nie są zdolne zaspokoić przyrodzonych wymagań umysłu ludzkiego, a szczególnie jego wymagania *jedności, monizmu*.

Myśl tę, którą Wundt w obecnej mowie w najogólniejszych tylko zarysach przedstawia, miałem sposobność szczegółowo rozwinąć w mowie *o cechach charakterystycznych filozofii i jej stosunku do nauk specjalnych*, mianej na akcie uroczystym uniwersytetu warszawskiego w r. 1872 <sup>1)</sup>. Zgodność jaka pomimo zupełnej niezależności

---

<sup>1)</sup> Wkrótce ma wyjść na widok publiczny polski przekład tej mowy, dokonany przez p. Stanisława Tomaszewskiego.

autorów od siebie istnieje między temi mowami ze względu na zasadnicze kwestye o znaczeniu filozofii i jój stosunku do innych nauk, dowodzi jasno, że wypowiedziane w tych mowach zasady są naturalnym wynikiem obecnego stanowiska filozofii i nauk specjalnych. Wundt wykazuje jasno, że wszystkie nauki specjalne spotykają w swoim obrębie kwestye, zadania, które je zmuszają do przejścia w zakres filozofii i szukania w niej ostatecznego rozwiązania tych zagadnień. „Tu, mówi Wundt (str. 5), widzimy jak naukowa *teologia* dąży do uzasadnienia poczucia religijnego, do nadania religii należytego stanowiska w obrębie filozoficznego na świat poglądu a nie poza nim; tam znowu nauki *socyjalne* na zasadzie *pryncypiów*, zgodności z ogólnemi pojęciami (*begriffsmässig*), szukają rozwiązania problemów poruszających społecznością ludzką. *Historya* dąży do głębszego oznaczenia przyrodzonych i cywilizacyjnych warunków dziejowego rozwoju w celu zdania sobie sprawy z jego *wewnętrznej* konieczności. Z *filologii* wyszło porównawcze językoznawstwo, które staje się nauką, zajmującą się z konieczności pytaniami o *istocie, początku i rozwoju* mowy; z pytaniami, które wskazują na psychologią i nadto stanowią główną treść samodzielnej *filozofii* mowy. Nie mniej dotknięte zostały przez filozofią te nauki, które przed niedawnym jeszcze czasem od niej najbardziej stroniły, nauki, które, mówi Wundt dalej, mnie samego, prawie bez wiedzy i woli do filozofii doprowadziły t. j. *nauki przyrodzone*.” „Dzisiaj przekonano się powszechnie z większą lub mniejszą świadomością, że samo opisanie i zespolenie (*Verbindung*) zjawisk nie jest wystarczającym dla nauki przyrody, przeciwnie przekonano się, że ostatecznie idzie o to, aby dotrzeć do *podstawy* samych zjawisk (*hinter den Grund der Erscheinungen zu kommen*). W skutek tego jednak przyrodoznawstwo wyznaje, że jego zadanie polega na współpracownictwie około wytworzenia ogólnego filozoficznego pojęcia przyrody (*philosophische Gesamtaufassung der Natur*, str. 7).” Dalej Wundt wskazuje, że nauki przyrodzone na wszystkich polach badania napotykaają *problemata filozoficzne*, dotyczące tak pierwszego początku życia i rozwoju, jak i najodleglejszej przeszłości wszechświata; problemata, które tylko na podstawie filozoficznego rozbioru zasadniczych pojęć *przyczynowości, celowości* i t. d. należycie rozwiązane być mogą. Takim sposobem, mówi autor dalej, (str. 9) wszystkie nauki specjalne napotykaają na kwestye *filozoficzne*, przyczyniają się do ich rozjaśnienia, nagromadzając materiał, z którego filozofia wytwarzać powinna jednolity pogląd na świat (*zusammenhängende Welterkenntnis*).

W dalszym ciągu swój mowy Wundt zadaje sobie pytanie, o ile się filozofia dotąd zbliżyła do wytworzenia systematu wiedzy, filozoficznego na świat poglądu? Odpowiedź na to pytanie daje autorowi pobop do pobieżnego przerzucenia kart historyi nowoczesnej filozofii, począwszy od Kanta. Z bezstronnością, właściwą każdemu głębszemu umysłowi, Wundt wykazuje tutaj w ogólnych zarysach zna-

czenie *Kanta, Herbart, Schopenhauera i Hegla* dla rozwiązania powyższego zadania filozofii. Na szczególne uznanie zasługuje to, że autor pomimo krytycznych uwag, z całą otwartością mówi o wysokiej doniosłości Hegla, którego jak wiadomo materyaliści lekceważyli sobie nad wszelką miarę. Hegel, mówi Wundt (str. 19), po raz pierwszy z filozoficzną konsekwencją dążył do wytworzenia jednolitego, *monistycznego* na świat poglądu; nadto spoił wszystkie objawy życia duchowego, jakimi są *społeczeństwo i państwo, sztuka i historia*, w jednej idei wewnętrznego umysłowego rozwoju i wpłynął nawet na najnowsze zdobycze nauk przyrodniczych, które, według bardzo trafnej uwagi Wundta, w swjej teorii *rozwoju* przypominają często filozofią natury Hegla i Schellinga.

Co się tyczy ogólnego filozoficznego stanowiska Wundta, to takowe znane jest światu uczonemu z poprzednich prac tego autora. Już w dziele o *duszy człowieka i zwierząt* Wundt wypowiedział kilka *metafizycznych* uwag, które wykazywały jego związek z całym prądem nowszej filozofii *idealnego realizmu*. W dziele tém autor przyjął za podstawę metodologiczną tak *wewnętrzne* jak i *zewewnętrzne* doświadczenie, a ze względu na kwestyę o *istocie* duszy, równie dalekim był od jednostronnego *materjalizmu*, jak i od bezwzględnego *idealizmu*. Dowodził bowiem, że jedna i taż sama *istota* bytu przedstawia się nam w różny sposób stosownie do tego, czy się na nią zapatrujemy ze stanowiska wewnętrznego lub zewnętrznego doświadczenia <sup>1)</sup>. W najnowszym zaś większym dziele, noszącém, jak wiadomo, napis: *Psychologia fizyologiczna* 1874 r., autor na ostatnich stronicach wypowiada po prostu, że *idealny realizm* powinien być głównym celem wszelkiej prawdziwej filozofii, wspartej na wynikach wewnętrznego i zewnętrznego doświadczenia, a zatém i na wynikach prawdziwie naukowej psychologii. Jeżeli zaś autor w tych pracach zwracał przeważnie uwagę na stronę zewnętrzną objawów psychicznych i tém samém skłaniał się pozornie bardziej do *realizmu*; to przeciwnie w obecnej mowie, mając na oku przedewszystkiém kwestyę *ogólną*, wykazał jasno *idealną* stronę swego filozoficznego na świat poglądu. Ta idealna strona przejawia się w tém, że autor kładzie szczególny nacisk na *wewnętrzne, umysłowe* doświadczenie i przyznaje mu otwarcie pierwszeństwo przed doświadczeniem *zewnętrzném, zmysłowém*. „Z postępem naszej wiedzy psychologicznej, mówi Wundt (str. 14), dochodzimy coraz więcej do przekonania, że między wewnętrznym i zewnętrznym doświadczeniem zachodzi jaknajściślejsza spójność. To, co my nazywamy doświadczeniem zewnętrzném, zależnym jest zupełnie od naszych umysłowych form, wyobrażeń i pojęć. Prawda,

<sup>1)</sup> Zob. *Wundt, Vorlesungen über die Menschen u. Thierseele*, szczególniej tom II, 1864 r., str. 435 i nast.

że zewnętrzne podniety potrzebne są dla wydania wyobrażeń i pojęć, tém niemniej jednak te ostatnie istnieją w *nas samych* i stanowią składowe pierwiastki naszego *wewnętrznego* doświadczenia. Wszelkie doświadczenie jest pierwiastkowo doświadczeniem *wewnętrznem*. Jeżeli tedy celem nauki powinien być monistyczny pogląd na świat, to takowy osiągnięty być może tylko na zasadzie przyznania pierwszeństwa doświadczenia wewnętrznego t. j. na zasadzie *idealizmu*<sup>1)</sup> Autor następnie objaśnia bliżej (s. 18), że w tym ogólnym zakresie wewnętrznego doświadczenia należy rozróżnić ściśle psychologiczne doświadczenie od fizycznego, czyli tak zwanego zewnętrznego, i że prawdziwy, filozoficzny pogląd na świat czerpać powinien swój materiał z tych obydwóch źródeł poznania. Nauki specjalne zbierają skrętnie gdzie tylko mogą ten materiał, zadanie zaś filozofii jako *nauki nauk* polega na krytycznym obrobieniu tego materiału, wykazaniu związku między ludzkimi pojęciami i na wytworzeniu ogólnego na świat poglądu. A chociaż filozofia dotąd jeszcze nie doszła do owego *systematycznego* zaokrąglenia, które jęj zawsze przyświecało jako ostateczny cel jęj rozwoju; chociaż dzisiaj jeszcze zajmuje stanowisko *przejściowe, przygotowawcze*, z tém wszystkiem jednak wśród zcierających się poglądów wyrabiają się coraz ogólniejsze zasady doprowadzające stopniowo do urzeczywistnienia owego celu filozofii. W każdym zaś razie filozofia posiada obszerne pole do samodzielnej pracy w krytycznej ocenie wyników nauk specjalnych, w rozbiórce metod badania, w sprowadzaniu takowych do ogólnych zasad, jednem słowem w wierném przedstawieniu życia i ruchu myśli danęj chwili czasu. Chwila ta stanowi jeden z momentów ogólnego rozwoju ludzkości, a systemata, jakie historia filozofii na swych kartach zapisała, nie są czczemi kombinacjami pojęć ze strony pojedynczych myślicieli, lecz są strumieniami myśli, które się jednoczą w jedną potężną rzekę. Źródła z których wszystkie te strumienie wypływają, nie dają się zawsze oznaczyć z należytą dokładnością, ale nie trudno wykryć *kierunku*, w którym te połączone strumienie biegną (str. 20 i nast.).

Oto główna treść mowy Wundta. Kto zna poprzednie prace tego autora, kto wie jakiego wysokiego i przytém sprawiedliwego uznania takowe używają u empiryków, a zatem zapewne i u pozytywistów naszego czasu, ten z radością powita powyższą mowę Wundta, jak i w ogóle jego powołanie na katedrę filozofii. Nie można wątpić, że autor ten, poświęcając swe siły przeważnie filozofii, na zasadzie wy-

<sup>1)</sup> Alle Erfahrung ist zunächst *innere* Erfahrung. Ist also eine monistische Weltanschauung das Ziel der Wissenschaft, so kann dies nur eine solche sein, welche die Priorität der inneren Erfahrung rückhaltslos anerkennt, der *Idealismus*.

żej wyłożonych ogólnych pojęć, stanie się nader pożądanym pośrednikiem między naukami przyrodzonymi i filozofią, i przyczyni się nie mało tak do krytycznej oceny surowego materiału doświadczenia, jak i do głębszego pojęcia tego materiału ze stanowiska filozoficznego. Wygrają na tém zarówno filozofia jak i przyrodoznawstwo. To ostatnie dąży w obecnej chwili coraz bardziej do rozerwania ciasnych więzów *realizmu* i wzniesienia się na wyższe, *idealniejsze* stanowisko; gdy tymczasem *filozofia*, przebywszy fazę jednostronnego *idealizmu*, czuje potrzebę oparcia się na *realnych* podstawach doświadczenia. Wundt dobrze pojął tę *syntetyczną, idealno-realną* dążność, spoczywającą na dnie naszego czasu, kiełkującą wszędzie z coraz większą żywotnością pod zewnętrzną powłoką jednostronnego realizmu. Skorupa materialna w różnych miejscach zaczyna już pękać; ziarno przyrodzonego człowiekowi *idealizmu* rozwija się, przeziéra coraz widoczniej z pod ciemnego gruntu *realnych* stosunków! Pracujmy skrzętnie około prawidłowego wzrostu tego ziarna, a może się w końcu doczekamy nietylko pięknego kwiatu, lecz i dojrzałego owocu!

*Henryk Struwe.*

---

## WIADOMOSCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

— *Styczeń, 1875 r.* W dniu 13 czerwca r. b. upływie okrągło pół wieku, od chwili uchwały sejmowej wydanej w roku 1825, w przedmiocie tak ważnym dla kraju, jakim jest założenie Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem. Myśl tej instytucji powziął książę Lubecki, którego rozzumnej działalności kraj nasz tyle ma do zawdzięczenia na polu ekonomicznego rozwoju. Piérwszym prezesem dyrekcyi głównej pomienionego Towarzystwa był znakomity mąż Kajetan Dunin Kalinowski; jego téż popiersie umieścił na czele swego dzieła Floryan Czermiński, w którém podał nam dokładne dzieje powstania i rozwoju tegoż Towarzystwa. Wysokiéj wartości tę pracę najprzód podaliśmy w naszém piśmie, jako drogocenny przyczynek do historyi rolnictwa i przemysłu Królestwa Polskiego.

— Piérwszy rok wydawnictwa *Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej*, pod kierunkiem redakcyi „Kłósów“, już ukończonym został. W dwunastu tomach znajdujemy: 1) z literatury polskiej: *Jana z Tęczyna* J. U. Niemcewicza; *Dziewicę Orleańską* Karola Libelta; *Poezye* Juliusza Słowackiego (w dwóch częściach). *Poezye*: Seweryna Goszczyńskiego. Powieści Fr. hr. Skarbka: (*Pan Starosta* i *Dodosiński*); 2) z literatury angielskiej: *Kenilworth*, romans historyczny w przekładzie Erazma Rykaczewskiego; 3) z literatury niemieckiej Wilhelma Jordana: *Wdowa Agisa*. Tragedya w trzech aktach, przełożona wierszem przez Kazimierza Kaszewskiego.

— Ruch wydawniczy książkowy jaki się w ostatnich latach pojawił, nie ustaje; zarówno nakładcy pism czasowych, jak prywatni i sami księgarze silnie po temu dopomagają. Obecnie „wydawnictwo spółki księgarzy w Warszawie“ rozpoczęło już publikacyę znakomi-

tego dzieła F. K. Schlossera: *Historya XVIII i XIX wieku do upadku Cesarstwa francuzkiego, ze szczególném uwzględnieniem duchowego rozwoju ludzkości*. Całość obejmie VIII tomów, w 24-ch zeszytach. Jakkolwiek cena wysoka rsr. 16, ale ułatwiona wypłata, przez drobne wnioski przy wychodzących poszytach. W wydanym nadto prospekcie mamy zapowiedziane z ważniejszych publikacji: *Dzieła Klementyny z Tańskich Hofmanowej*, wydanie nowe pod redakcją Narcyzy Żmichowskiej (Gabryeli); *Wszystkie dzieła dramatyczne Williama Shakespeare* (Szekspira), w przekładzie St. Koźmiana, F. Paszkowskiego i L. Ulrycha, z dodaniem życiorysu poety i objaśnień pod redakcją J. I. Kraszewskiego: ozdobione 545 drzeworytami angielskimi. Trzy tomy wielkiego formatu. Znaczną część tłumaczonych dramatów Szekspira przez F. Paszkowskiego drukowało przed laty nasze pismo, oceniając należycie wysoką wartość tych przekładów.

— Pierwsze numera pisma humorystycznego z ilustracyami „Mucha” ukazały się w odmiennj postaci tak zewnątrznej, jak co do swj treści. Nowa redakcja dobrze zrozumiała stanowisko swoje, a wiele rysunków udatnych podnosi wartość tego pisma.

— W roku 1872 wyszedł zeszyt piérwszy publikacji: *Monumenta antiqua artis Cracoviensia*, w fotodrukach wykonanych w Warszawie w zakładzie Karola Beyera i Dutkiewicza. Rozpoczętą została z funduszu ś. p. księcia Jerzego Lubomirskiego na ten cel zapisanego, pod opieką b. Towarzystwa naukowego krakowskiego. Od owj pory nabywcy pomienionego dzieła, nie znajdując żadnej wzmianki o dalszym jego ciągu, w „Gazecie Warszawskiej” słusznie zapytali, czego się spodziewać mogą? Zapewne akademia umiejętności w Krakowie, tego pytania bez odpowiedzi nie pozostawi.

— W wydaném sprawozdaniu Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie na rok 1873/4 czytamy: że na tegoroczne premium przeznaczono sztych przed kilkadziesiątu laty wykonany w Anglii, przedstawiający Kościuszkę. Zapewne to będzie staloryt wielkiego męza w całej postaci, spoczywającego na sofie, który dziś do wielkich osobliwości należy. Na rok przyszyły zapowiada dyrekcyja pomienionego Towarzystwa, jako premium dla członków swoich (których liczy trzy tysiące), reprodukcję większych rozmiarów obrazu dyrektora Jana Matejki: „Kazanie Skargi.”

Z tegoż sprawozdania dowiadujemy się o cenach niektórych obrazów Matejki. Za *Maćka Borhowica* otrzymał 3,500 zfr. (nabyła go księżna Karolina Czartoryska), za *Eustachego Daszkiewicza* hetmana kozackiego na Zaporozu z czasów Zygmunta Starego, 1,500 zfr.

— Od piérwszego stycznia r. b. we Lwowie zaczęło wychodzić pismo poświęcone pszczolnictwu i ogrodnictwu p. n. *Bartnik postępo-*

wy; na czele redakcyi stoi D-r T. Ciesielski professor botaniki na uniwersytecie lwowskim. Redaktor znany botanik i ceniony wysoko przez uczonych niemców, posiada sam znaczną pasiekę, łącząc teorię z praktyką. W pierwszym numerze tak użytecznego pisma dla ogółu czytamy: „Zadaniem czasopisma naszego będzie przeprowadzać łączność pomiędzy krajowemi towarzystwami pszczolnemi i ogrodniczeni, a tém samém nadawać rozstrzelonym po dziś dzień i ztąd w części bezskutecznym ich zabiegom, wybitny i jednolity kierunek: rozbudzać zamiętowanie do doświadczeń i badań naukowych w pszczolnictwie i ogrodnictwie, bez których żadna nauka ostać się nie może; przedewszystkiém zaś starać się o rozpowszechnienie dwu tych dla kraju naszego tak ważnych gałęzi przemysłu.“ Prenumerata roczna na ten dwutygodnik arkuszowy jest nadzwyczaj niska, wynosi bowiem na miejscu złoty reński jeden i pięćdziesiąt centymów.

— Gazeta Lwowska od 1-go numeru z r. b. drukuje w odcinku Władysława Zozińskiego redaktora tego pisma, zajmujące *Opowiadanie imci pana Wila Narwoya*, rotmistrza gwardyi konnej koronnej od roku 1777. Redakcyja w dalszym ciągu zapowiada następujące rozprawy, które pomieści: Dr. Antoniego Małeckiego: *Pierwotny ustrój Polski*; Dr. Ludwika Kubali: *Proces Radziejewskiego*; Hr. Maurycego Dzieduszyckiego: *Zeszłowieczny dziennik Lwowski*; D-ra Antoniego J.: *Król Stanisław August w Grodnie; Konrad Wallenrod w poezyi, a w dziejach; Podróż do Włoch* i w. i. Gazeta Lwowska należy do najlepszych i najpoważniejszych organów prasy galicyjskiej.

— Znany z kilku prac na polu historii sztuki p.<sup>r</sup> Bruno Bucher, wydaje obecnie w Sztutgardzie przy współudziale kilku innych pisarzy obszerną, ilustrowaną *historyą sztuk technicznych*. Dzieło to składać się będzie z trzech obszernych tomów, z których pierwszy obejmie: *emalię, malarstwo na szkle, mozaikę, malarstwo miniaturowe, drzeworytnictwo, sztycharstwo i snycerstwo*; drugi tom zawierać będzie: *złotnictwo, garncearstwo* (porcelana, fajans i t. p.), *wyroby szklanne i stolarstwo* (meble) i trzeci tom wreszcie zawierać będzie *historyą wyrobów tkackich, wyrobów skórzaných i introliigatorstwa*. Obecnie wyszły już pierwsze zeszyty tego nader pouczającego i jedynego w swoim rodzaju dzieła, obejmujące *historyą emalii i malarstwa na szkle*. Zeszyty te świadczą, jak o gruntowności w opracowaniu treści przez autorów, tak i bogactwie przepysznych ilustracyj i w ogóle o prawdziwie artystycznym wydawnictwie tego dzieła. Trzy tomy razem będą kosztować 18 talarów.

— Professor filozofii uniwersytetu w Grac, Wilhelm Kaulich, autor różnych prac z dziedziny historii filozofii, psychologii i logiki, wydał obecnie w Pradze dzieło p. t. *Wykład systematyczny metafizyki* (*System der Metaphysik* 1874, str. XV i 470). Dzieło to, prócz ogólnego wstępu składa się z trzech głównych części: 1-a część ana-



*lityczna*. Rozbiór *świadości, przyczynowości i substancji*. 2-ga część nosi tytuł: *Spekulatywna teologia* i rozbiera ideę *absolutnej substancji* czyli Boga, oraz wykład i krytykę dowodów istnienia Boga, 3-cia część: *Spekulatywna kosmologia*, zawiera w sobie spekulatywną *pneumatologią*, spekulatywną *fizykę* i wreszcie spekulatywną *antropologią*, t. j. w ogóle naukę o świecie i jego stosunku do absolutnej substancji czyli do Boga. Stanowisko autora, jak już z tej treści wynika, jest *teistyczne* i ma na celu harmonijne zespojenie idealnych wymagań ducha z materiałem nauk empirycznych. Tylko specjalna krytyka może wykazać, o ile autor się przyczynił do urzeczywistnienia tego ważnego celu.

— W N-rze 8 *Revue politique et littéraire* znajduje się ciekawy rozbiór ostatniego utworu, znanego niemieckiego pisarza Gustawa Freitag'a p. t. *Ingo und Ingraban*. Autor tego rozbioru przyznaje na wstępie otwarcie, że najnowszy rozwój polityczny Niemiec, jest wynikiem poszanowania tego narodu dla swojej przeszłości, zachowania historycznej tradycji, pomimo wszelkich wzruszeń, jakie życiem narodów miotają. Za przykład tego poszanowania, przytacza autor powszechne zajęcie, jakie znajdują powieść Freitag'a, pomimo że ma za przedmiot charakterystykę czasów jak najodleglejszych życia Germanów; że sięga aż IV-go stulecia naszej ery. Tymczasem Francuzi z każdym nowym przewrotem politycznym, rozpoczynają zupełnie nową epokę życia narodowego i zapominają o związku tej nowej epoki z daleką przeszłością. W skutek tego utracają zbyt łatwo ową świadomość historyczną, owe poczucie związku z przeszłością, które stanowi jedną z nader ważnych potęg w rozwoju i postępie życia narodowego.

— Od czasu do czasu pisma nasze ilustrowane, jak *Kłosa* i *Tygodnik Ilustrowany*, podają nam rysunki z *tekt Artura Grotlgera*, tego genialnego malarza, który zgasł w samym kwiecie wieku. Obecnie w Wiedniu wychodzi album ołówkowych jego utworów p. n.: *Księga szkiców Grotlgera*, nakładem H. O. Miethkego. Pierwszy zeszyt już jest w rękę publiczności. Prasa niemiecka z wielkim uznaniem odzywa się o tych mistrzowskich rysunkach. Księga pomieniona, mieści w sobie nie same szkice, ale i prace starannie wykonane, odfotografowane z oryginałów.

— W ostatnim dniu r. z. ukazał się na wystawie Sztuk pięknych w Krakowie nowy obraz Matejki, przedstawiający zaciąganie dzwonu *Zygmunta* na wieżę Wawelu, w obec króla *Zygmunta I-go*, Bony, ich dzieci i dworu całego. Jest to nowe arcydzieło naszego mistrza.

— Pod znanym pseudonimem *Juljana z Poradowa* ukrywała się utalentowana pisarka p. Paulina Mörs. Dramat jej *Przeor Paulinów*, odznaczony na konkursie krakowskim i przedstawiony na tamecznym scenie, miał niemałe powodzenie.

— Nakładem Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie wyszły: „*Listy pedagogiczne z okazji wystawy wiedeńskiej*,” napisane przez Maksymiliana Kawczyńskiego. Praca ta napisana językiem poprawnym i jasnym, zgodna jest z postępem nauki.

W témże mieście, staraniem rodziny zmarłego Wincentego Pola, wyszedł tom pierwszy nowego wydania dzieł tego poety, a nakładem księgarza lwowskiego T. H. Richtera, w wykwiutném i staranném wydaniu. Tom ten obejmuje poemata: *Wit Stwosz*, *Pacholeg hetmańskie* i rapsod rycerski: „Z wyprawy Wiedeńskiej.”

— Jan Berthie był minister oświecenia we Włoszech i deputowany, rozpoczął druk dzieła o Koperniku, obejmującego wiele nieznanych wiadomości o naszym astronomie, poczerpniętych z archiwów włoskich. Przekładem tego dzieła na język polski, zajął się już dr. Artur Wołyński zamieszkały we Florencyi.

— Adam hr. Sierakowski, którego wyjątek z podróży do Indyi Wschodnich drukowało nasze pismo i Kłosa, w dniu 2 grudnia 1874 roku, w sali Towarzystwa Geograficznego zdawał sprawę przed liczném zgromadzeniem z pomienionój swojej podróży, z uwzględnieniem stosunków osiadłój tam ludności europejskiej. Sprawozdanie to przyjęła publiczność bardzo przychylnie. Fundusz zebrany przeznaczono na rzecz rozpoczętój w roku zeszłym wyprawy afrykańskiej z ramienia tegoż Towarzystwa.

Dnia 16 t. m. na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, pomieniony podróżnik miał odczyt: „O wpływie instytucyi angielskich na stosunki wyznań religijnych w Indjach Wschodnich.“

— W Zagrzebiu ukazały się oryginalne akta Soboru Trydencckiego, zebrane przez zmarłego O. Augustyna Theinera, z długą łacińską przedmową tego znakomitego badacza. Jest to urzędowe sprawozdanie posiedzeń spisywane przez Anioła Massarellego biskupa Telezińskiego i sekretarza soboru, tudzież inna relacya świętobliwego kardynała *Paleoto*. W protokółach tych posiedzeń znajdujemy cały szereg obrad, widzimy ich wewnętrzną genezę, czego dotąd dokładnie nie znaleźmy.

— W Wielkiém Księztwie Poznańskiem, w Niegolewie, właściciel tój posiadłości, zgodnie z wolą zmarłego swego ojca, Andrzeja Niegolewskiego, wystawił pomnik na pamiątkę bitwy w wąwozach Samo-Sierra w Hiszpanii, która przypadła dnia 30 listopada 1808 r. A. Niegolewski brał w niój udział służąc w szwadronie Szwoleżerów H. Kozielskiego. Wiadomo, że zwycięstwo odniesione przez ten oddział otworzyło drogę Napoleonowi I-mu do Madrytu. Gdy Thiers w swój historii, zdobycie wąwozu tego przypisał Francuzom, A. Niegolewski zmusił go do odwołania tego historycznego fałszu.

— W Dreźnie w muzeum historycznym „Zwierzynca“ *Historisches Museum in Zwinger*, znajduje się starożytny wizerunek Władysława Łokietka, z podpisem w wierszach niemieckich. Obraz olejny w ramach bardzo skromnych wystawia figurkę jakąś krępą, nader barczystą, przysadkowatą, z głową stosunkowo dużą, z koroną królewską, z pod której na obydwu ramiona spływają włosy długie w kędziorach, wąsy ocieniają usta, a spadając łączą się z brodą kończącą twarz trójkątem. Cała osoba w zbroi, na której z wierzchu płaszc królewski, przepasana mieczem; w prawej ręce u piersi trzyma jabłko królewskie, a lewą rękę założoną za pasem od miecza. U wierzchu obrazu po obu stronach głowy napis: „Vladislaus Łokietek Rex Poloniae Anno 1333,“ a pod spodem obrazu wiersz literami gockimi, który brzmi dosłownie po polsku: „Ciało moje małe było, niemal zaledwie łokieć długie, ale serce wielkie, które nie znało trwogi. Dzicy Prusacy równie jak i czeska kraina poczuły przez swe kłęski dzielne moje ramię. Los, z którym nieraz przychodziło mi się porać, zwalczony przezemnie ugiąć się musiał. Trzykroć mnie oręż i zdrada pozbawiły korony, a przecież przez zwycięstwo odzyskiwałem berło. Ciało moje nie okazałe, ale wielkie musi zawierać serce. Alboż nie był drobnym ten, który Goliata powalił. Mały Ulisses zwalczył ogromnego Polyfema. Bogu i ludziom wystarczyć, nie jestże to dosyć?“

— *Towarzystwo mienia księcia Jabłonowskiego w Lipsku* istniejące, ogłasza zazwyczaj nagrody pieniężne za dzieła naukowe najlepsze, w kwestyach historycznych i ekonomicznych, które mogą być pisane w języku łacińskim, francuzkim lub niemieckim, i których rękopisina przy zachowaniu zwykłych w takim razie formalności (koperta zapieczętowana z nazwiskiem autora i epigramem), składane być w tym celu powinny pod adresem sekretarza Towarzystwa prof. dra. Curtiusa w Lipsku.

Temata przez Towarzystwo ks. Jabłonowskiego do konkursu zadawane, mają często związek z historią krajów słowiańskich i stosunkiem do nich żywiołu niemieckiego. Pod tym względem zaskują więc one na naszą uwagę.

Temat na rok bieżący zadany był tej treści: „Zbadać szczególnie stosunek, w jakim stoi grupa języków litewsko-słowiańskich do grupy języków germańskich, jako składowych części ogólnej rodziny indo-germańskiego szczepu.“

Na rok 1875, Towarzystwo ze względu że historia polityczna dostatecznie już wyjaśniła jakim sposobem ustaliło się panowanie Niemiec nad Wschodnimi i Zachodnimi Prusami, ale że brakuje jeszcze dokładnego przedstawienia jaką drogą język niemiecki przyjął się wśród ludności innym językiem mówiącej, co z tego także względu jest interesującym, iż w procesie tym obydwą głów-

ne dyalekty niemieckie brały udział, postanowiło żądać napisania „historji wprowadzenia i rozpowszechnienia się języka niemieckiego w Prusiech Wschodnich i Zachodnich do końca XV wieku, z szczególnećm zwróceniem uwagi na udział, jaki w tém wzięły dwa główne narzecza niemieckie.“

Prace na powyższy temat nadsyłane, mają być oparte na studjach źródłowych, i zwracać uwagę na potrzebne wyjaśnienie różnych nazwisk miejscowych, zarówno mieszkańców jak wsi i miast. Premium oznaczone jest na 60 dukatów, lecz może nawet zostać podwyższonem w razie odznaczającej się szczególnie pracy.

Na rok 1876 Towarzystwo proponuje rozprawę historyczną: „O połowie i handlu śledziami na morzu Północnem i Bałtyckiem.“

Przy oznaczeniu tego tematu nie została umyślnie określona epoka, w której badający ma zamknąć swoje poszukiwania, ażeby mu więć pozostawić swobody. Pozostawionem zostaje także jego uznaniu, o ile opracować zechce udział w tym handlu pojedynczych narodów, portów, miast i t. d. Wykład może mieć przeważnie albo cechy historycznego opowiadania, albo téż statystycznych wywodów. Nagroda naznaczoną jest na 700 marek.

Temat na r. 1877 wyznaczony, godny jest uwagi tak ekonomistów jak i publicystów.

Towarzystwo ks. Jabłonowskiego uważa, iż zajmujący powab historyi włoskiej w ostatnich stuleciach średnich wieków pochodzi ztąd, że u narodu tego, najwcześniej wśród innych dojrzałego, spotyka się podówczas już potrzeby, zasady i instytucje, właściwe wyższej tylko epoce cywilizacyjnej; a z drugiej strony w tychże Włoszech i reszcie zwłaszcza Europy przechowuje się dotąd wiele żywiołów średniowiecznych. W gospodarstwie społecznem Włoch przedstawia się również ta sprzeczność między rzeczywiscie nowożytnym postępem, a czysto średniowiecznemi jego podstawami.

Dlatego więc Towarzystwo pragnie wywołać „źródłowe zbadanie, jak dalece we Włoszech północnych i środkowych przy schyłku wieków średnich przebiegały się w ustawach rolniczych, przemysłowych i handlowych, zasady nowożytne wolności pracy i handlu.“

Jeżeliby piszący na ten temat zamierzał się ograniczyć zbadaniem jednego tylko kraju włoskiego, to wypadaloby mu zająć się którym z ważniejszych w historyi, jak np. Florencją, Medyolanem lub Wenecją. Ze względu iż przedmiot powyższy mógłby i we Włoszech pobudzić kogo do pracy, gotowe jest Towarzystwo dopuścić do konkursu i rękopisma włoskie. Nagroda przeznaczona wynosi 700 marek. Prace uwieńczone nagrodą, stają się własnością Towarzystwa.

— W Koszycach wyszedł w końcu roku 1874, z druku w języku niemieckim i węgierskim pierwszy „Rocznik węgierskiego Towarzystwa Karpackiego,” p. t. *Jahrbuch des Ungarischen Karpathen-Vereines*. Rocznik ten rozdawany przez Towarzystwo członkom jego bezpłatnie, zaleca się piękném wydaniem. Między innymi zawiera artykuły: „O pochodzeniu nazwy Karpat i Tatr,” J. Hradskiego; „Przyczynek do historii badań o Tatrach” K. Kolbenbeyera; „Spis gór i miejscowości w Tatrach mierzonych w r. 1872 i 1873 trygonometrycznie i barometrycznie” tegoż autora (wymiaru podane są w metrach); „Z Orawy” W. Rowlanda. W artykule: „Podróżowanie w środkowych Karpatach” są wymienione treściwe wskazówki do urządzania różnych wycieczek w góry Szueksu, Kesmarku i innych okolic Spiża, tak że opis ten stanowi rodzaj krótkiego przewodnika. Smutne jednak uczucie ogarnia każdego lubownika przyrody po przeczytaniu artykułu na str. 89 p. t. „Polowanie na kozice.” Bezimienny autor otwarcie przemawia za wytępieniem tych zwierząt. W końcu rocznika podał wiceprezes Towarzystwa H. Payer p. t. *Biblioteca carpathica*, mozolnie i starannie ułożony spis dzieł w języku polskim, niemieckim, węgierskim i francuzkim, które o Tatrach i Karpatach do ostatnich czasów wyszły. Towarzystwo Karpackie liczy obecnie 425 członków, i rozporządza majątkiem 2,073 zfr.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, jako wydania redakcyi Biblioteki Warszawskiej, ukazały się z pod prasy: „*Warszawa i jej społeczność w początkach naszego stulecia*,” przez K. Wł. Wójcickiego i „*Brühl*, opowiadanie historyczne” przez J. I. Kraszewskiego, w dwóch tomach.

— We Lwowie, staraniem Towarzystwa pedagogicznego, przez Karola Widmana, wyszedł „*Kalendarz dla nauczycieli*” na rok 1875. Obejmuje rocznice historyczne, wiadomości o radzie szkolnej krajowej, konferencyi nauczycielskiej, Towarzystwie pedagogiczném i jego filiach.

— W Sztokholmie w archiwum ministerstwa wojny znalezione zostały rękopism ze zlecenia Karola XII napisany, obejmujący opisy zwycięstw szwedzkich. Całość obejmuje dwadzieścia tomów i zawiera przeszło dwieście rozmaitych rysunków lub kopii z licznych flag i chorągwi zdobytych w czasie rozmaitych oblężeń miast warownych i zamków, lub w stoczonych bitwach od roku 1697. Oryginały tych trofeów, jak wiadomo znajdują się jeszcze dotąd w liczbie około czterech tysięcy w sławnym kościele w Riddarholen.

— W dniu 8 stycznia r. b. odbyło się w Poznaniu posiedzenie wydziału historycznego Towarzystwa przyjaciół nauk, na którém Dr. Kazimierz Szulc, z dzieła swego p. t. *O autentyczności kamieni miko-*

*rzyńskich*, czytał ustęp: „O stopniu cywilizacji Słowian pogańskich.“ Prelegent opierając się na najdawniejszych kronikach i zabytkach historycznych, skreślił stan oświaty u Słowian pogańskich, który, jak na ówczesny ogólny stan cywilizacji, wykazuje dość wysoki stopień uspołecznienia. Po odczytaniu rzeczzonego ustępu, wydział wybrał komisją z trzech członków, dla ocenienia całego dzieła, czy kwalifikuje się do pomieszczenia go w Rocznikach Towarzystwa przyjaciół nauk.

— Sędziwy Cesare Cantu zaczyna w „wydaniu ludowém” ogłaszać znaną swoją *Historią Włoch* (Storia degli Italiani, Torino, Unione tip. editrice, tomo I, str. 472), doprowadzoną obecnie aż do czasów społecznych. Wszystkich tomów ma być 16. W tomie I, obejmującym dzieje dawnego Rzymu, krytyka zarzuca autorowi zaniedbanie nowszych badań, tak językowych, szczególnie prof. Flekkii, jako też historycznych, nawet takich, jak Schweglera i Mommsena. Informacje autora z literatury naukowej nie przekraczają nigdy prawie r. 1840. Ztąd wynikło wiele wniosków i wywodów niemożliwych przy dzisiejszym stanie nauki.

— *Moriz Carrière* zakończył w wydanym obecnie V tomie bogatą treścią, wdzięczną formą i sympatyczną dążnością swe dzieło: „*O sztuce w związku z rozwojem cywilizacji, oraz o idealach ludzkości*“ (Die Kunst im Zusammenhang der Kulturentwicklung und die Ideale der Menschheit. Leipzig. Brockhaus, 1874). Począwszy od Wschodu, od Chin i Egiptu, autor charakteryzuje sztukę u Semitów, Irańczyków (w tomie I), Grecyi i Rzymu (w tomie II), wieków średnich (w tomie III), odrodzenie i czasy nowożytne aż do cesarstwa nowoniemieckiego (w IV i V); bada pierwiastek estetyczny w języku, mytach, piśmiennictwie, porusza różne strony cywilizacji i kończy wnioskami o porządku moralnym świata.

— *Sir S. Baker* opisał i pięćdziesięcioma przeszło pięknymi ilustracyami objaśnił nową swą podróż w głąb Afryki, przedsięwziętą w 1869 roku, na czele oddziału wojska w 1645 ludzi i dwóch bateryj, z polecenia Kedywa, w celu wytepienia handlu niewolnikami i zajęcia na rzecz Egiptu ziem leżących na południe od Gondokoro. Znakomity podróżnik był wodzem naczelnym wyprawy, miał tytuł baszy i władzę nieograniczoną, tak nad wojskiem, jakoteż nad mieszkańcami ziem wcielanych. Główny cel wyprawy—wytepienie handlu niewolnikami—nie został osiągnięty, gdy bowiem Baker energicznie tropił partye nałapanych murzynów, rozkuwał ich i zawieszał im na szyi kartę wolności, własni jego oficerowie kupowali pokryjomu czarny towar, a sam wicekról egipski zawarł kontrakt z jednym szejkiem, nadający mu prawo łapania murzynów na przestrzeni 90,000 mil kwadratowych za 3,000 funtów szterlingów rocznej opłaty. Pozostały wys-

ku tylko korzyści naukowej: zwiedzenie krajów murzyńskich aż do 2-go stopnia szerokości północnej, urządzenie posterunków wojskowych dla połączenia tych krajów z Egiptem i książka ciekawa samego baszy, wodza wyprawy, nosząca tytuł następujący: *Ismailia. A Narrative of the expedition to Central Africa for the suppression of the slave trade, organized by Ismail Khedive of Egypt*. London, Macmillan. Berlin, A. Asher et Comp. 2 vvs.

— Z polecenia Węgierskiej Akademii Umiejętności, Józef Szinnyei, kustosz biblioteki uniwersyteckiej w Buda-Peszcze, wydał tom I *Repertoryum naukowego* (Tudományos Repertorium), obejmujący tytuły 21,796 artykułów z historii i jej nauk pomocniczych, jakie były drukowane w gazetach i czasopismach węgierskich od 1778 do 1873 roku. Obecnie wychodzi w królestwie węgierskiem 400 gazet i czasopism; z tych w języku węgierskim 240. Cyfra bardzo znaczna w stosunku do półszóstamilionowej ludności Magiarskiej!

— Wspierany przez Akademię Umiejętności w Wiedniu pan Konst. Böhm, ogłosił 431 rękopisów historycznych z archiwów dworskiego, domowego cesarskiego i miejskiego, jako dodatek do ogłoszonego w przeszłym roku opisu tychże archiwów. Tytuł publikacji: *Die Handschriften des k-k. Haus, Hof u. Staatsarchiv etc*. Wien 1874, Braumüller. 2 B., 136 seiten.

— Wyszło nowe, drugie powiększone wydanie uwieńczonej przez instytut *Statystyki Francji* przez Maurycego Block'a (Statistique de la France. Paris, Guillaumin, 1874). Oprócz wzorowego ugrupowania materiału, dzieło to odznacza się metodą porównawczą nie tylko z obecnym stanem krajów obcych, ale i z przeszłością, od początku wieku XIX. Do tablic dołączoną są ważne wnioski.

— Prof. S. Kaempf podaje nowe tłumaczenie sławnego napisu na grobie króla Sydonu, *Eszmunazara* (Phönizische Epigraphik, Die Grabschrift Eschmunazars. Prag. H. Dominicus, 1874). Jestto napis niewielki, dla historii politycznej prawie bez znaczenia, a jednak pracowali nad wyrozumieniem jego Rödiger, Dietrich, Salisbury, Turner, książę de Luynes, Derenbourg, Bargès, Judas, Quatremère, Levy, Meier, Ewald, Blau, Frankel, Schlottman, Schröder. Do takich wysiłków zażręwa uczonych ubóstwo pozostałych nam pamiątek Fenicyi. Napis zresztą rzuca dużo światła na religię Fenicyan, król bowiem Sydończyków Eszmunazar, syn Tibnita mówi głównie o zbudowanych przez niego i matkę jego An-Astart świątyniach: „zbudowaliśmy dom Astarte w Sydonie, ziemi nadmorskiej i postawiliśmy tamżę Astartę, upiększywszy ją; myśmy zbudowali dom Asmo(di) (przerobionemu u nas na Asmodeusza) i świątynię źródła, która się wznosi na górze... dom Baalowi w Sydonie... Oby pan królów Dor i Jope

użyczył nam urodzajnych w zboże, pysznych pól w okolicy Saronu, stosownie do wielkich czynów, których dokonałem i przyłączył je do granic ziemi, aby zapewnić je dla Sydończyków na zawsze.“ Reszta napisu zawiera ubolewanie nad swoją śmiercią i surowe rozkazy, by nikt grobu nie tykał. Te groźby jednak nie pomogły, sarkofag bowiem, wydobyty przez księcia de Luynes, znajduje się obecnie w muzeum Luvru.

— Z dziedziny ekonomii politycznej godnym uwagi jest dzieło p. F. Lampertico p. t.: *Praca* (Il Lavoro—Milano, Treves, str. 400). Zrywając z dawną szkołą ekonomiki metafizycznej lub dogmatycznej i stosując wywody naukowe do zadań i potrzeb czasu, autor rozważa kwestyą podziału pracy i podaje teorią rzeczowego podziału, potem bada zasady stowarzyszeń spółdzielczych, fabryki, maszyny, warunki dobrobytu fizycznego i moralnego robotników i t. p. Przy wszelkiej sposobności argumentuje silnie przeciwko anarchii socjalizmu.

— *Histoire du costume en France depuis les temps les plus reculés jusqu'à la fin du XVIII siècle* par J. Quicherat. (Paris. Hachette, str. 680, in 4-to, cena 25 franków). Dzieło to, ozdobione 481 drzeworytami, wykonanymi podług dokumentów autentycznych, zawiera dokładną historią wszelkich ubiorów od starożytnego Galla, aż do obywatela Rzeczypospolitej francuskiej z czasów dyktatoratu. Występuje tu naród francuski z całą swą fantazyą i zmiennością co do kształtów ubrania, tą zmiennością, która nabawiła takich kłopotów pewnego malarza strojów, że oddawszy doskonałe ubiór Włocha, Hiszpana, Niemca, nie umiał dobrać stałego kostiumu dla Francuza i wyobraził go nagim, ze sztuką sukna i nożycami pod pachą, jak twierdzi żartobliwie Estienne. I tekst, i rysunki są opracowane bardzo starannie, a wykaz alfabetyczny ułatwia odszukanie potrzebnych przedmiotów. Praca ta jest przydatną, nie tylko dla wielbicieli mody, dla reżyserów teatru, dla zwolenników maskarady, ale i dla uczonego archeologa, etnografa lub antropologa.

— Do wielkich osobliwości zapewne zaliczyć należy *Historię Matematyki*. Wiadomo, że wiek XIX nie zdobył się dotychczas na dzieło, któreby mogło dorównać znakomitej pracy Montlucca, ogłoszonej prawie w połowie XVIII wieku. Otóż wyszło teraz dzieło Ferd. Hoefera p. t.: *Histoire des Mathématiques depuis leurs origines jusqu'au commencement du XIX siècle* (Paris. Hachette, str. 600), które z zakresu dzieła jest obszerniejsze od G. Libri (Storia delle matematiche in Italia) i od dzieła Kantora (Beiträge der Mathematik zur Entwicklung der Cultur).



— Wyszedł nowy (4 tom) ważnego dla filologów pisma zbiorowego *Archivio glottologico*, wychodzącego w Turynie pod redakcją G. F. Ascoli. Są tu dwie cenne prace: 1) o dyalektach romańskich w okręgu Bova (I dialetti romaici del mandamento di Bova in Calabria) przez D-ra Morosi z wyjaśnieniem fonetyki i morfologii, ze słowniczkiem i zbiorem pieśni, oraz przysłów ludowych; 2) o nazwach miejscowości, utworzonych z nazwisk w neapolitańskim (Nomi locali del napolitano derivati da gentilizi itatici) przez Jana Flekkę (Flechchia). Uczony autor zgromadził 3,000 nazw z zakończeniem *ano* i posługując się zebranymi przez Mommsena napisami łacińskimi, odnajduje nazwiska rodowe.

— *Dwa pierwsze wieki literatury włoskiej* (I primi due secoli della literatura italiana. Milano. Vallardi) przez A. Bartoli zapowiada się chlubnie talentem krytycznym przy ocenie pisarzy, oraz uwzględnieniem piśmiennictwa ludowego obok imion znakomych, przez co uwydatnia się wybornie charakter epoki i społeczeństwa.

— *The philosophy of history in France and Germany* by Rob. Flint, prof. Edinburgh a London 1874. Blackwood a Sons. str. XXII, 609 in 8-vo maj.) zawiera rozbiór krytyczny pisarzy francuzkich i niemieckich, którzy doświadczali sił swoich w układaniu systematów historyozoficznych, poczynając od Bossueta i Iselina aż do Laurent'a i Hermanna.

— L. Wimmer w Kopenhadze ogłosił piękną monografią o pochodzeniu i rozwoju *pisma runicznego* na Północy p. t. Runeskiftens oprindelse od udvikling i Norden (u Priora 1874, str. 270 i tablica 1). Może się dzieło to przyda obrońcom i przeciwnikom run słowiańskich, a dopomoże do odczytania kamieni Mikorzyńskich. Pan Wimmer mniema, że runy powstały z alfabetu greckiego lub łacińskiego.

† Dnia 30 grudnia 1874 r. w Warszawie umarł **Jan Chęciński** poeta i artysta dramatyczny, licząc lat 48 wieku. Urodził się w Warszawie 1826 r. Od r. 1851 wystąpił na polu literackim, jako pisarz dramatyczny. Z komedyi odznaczają się: *Szlachectwo duszy*, *Porządni ludzie* i *Krytycy*; z mniejszych utworów obrazków scenicznych i przystów dramatycznych: *Przed obiadem i po obiedzie*; *Ciekawość pierwszy stopień do piekła* i *Cicha woda brzegi rwie*. Pisał libretta dla St. Moniuszki jak: *Straszny dwór*, *Paryż*, *Verbum nobile* i *Beatę*. Dla sceny tłumaczył opery: *Proroka*, *Żydówkę*, *Marco Spada*, *Trubadura* i *Rigoletto*. Będąc nauczycielem języka włoskiego i deklamacyi w konserwatorium muzycznem, wydał: *Kurs języka włoskiego dla Polaków*, w Warszawie 1858 r. Z lirycznych poezyi ogłosił drukiem: *Jalmuzna* i *Anioł i Czart* (Warszawa, 1855—1857); *Mniejsze poezye i strofy ulotne* (Warszawa, 1859). Wiele utworów drobniejszych mieszczą pisma nasze czasowe. Pracował też wiele tłumacząc, lub oryginalnie pisząc dla młodocianego wieku. We wszystkich utworach jego pióra, przebija dążność i myśl szlachetna.

† Dnia 5 stycznia r. b. w Wilnie zakończył życie **Adam Zawadzki**, przedstawiciel firmy zasłużonej dobrze w literaturze naszej „Józefa Zawadzkiego.” Ojciec jego Józef, który dał chlubny rozgłos swoim zakładom tak wydawniczym, jak typograficznym zmarł w r. 1838; po nim objął w nich sterownictwo zgasły Adam i dodał nowego im blasku przez publikacje najważniejszych dzieł, które są ozdobą piśmiennictwa polskiego. Adam Pług w „Kłosach“ podał obszerne wspomnienie całego zawodu zgasłego w sześćdziesiątym roku życia.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Января 1875 года.



# PISMO ŚWIĘTE STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU

podług textu łacińskiego Wulgaty

przekład

X. JAKÓBA WUJKA

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

wydanie nowe z objaśnieniami podług

J. FR. ALLIOLI

Zaaprobowane przez Konsystorz Archidiecezyi Warszawskiej.

Jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycja

w formacie wielkie in folio

ozdobiona 230 drzeworytami

rysunku najslawniejszego francuzkiego ilustratora

## GUSTAWA DORÉ.



Zeszyty 1<sup>y</sup> do 31<sup>go</sup> włącznie opuściły prasse.



# PROSPEKT.

Nad wszystkimi plodami ducha ludzkiego, nad wszystkimi utworami geniusza, jako gwiazda przewodnia pokoleń na drodze ziemskiego żywota, wznosi się i jaśnieje owa księga Ducha Św., księga Boża, lubo spisana rękoma ludzkimi, księga przymierza pomiędzy Stwórcą a Jego stworzeniem, cofająca się w początki świata przyrodzonego i sięgająca wyżyn niebiańskich, księga wiary najbardziej ucywilizowanych narodów, zarazem dźwignia, treść i podstawa ich cywilizacji, księga zarówno władców jak ludów, maluczkich i wielkich, zdroj wicznie czysty i świeży, z którego bez przerwy czerpiemy, choć nie wyczerpujemy go nigdy, najdroższa dla człowieka skarbnica w dniach wesela i smutku, klejnot najkosztowniejszy, jaki ziemia nasza posiada.

Nie masz księgi, któraby, podobnie jak Biblia, po całej kuli ziemskiej była rozpowszechniona, któraby taki jak ona, znalazła sobie rozgłos i tyle dróg otworzyła swej działalności.

Najwspanialszy owoc twórczości ducha ludzkiego, wynalazek sztuki drukarskiej, spełnienie najpiękniejszego dla siebie zadania znalazł przedewszystkiem w usługach Pisma Św. Z pracowni pierwszych drukarzy, w ciągu lat zaledwie czterdziestu, wyszło na świat sto tysięcy egzemplarzy świętej tej księgi i dotąd jeszcze corocznie w setkach tysięcy się rozchodzi. Znaczna liczba towarzystw biblijnych rozpowszechnia tę księgę ksiąg po kuli ziemskiej. Jeden kraj sam w ciągu ubiegłych lat naszego stulecia rozesłał już 50 przeszło milionów egzemplarzy, torując świętemu słowu coraz nowe drogi i szerząc światło prawdy na północy, południu, wschodzie i zachodzie.

Obok drukarstwa, sztuki pedzła, dłota i rylea najświetniejsze swej wzniosłości składały dowody, ile razy czerpały z wiekniestej tej księgi szczytne dla siebie przedmioty, ile razy podprowadzały pod oczy przejętych do głębi widzów najpotężniejsze i najbardziej wzruszające momenta z Historii Św. oblekające nawet prawdę surową blaskiem barw poetycznych. Najszlachetniejsi mistrze wszystkich narodów i czasów cenili zawsze Biblię wyżej nad wszystko; jej zawdzięczali oni najwspanialsze natchnienia, najświetniejsze swoje tryumfy, — jej również i my winni jesteśmy owych tysięcy arcydzieł, stanowiących na wieki największą chwałę sztuki plastycznej, pojęcych nasze umysły i serca najeżyściejszą rozkoszą. — Długi szereg potężnych geniuszów, od Giotto do Leonarda da Vinci, Michała Anioła i Rafała, od Van Eycka i Albrechta Dürera do Piotra Korneliusza i Overbecka świadczy wymownie o niesłychanej potędze Pisma Św., którego w rzeczy samej ich dzieła kolosalną tylko są ilustracją. — Nie zaniedbywano jednocześnie rzeczywistego w prawdziwym znaczeniu wyrazu ilustrowania Biblii, to jest połączenia sztuki ołówka i rylea z typografią, w celu uprzytomnienia pamięci i wyobraźni wielkich wypadków z tej księgi i charakteru występujących w niej świetnych postaci.

W czynie i w wyobraźni, w społeczeństwie, którzy rozwojowi tej sztuki najskuteczniejszy i najsmielszy nadal popęd, stoi genialny Doré, słynny, także z wielostronności swego olbrzymiego talentu, twórca wspaniałych

ilustracji do Danta, Attali, Lafontaine'a, który potężnym rylcem swojej fantazyi przebiegłszy „Niebo i Piekło“ poezyi, zwrócił się do księgi nad księgami i zaczerpnął z niej najszczytniejszych i najświetlejszych kreacji swojego ducha.

Z podziwem i uwielbieniem stajemy przed niezmiernym ogromem tej pracy, w której jednemu artyście powiodło się czarujące i wspaniałe illustrowanie całego Pisma Św. Starego i Nowego Zakonu; — z połączenia zaś sztuki drzeworytnika i typografa z sztuką rysownika-kompozytora powstała Biblia illustrowana, do jakiej w całym obszarze wydawnictwa europejskiego nie istniało dotąd nic podobnego.

Skwapliwie też Biblię z ilustracjami Doré'go przenieśli na grunt swojej literatury ojezystej Anglii i Niemcy, u których znakomite to dzieło, tak wielkie już przez się, a upiększone jeszcze zewnątrz bogatym urokiem poezyi, niepospolitego doznaje powodzenia.

Rozbudzone w ostatnich czasach i u nas głębokie poczucie piękna artystycznego, wraz z wrodzonym i wkorzeniem od dawna głęboko-religijnym poczuciem, skłoniło do przeszczerzenia kolosalnej tej publikacji na naszą niwę krajową podpisanego wydawcę, który nabywszy od francuzkiego księgarza cały poczet

230

## wielkich oryginalnych rysunków Gustawa Doré

do Pisma Św., nie licząc w to większych lub mniejszych wmiot lub ornamentów przyozdabiających każdą stronę tekstu, podjął nowego tego wydania, którego wartość pod względem religijnym poręczoną będzie przez najściślejsze w druku zastosowanie się do przekładu X. Wujka.

Kto ma pojęcie o ofiarach materialnych, jakie podpisany wydawca zmuszony był ponieść, by przedsięwzięcie swoje doprowadzić do skutku (ciekawcy czytelnik raczy w tej mierze odczytać artykuł o ilustracjach Doré'go w Nr. 121 „Kłosów“ z roku 1867), ten zapewne z uznaniem poweźmie wiadomość, że każdy zeszyt tej przepysznej edycji Pisma Św., który zawiera w sobie 3 do 4<sup>ch</sup> arkuszy dwukrotnego formatu jak niniejszy prospekt, na białym grubym welinie, oraz 3—4 wielkie ryciny, nie w teście lecz oddzielnie, na wspaniałym bristolu odbite, kosztuje tylko 50 kopiejek (Złp. 3 i gr. 10). — Zeszytów będzie 62.

## Warunki prenumeraty.

Żadne znaczniejsze zaliczenie od przystępujących do prenumeraty nie jest wymaganiem; zapisujący się płaci tylko za zeszyty, które otrzymuje i za ostatni. Za zeszyty następne wnosić można opłatę częściowo przy odbiorze zeszytu. Zeszytów będzie 62.

### Cena zeszytu kopiejek 50.

Zeszyty 1 do 31 włącznie opuściły prasę. — Przystępujący do prenumeraty może nabyć ilość dowolną zeszytów i następnie częściowo dalsze wykupywać. —

Prenumeratę przyjmuje Księgarnia Michała Glücksberga (Wydawcy) przy ulicy Krakowskiej-przedmieście, w domu JW<sup>go</sup> Hr. Krasińskiego

N. 7 (411) oraz wszystkie inne Księgarnie i Kantory pism periodycznych tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Z przesyłką pocztą cena zeszytu kopiejek 60. Prenumerata z prowincyi nadsyłaną być może również częściowo tj.: przy zapisaniu się za dowolną ilość zeszytów i ostatni, następnie zaś po Rsr. 3, 5, 10 i. t. p.

Przesyłka pocztą uskutecznić się będzie po 3 zeszyty naraz.

Listy i korespondencye pieniężne uprasza się adresować: do Księgarni i Składu Nut Muzycznych Michała Glücksberga w Warszawie przy ulicy Krakowskiej-przedmieście Nr. 7.

Zeszyty I<sup>o</sup> do 31<sup>go</sup> włącznie opuściły prasę.

## Oprawa i Okładki.

Tom pierwszy Pisma Św. z ilustracjami Gustawa Doré z zeszytem 32<sup>m</sup>, który niebawem opuści prasę, będzie ukonczony.

### Okładki z ozdobnymi wyciskami

podług rysunku zdolnego artysty przygotowują się i będą w początku roku przyszłego do nabycia.

### Okładka z płótna angielskiego

w kolorze czarnym kosztować będzie Rsr. 2 k. 50 czerwonym Rsr. 3.

### Okładka ze skóry kozłowej

czarnej kosztować będzie Rsr. 4, czerwonej Rsr. 4 k. 50.

Za przesyłkę pocztą dolicza się 50 kopiejek.

Exemplarze oprawne tomu pierwszego Pisma Św. z ilustracjami Gustawa Doré z początkiem roku przyszłego będą do nabycia:

Cena egzemplarza oprawnego w płótno angielskie czarne z ozdobnymi wyciskami oraz futerałem wynosić będzie Rsr. 21, w płótno czerwone Rsr. 22.

Cena egzemplarza oprawnego w skórę kozłową czarną z ozdobnymi wyciskami oraz futerałem wynosić będzie Rsr. 23, w skórę czerwoną Rsr. 24.

Za przesyłkę tego tomu pocztą dolicza się rubli dwa.

Warszawa, w Grudniu 1874.

Michał Glücksberg,  
Księgarz Wydawca.